

Hans Hellmut Kirst  
Morderstwo manipulowane

**Tom**  
Całość w tomach

Polski Związek Niewidomych  
Zakład Wydawnictw i Nagrań  
Warszawa 1991

Przełożył Tadeusz Ostojki

Tłoczono pismem punktowym  
dla niewidomych  
w Drukarni Pzn,  
Warszawa, ul. Konwiktorska 9  
pap. kart. 140 g kl. III\_B41

Przedruk z wydawnictwa  
„Sawapress”, Warszawa 1990

Pisał A. Galbarski,  
korekty dokonały:  
B. Krajewska  
i K. Kruk

## Część I Zdarzenie

Rozpoczęło się od spotkania dwojga ludzi. Mogło oczywiście być tak, że już kilka razy przeszli obok siebie w wysokim, betonowym, mieszkalnym ulu, albo przed nim, albo w pobliżu niego i nie zwrócili na siebie uwagi. W każdym razie pierwszego kwietnia owego roku nadeszła pora.

Nie było to jednak spotkanie, które mogłoby w pełni uchodzić za przypadkowe. Miały też z niego wynikać wnet różne, nieuniknione komplikacje. To, że zakończyły się śmiercią, nie jawi się jako żadna osobliwość, a jeśli jednak, to dlatego, że była zaplanowana.

Śmierć, bez względu na postać, pod jaką zawsze się objawia, jest najbardziej niezawodna z wszystkiego, co towarzyszy człowiekowi, choć najczęściej, aczkolwiek nie w tym przypadku, jest i w pełni nieobliczalna. Rzeźnie i cmentarze w każdym razie, należą do wszelkiej egzystencji i rzadko kiedy bywają szczególnie od siebie oddalone. Można to dostrzec na licznych planach miast; na planie zaś Monachium nawet kilkakrotnie; na dobrą sprawę niemal we wszystkich kierunkach kompasu.

Podczas owego pierwszego spotkania wyglądało na to, że trafiły na siebie dwie niewątpliwie ludzkie istoty. Tak przynajmniej można było sądzić zachowując prawo do pomyłki. Któż bowiem, jeśli idzie o ludzi, pokusić się może o tak zobowiązujące stwierdzenia, czy zgoła gwarancje? Żadna matka nie da gwarancji za syna, żadna córka za ojca, żaden brat za siostrę nie mówiąc już o przypadkowych związkach.

**W każdym razie tutaj ukazał**

się wpierw pewien „starszy”

mężczyzna, czy jeśli kto woli „lepszy gość” wyglądający tak, jakby wyłonił się ze stronic ilustrowanego tygodnika o profilu familijnym. W innych uświadamiających gazetach taki typ zostałby uznany za typka i wylądowałby w koszu na makulaturę. Ów męski osobnik odziany był starannie, przy tym schludnie; nie dostrzegało się niczego, co byłoby tego zaprzeczeniem. Wydawało się też, że owemu starszemu panu dany jest uprzejmie zobowiązujący uśmiešek, ponadto zaś pewien rodzaj wyszukanego słownictwa. Możliwe, iż był to dodatkowy kamuflaż; kamuflaże były eksponowanymi znakami czasu; mamienie należało do codziennego programu niemałej liczby osób, które na tym zyskiwały, ale również takich, które miały z tego uciechę.

W owej wczesnej nocnej godzinie wyglądało to w każdym razie tak, jak gdyby ów mężczyzna stał tylko tak sobie. Zdawał się obserwować niewielki już ruch uliczny i odczuwać zadowolenie na widok niemal bezludnej ulicy. Zatrzymał się przy tym przed drzwiami domu, w którym mieszkał już od kilku lat. Odwrócił się plecami do jego szarej, splukanej deszczem i zabrudzonej smugami zacieków fasady, by nie być zmuszonym do jej oglądania.

Tym co dostrzegł w zamian, była osoba płci żeńskiej, w średnim wieku. Wyglądało na to, że idzie wprost na niego; niemal wyzywająco. Nie dało się w żadnej mierze zauważyć, i możliwe, iż tak nie było, że przez to doszło do zakłócenia jego spokojnych, nocnych obserwacji.

- Czy pani czegoś ode mnie chce? - zapytał ową osobę płci żeńskiej. Zabrzmiało to jakoś uprzedzająco ostrzegawczo. - W takim razie powinna pani

przemyśleć to starannie, miła pani. Pozwalam sobie udzielić takiej rady.

- Dlaczego?

- Proszę potraktować to w taki sposób: Mam niezłomny zwyczaj nie ufać zrazu nikomu i niczemu. Pani też powinna tak samo postępować! W końcu sympatyczne koty mogą okazać się lampartami, nie wiadomo jak miłe psy mogą przeobrazić się w wilki, a nawet tak zwani starsi panowie mogą okazać się, jak się to wcale nierzadko mówi, przycajonymi, lubieżnymi staruchami. To rozeznanie, które z chęcią przekazuję pani, nie jest chyba mało interesujące.

- Nie prosiłam pana o tego rodzaju pouczenia, mój panie, jak się pan tam nazywa! Może pan sobie takich frazesów oszczędzić, w każdym razie jeśli idzie o mnie.

W przypadku osoby, która w takim samym stopniu okazała się niewrażliwa co i odpychająca, szło o niejaką Johannę Lenz, z zawodu aktorkę. Jeśli oczywiście to może być zawód. Bo co by w istocie miały znaczyć takie określenia zawodu, jak choćby polityk, homeopata, opiekun społeczny, artysta i tym podobne?

Było nie było, owa Johanna Lenz już na pierwszy rzut oka, a nie pierwszy raz patrzył na nią, jawiła się jako pełnokrwista istota, nader hojnie uposażona w niezwykle zmysłowo oddziaływującą powierzchowność. Niewykluczone, że można by uznać ją za jędrnociąłą piękność formatu odpowiedniego dla wszystkich czasopism, ale do czytelników takich wydawnictw mężczyzna ów jednak nie należał.

Zdawało się tedy wówczas, że zaczyna się tak jak zwykle wszystko to, co miało złożyć się na osobliwe, dobre i okropne zdarzenia kilku następnych dni.

Że zaczyna się to, co ów mężczyzna posiadający stosowne predyspozycje, zaczął wietrzyć.

Wtenczas jednak, we wczesnych godzinach nocnych pierwszego kwietnia wyglądało to tak, że po prostu pierwszy raz spotkali się świadomie: Johanna Lenz i Adalbert Wecker.

Zdarzyło się to przed domem, w którym mieszkali. On już od kilku lat, ona od kilku miesięcy. Budynek znajdował się w Monachium, przy Germaniastrasse 175, w dzielnicy 22 zwanej Schwabingiem. Dla niej właściwe były: Inspektorat policji 5, przy Maria Josepha Strasse 3, telefon 39 60 66. Poczta: Monachium 40. Urząd Stanu Cywilnego I. Gdyby ktoś życzył sobie opieki duchowej, do dyspozycji były: Dla wierzących, rzymskich katolików - Maryja od Dobrej Rady; dla ewangelików zaś kościół Zbawiciela.

Tych zaś wzniesionych tutaj, jedno nad drugim pięciu pięter, nie można było w żadnym wypadku, ze względu na ich cementową monotonię, uznać za coś typowego dla Monachium. Tego rodzaju pomysły można było przy tym wyobrazić sobie w niejednym innym, większym mieście zachodniej pozostałości Niemiec. To taka oszczędnościowa, użytkowa architektura. Jeśli nawet twór sklecony w ten sposób, z miejsca nie kojarzył się ze znormalizowanym śmietniskiem dla ludzi, czym w

istocie był, mieszkańcy jego rozeznawali to dopiero później. Jeśli w ogóle rozeznawali.

W jego ciasno nad sobą nawarstwionych piętach znajdowały się tak zwane lokale, struktury mieszkalnego pszczelego plastra, o jednym, dwu, trzech pomieszczeniach.

Były wyposażone we współczesny „standard”. Ogrzewanie podłogowe działające umiarkowanie, wodę, zazwyczaj sącząca się

przynajmniej w kuchni i toalecie. Poza tym było tam, zapewne uznawane za komfort szczególnie, generalne urządzenie wentylacyjne, któremu zawsze udawało się równomierne rozprowadzanie po domu przenikliwych odorów kuchennych i całej reszty miazmatów.

Tam więc, przed tym domem stali teraz, blisko wejściowych drzwi, znormalizowanych, nader funkcjonalnych, skleconych fabrycznie, prymitywnych i użytkowych.

- Ma pan klucz do tego domu? A może tylko stoi pan tak sobie? - zapytała natarczywie Johanna.

- Rzeczywiście tylko tak sobie stoję. Żeby jeszcze trochę ponapawać się przestrzenią tej nocy. Zwłaszcza, że po długiej i trzaskającej mrozami zimie, jest to pierwsza noc zapowiadająca wiosnę. Nie interesuje to pani? Nie musi. Pani pragnie tylko dowiedzieć się, czy mam klucz do budynku? Zgadza się, mam.

- Proszę więc te drzwi otworzyć!

- Czemu miałbym to zrobić? -

Adalbert Wecker czynił wrażenie człowieka żadnego przygody. Również on, a któż jest od tego wolny, miał skłonności do lekkomyślnego zuchwalstwa. Nie były one u niego przypadkowe. - Dlaczego więc? - powtórzył.

- Bo mieszkam tutaj, mój panie! Całkiem po prostu.

- Nie mając klucza do wejściowych drzwi? Wydaje mi się to jakieś dziwne. Czy mogłaby pani wytłumaczyć to nieco dokładniej?

- A co to pana obchodzi, człowieku - zareagowała zdecydowanie niechętnie Johanna.

- Możliwe, że w ogóle nie, a może nawet bardzo. - Wecker zadał sobie niejaki trud, by ukryć wzbierającą w nim wesołość. - Nie dawniej jak w ubiegłym tygodniu usłyszałem, że w tym to domu pewien rozjuszony

młodzian próbował poczynać sobie nader gwałtownie. I to dlatego, żeby ukrócić pewne stosunki, utrzymywane przez ponoć tylko dla niego zarezerwowaną przyjaciółkę. Domyślił się ich, ale przy tym rozwalił nogą drzwi, co zresztą jest tu możliwe do zrealizowania bez większych trudności. Są jak z papieru, z najcieńszej sklejki!

- Mój Boże, co mnie to obchodzi? Co mi też pan imputuje? Czy robię wrażenie takiej niepowściągliwej?

- Nie to od razu, szanowna pani. Teraz jednak, nawet jeśli nie wydaje mi się pani zdenerwowana, jest pani przecież wyraźnie zaniepokojona. Dlaczego?  
Nastąpiło wyjaśnienie, którego, jak na to wyglądało, domagał się z uprzejmą wytrwałością ów mężczyzna. Przystąpiła na nie, gdyż oczywiście musiała. Jeszcze bez szczególnej ekscytacji, ale z wciąż narastającym oburzeniem. Trudno jej było, tak po prostu, przyjąć tego rodzaju wymagania.

- No więc! Mieszkam tutaj, na czwartym piętrze, razem z małą córką, Ireną. Ona tam na mnie czeka. Widocznie wyłączyła domofon. Mogę teraz dzwonić, ile tylko zechcę. Nie zgłasza się! Martwi mnie to. Czy pan nie rozumie?  
Teraz nastąpiła reakcja Adalberta Weckera, którą można było uznać za całkiem jednoznaczna. Bez najmniejszej zwłoki otworzył Johannes drzwi domu, wpuścił ją do windy i dotrzymał towarzystwa w czasie jazdy w górę, na czwarte piętro.

Okazywane zaangażowanie i uwaga były w jakiś sposób zaskakujące, ale raczej dla kogoś, kto nie miał okazji dokładnego, a choćby pobieżnego poznania owego Weckera.

Na górze, na czwartym piętrze,  
Johanna Lenz, z ledwie dającym  
się ukryć z troskaniem

pospieszyła ku drzwiom, które najwyraźniej wiodły do jej mieszkania, co Adalbert stwierdził niejako mimochodem. Wiedział zresztą o tym od dawna. Owe o piętro niżej mieszkające istoty nie były poza tym nigdy dokuczliwie hałaśliwe, ani też nie rozprzestrzeniały przenikliwych woni potraw. Tym samym nie były nieprzyjemnymi współmieszkankami, a to nastrajało go przyjaźnie.  
Drzwi do tamtego mieszkania były również zrobione z cienkich, wysuszonych płyt sklejk. Można było, o czym wiedzieli nawet niedoświadczeni włamywacze, wywalić je bez trudności. Jednocześnie pełniły rolę dźwięcznej płyty rezonansowej, zdolnej do przenoszenia słów z niemal niepomniejszym natężeniem. Teraz wykorzystwała to Johanna. - Dziecko! Jesteś tam? Ireno? Co się stało, czemu się nie zgłaszałaś? Tu twoja mama! Nie poznajesz mnie?  
Na to drzwi otworzyły się powoli. Ukazało się w nich dziecko dwunastoletnie. Z jasnymi kosmykami włosów i niewinną anielską twarzą, taką jakie niegdyś malował Rafael. Było cokolwiek wzburzone, jednocześnie zaś czujne, niemal czające się. - Nie boję się, mamó, ale nie czuję się najlepiej. Jakoś mi niedobrze.

- Ale dlaczego? - Dziecko zostało wzięte w ramiona, zapewne po to, by, jak pomyślał przyglądający się temu, okazać mu zdeterminowaną gotowość przyjścia z pomocą. - Co się z tobą dzieje? Dlaczego ci niedobrze? Czy może ktoś znowu... Muszę to wiedzieć dokładnie, musisz mi o tym powiedzieć!

- Nie postąpiła pani prawidłowo - zasugerował Adalbert Wecker, który zatrzymał

się przy windzie. - Domaganie się drastycznych informacji, jeśli wolno mi radzić, nigdy nie powinno mieć miejsca w obecności obcych. Troska nie powinna niczego ponaglać. Coś takiego wymaga właściwej pory.

- Co to w ogóle pana obchodzi, panie! - Matka Ireny, Johanna, zareagowała jednoznacznie negatywnie. W ramionach trzymała pobladłe dziecko, ono zaś, mimo niemałego wzburzenia, patrzyło na mężczyznę z wielką ciekawością.

- Kim jesteś? - zapragnęła dowiedzieć się Irena.

- Kimś, kto tu przypadkiem mieszka. Swego rodzaju wujkiem, możliwe, że jednym z kilku, których masz na naszym piątym piętrze, a co możesz zapewne potwierdzić. Przy okazji porozmawiamy sobie o tym. Jak myślisz?

- Niech pan łaskawie trzyma się z daleka! - zażądała pani Lenz ucinając dyskurs. Po czym dodała: - Jeśli mogę o to prosić!

- Zrobię to, jeśli pani sobie tego życzy. Nawet chętnie - zapewnił Adalbert Wecker. - Niech się pani dobrze żyje, kochana pani, wraz z pani małą córeczką. Jeśli to się pani tutaj uda.

\*\*            \*\*            \*\*

Późnym wieczorem następnego dnia, znów przed rozpoczęciem kolejnej nocy, a to, co tu decydujące, miało dziać się nocami, Adalbert Wecker opuścił swe mieszkanie na piątym piętrze, przy Germaniastrasse 175 w Monachium. Znowu dane mu było spędzenie dnia w zacisznym pokoju, wolnego od natrętnych problemów trapiących innych ludzi. Samotny jak zawsze, nigdy jednak nie osamotniony, otoczony był swoimi książkami i płytami gramofonowymi. Jego intymny świat, tak jak świat Szekspira, zapełniony był mordercami królów i mordującymi królami,

zamieszkały przez błaznów i głupców, zrosnięty z przestępczą tępotą i tępyimi przestępcami. Nadto rozbrzmiewały w nim odgłosy muzyki, zazwyczaj Bacha, to znów Schuberta. W tym świecie był szczęśliwy.

Jednakże wciąż i wciąż nachodziło go budzące się pragnienie, by spotkać człowieka, jeśli tylko możliwe, rozumnego i przenikniętego uczuciem. Chętnie widziałby tę osobę blisko w zasięgu ręki, ale znowu jeśli możliwe, bez osobistego kontaktu. Tym czego pożądał, była swoista bliskość, do której jednocześnie należał pewien dystans.

Ponownie wszedł do ciasnej windy tego domu, żeby zjechać na dół. Nie bez często nachodzącej go ciekawości wypatrywał sygnałów uwidacznianych w tym środku transportu. Najczęściej szło w nich o komunikaty dotyczące reakcji podbrzusza, nie różniące się od tych, które znajduje się w publicznych ustępach, zwłaszcza zaś na dworcach. Coś takiego można było napotkać i tutaj, choć rzadko kiedy napisy zachowywały się na dłużej. O to dbał dozorca domu i mówiło się, że usuwanie tych graffiti, to bodaj główne jego zajęcie.

Wymazywał więc owe obscena; zamalowywał, mniej więcej raz, dwa razy w tygodniu wszystko co się ukazało. Na przykład grubo namalowanego penisa albo wydrapane wysypisko jakichś zmierzwiionych śmieci, zapewne w zamyśle do niego przynależne.

Od czasu do czasu informacje, takie jak „Zuzanna to świnią” albo „gówniara Monika robi wszystko”.

Były to zapewne produkcje

spiesznych gości tego domu,  
owych często zmieniających się  
mieszkańców niższych  
kondygnacji. Napływających i  
odpływających elementów, które  
zadbały o zostawienie tu swoich

śladów namazanych pisakami, wyskrobanych nożami, kluczami, korkociągami. Tym razem spostrzegawczy Adalbert Wecker, którego uwagi nie uchodziło niemal nic z tego, co chciał żeby nie uszło, dostrzegł produkcję specjalną, jakiej przynajmniej wczoraj w nocy jeszcze nie było. Na tylnej ścianie windy znajdowało się słowo napisane z plakatowym rozmachem, z pomocą rozplywającego się filcowego mazaka, dominujące nad wszystkim słowo „dzieciojebiec”. Pod nim można było dostrzec literę wyglądającą na „W”. Obok widniała cyfra, rzymska trójka. W tym wszystkim szło, próbował skonkretyzować uważny obserwator, o ewidentną, całkiem bezpośrednią, celową informację, jakich poprzednio chyba nigdy tu nie było. W każdym razie nie znajdował dotychczas takich, podobnych do prymitywnego bezpośredniego wskazania palcem. Adalbert Wecker poczuł więc pokusę dokładniejszego zajęcia się tą sprawą. By tak się stało, wystarczyła w zupełności szybka jazda windą, z piątego piętra na parter, trwająca około dziesięciu sekund.

Kiedy odczuł ową potrzebę przeprowadzenia tu szybkiego i zdecydowanego, choć niewielkiego dochodzenia, a pomyślał o tym chyba i dlatego, że obiecywał sobie zajmującą rozrywkę, naszła go refleksja, że może jednak tak nie będzie. Całkiem bowiem komunikatywne, a może i zupełnie jednoznaczne, owych graffiti jednak nie było.

Adalbert Wecker nie udał się

więc, tak jak zrazu zamierzał,  
ku wabiącej, przedwiosennej  
nocy. Zamiast tego, pozwolił  
sobie na całkiem niezwykle  
najście. On, który zazwyczaj  
prezentował się jako coś w  
rodzaju ludzkiego cienia, teraz,  
wyglądało na to, postanowił

wkroczyć zdecydowanie.

Już się nie wahał, czy ma odwiedzić położone na parterze mieszkanie dozorca domu.

\*\*            \*\*            \*\*

Dozorca, otulony kąpielowym szlafrokiem w jaskrawo czerwone kwiatowe wzory na krzykliwym żółtym tle, pokazał się dopiero po paru minutach. Był wyraźnie niechętny, zapewne wyrwany z najgłębszego pierwszego snu, a jeśli nie, to być może odciągnięto go od dopełniania małżeńskiego obowiązku.

- Wypraszam sobie tego rodzaju natręctwo - warczał niczym podwórzowy pies i nawet kiedy już rozpoznał, kto przed nim stoi, dodał z niełaskawą pewnością siebie: - Wypraszam sobie, nawet jeśli dotyczy to pana!

- Co przecież nie wadzi temu, że już tu jestem. Być może powinien mi pan nawet okazać wdzięczność. Dlaczego zaś, spróbuję panu wyjaśnić, panie dozorczo.

Dozorcą był niejaki Erwin Tatzer; około pięćdziesiątki, przebiegły, opryskliwy, skryty człowiek, u którego w każdej chwili mógł się objawić ośli upór. Dochodziło do tego zwłaszcza wówczas, gdy uznawał, a dość mu było domniemania, że będzie musiał się bronić przed kimś, z którego strony groziło powątpiewanie w jego zdeklarowaną pilność, sprawdzoną dbałość, ustaloną prezencję. Uważał się bowiem za jednego z najlepszych. Czy było to jednak doceniane?

- A więc wielce szanowny panie

Wecker, czego pan ode mnie chce?

O tak późnej godzinie?

- Tylko pewnego wyjaśnienia, możliwe, że dotyczącego drobnostki.

- No to jakiej? - zapytał nieprzyjaźnie. Wydało mu się przy tym, że zjawił się tu, i to nie pierwszy raz, ktoś w rodzaju

osobnika zdeterminowanego walką klas. Przesłanek, które nakłaniały go do zajęcia takiego stanowiska, było w tym czynszowym, wątpliwej reputacji domu zawsze na tuziny. Żyli tu bowiem Turcy i wszelki arogancki oraz rozpychający się motłoch, który stawał się coraz bardziej bezceremonialnie natarczywy. Czyżby i ten, dotychczas raczej skromny, nie całkiem postarzały starzec z piątego piętra miał mieć coś wspólnego z tamtymi?

- Mógłby mnie pan, panie

Wecker, taką mam propozycję, odwiedzić rano. Teraz, w każdym razie, mam zamiar spać!

- Czego też panu życzyłbym jak zwykle serdecznie. Jednakże nie zaraz, dopóki mi pan nie wyjaśni pewnych spraw, panie Tatzer.

Ciągle jeszcze stali naprzeciwko siebie, u szpary uchylonych drzwi mieszkania dozorczy domu. Erwin Tatzer posapywał coraz bardziej niechętnie, miał też coraz wyraźniejsze przecucie, że powinien być sceptyczny, a nawet podejrzliwy. Trzeba było liczyć się z tym, że ów tajemniczo buszujący dookoła wężyciel przyszedł doń z jakimś wyraźnym podejrzeniem. Czego od niego chce?

Miał się przekonać niezwłocznie, bowiem Adalbert Wecker po prostu zapytał: - Niech pan spróbuje wyjaśnić mi, Tatzer, dlaczego na ścianie windy namazał pan słowo „dzieciojebiec”. Do tego zaś „W” z dodatkiem III. Co miał pan na myśli? O kim pan myślał?

- Chyba usłyszałem niedokładnie, szanowny panie! - Tatzer zdawał się mieć zdolność zdumiewającego przeobrażania się z chwili na chwilę, gdyż oto teraz zareagował tak zdecydowanie łagodnie, iż żaden baranek nie potrafiłby patrzeć pocziwiej. - Ależ, ależ szanowny panie, chyba nie



próbuje pan przylepić czegoś do mnie? A już zwłaszcza czegoś takiego! Tego nie może mi pan udowodnić. Nikt nie może.

- Myli się pan i to zasadniczo, panie Tatzler, ciągle jeszcze tutejszy dozorca. - Jeśli oba baranki należały w tej chwili do jednego stada, szybko stało się jasne, który z nich jest zwierzęciem przewodnim. - Przecież jeśli idzie o tę fatalną pisaninę w windzie, użył pan akurat tego samego filcowego mazaka, z pomocą którego nam, swoim podopiecznym mieszkańcom domu, maluje pan od czasu do czasu komunikaty. Choćby o wywozie śmieci, kontroli ogrzewania, o rozliczeniach za wodę. A teraz właśnie tamto!

- Człowieku, panie! Panie

Wecker! Chyba mnie pan nie podejrzewa? Mnie! - Można powiedzieć, że nie kapitulując skulił się w sobie, choć poddanie zdawało się bliskie.

- Ach człowieku, dozorca, pan jest tym, tylko pan, który babrze się tu we własnym łajnie, zuchwały i lekkomyślny, a do tego pełen najgłupszych wydumek. Pan nawet nie usiłował zmienić charakteru pisma. Mógł pan przynajmniej posłużyć się drukowanymi literami! To czego pan tam sobie nawarzył, jest czystą fuszerką. Całkiem prymitywną próbą manipulacji, którą może przejrzeć byle dziecko. Zrozumiano?

Były to stwierdzenia, które zdołały przestraszyć Tatzera w zauważalnym stopniu. Jeśli przy tym nie pobałdł, to chyba tylko dlatego, że nie był mu dany nadmiar subtelniejszych odruchów. - Panie Wecker, wiem, że w administracji domu wcale nie ma takich, którzy mnie chcą powiesić! Załatwić mnie chcą! A teraz jeszcze pan!

- Ach, najlepszy panie dozorca! Czy pan nie zauważył, że idzie tu o coś więcej niżli o

pańską pracę? Czy to nie dość łatwo wyobrażalne, że z taką dającą się zidentyfikować pisaniną może pan trafić prosto w ręce policji? Ona zaś tego rodzaju postępek mogłaby, musiałyby nawet, poddać prawnej procedurze. Chce pan, żeby do tego doszło?

- Nie chcę - wykrztusił Erwin

Tatzler i zdawało się, że zmalał cały w potulnej uległości wobec tamtego wątlęgo, średniego wzrostu człowieka. Ów jednak nawet nie chciał na niego patrzeć. Czekał tylko i nawet specjalnie nie nasłuchiwał. Nie na darmo.

- Jak pan myśli, panie Wecker, mógłbym z tego wyleźć? - Z tego mianowicie, w czym dostrzegł, jak mniemał, rodzaj podstępnej pułapki.

W związku z tym został uświadomiony i nawet nastawiło go to ustępliwie. - Po pierwsze i przede wszystkim, panie Tatzler, musiałby pan potwierdzić mi osobiście to, co w końcu właśnie obwieścił pan, można rzec, publicznie. Tam przecież niejaki „W” został przez pana określony jako „dzieciojebiec”. Przy czym, bez szczególnego trudu, a mianowicie ze względu na pański dopisek „III” można doszukać się tego, że owo „W” jest jednoznaczne z Wesendungiem. To Waldemar Wesendung, zamieszkały na trzecim piętrze tego domu. Zgadza się?

- No tak, no tak!? Ale jeśli potwierdzę to panu, co będzie potem, panie Wecker?

- Potem, przede wszystkim przyjmę to jedynie do wiadomości. Panu zaś udzielę następnie praktycznej rady. - Rada była fałszywa, ale we wstępnym stadium tych zdarzeń nawet

Wecker nie od razu rozpoznał, że właśnie taka fałszywa jest. - Nie zwlekając usunie pan tamto świństwo w ten

sposób, że je pan zamaluje możliwie grubą warstwą olejnej farby.

- Zrobię to, tak jest.

Natychmiast!

- Nie natychmiast, panie

Tatzer. W każdym razie nie wcześniej, zanim mi pan nie udzieli możliwie przekonującego wyjaśnienia. Obstawiam przy tym stanowczo. Co skłoniło pana do tego, żeby umieścić tam ów cuchnący gnój, podać go, można rzec, wszystkim mieszkańcom domu do wiadomości?

- Czy muszę, panie Wecker?

- Musi pan, Tatzer! A że tego chcę, zrobi pan to. Jasne?

\*\*                      \*\*                      \*\*

W tym samym czasie, w prezydium policji przebywał radca kryminalny Wachsmann, szef specjalnych komisji, biegły w dziedzinie zbrodni. Jeszcze ta noc nie zrodziła swoich potworności, nie naprodukowała nieboszczyków zmarłych gwałtowną śmiercią, z wyjątkiem jednej ofiary drogowego wypadku, ale to go jednak nie obchodziło. Miał więc dość czasu, żeby przesiadywać nad aktami spraw, których nie można było dokończyć. Mógł pochylić się nad zdarzeniami, nie pozwalającymi się rozwikłać. Zawsze górowało w nim dążenie do klarowności, jeśli w ogóle była ona możliwa w jego fachu, w jego codzienności przepełnionej nieboszczykami. Nie był teoretykiem, ani statystykiem, a jednak niekiedy bywał zmuszony do zajmowania się tymi aspektami spraw.

Tym razem zostało mu

przedłożone zapytanie, prośba o określone informacje, dość niezwykłe, które jednak musiały być wyszukane niezwłocznie. A oto charakterystyka osobowa tego, który pragnął dowiedzieć się owych detali: Keller, emerytowany komisarz kryminalny, rzeczywiście uprawniony do

tytułu „wielkiego człowieka urzędu”, specjalista w dziedzinie kryminalistyki, człowiek o niezwykłym doświadczeniu i zdolnościach. Nawet prezydent policji zwykł nie tylko rozmawiać z nim wyłącznie z najwyższym respektem, co więcej, zasięgał jego rad w drażliwych sytuacjach i nawet stosował się do nich. Tym razem „wielki staruch” skierował do swojego kolegi Wachsmanna, z którym nawzajem się cenili, tylko jedną notatkę dotyczącą prawdopodobnie kontynuowanych przez siebie studyjnych opracowań kryminalistycznych. Brzmiała ona tak: „Czy to

prawda, że wzrasta liczba przestępstw seksualnych? Jeśli tak, to w jakiej skali?"

Cóż w przypadku interpelacji zgłoszonej przez Kellera mogło być bardziej oczywiste niżli to, że Wachsmann poszedł jej tropem, nawet jeśli zrazu pytanie nieco go zdziwiło? Wypracowany przez różnych urzędników rezultat leżał teraz przed nim i wprowadził go w jeszcze większe zdziwienie.

Sięgnął po słuchawkę telefonu i kazał połączyć się z Kellerem. Tamten również był zdeklarowanym, nocnym pracusiem i także siedział za swoim biurkiem. Był samotny, podczas gdy Wachsmanna otaczał w prezydium policji war piekielnego kotła policyjnej ruchliwości.

Po krótkim, serdecznym powitaniu radca kryminalny zapytał: „Skąd mogłeś o tym wiedzieć?"

**Emerytowany komisarz**

kryminalny: - Powinieneś się orientować, że właściwie nie przywiązuję szczególnej wagi do tego, żeby wiedzieć dużo. Wiedzę poprzedza jednak przeczucie, a do tego u nas, specjalistów w dziedzinie kryminalistyki, dochodzi jeszcze coś w rodzaju

zawodowego instynktu. Czy moje przewidywanie sprawdziło się?

Wachsmann: - Jak na to wpadłeś? Seksualność, jej rodzaje i wynaturzenia, od dawna już nie stanowią dla naszego prezydium policji żadnego istotnego problemu. I to od 1969 roku, kiedy uchwalono zliberalizowaną ustawę karną. - Ze zliberalizowanymi zmianami określenia przestępstw, takich jak niewierność małżeńska, homoseksualizm, sodomia, prostytutka, stręczycielstwo i publikacje pornograficzne. - No, bez względu na to jaki ma się do tego stosunek, ułatwiło to naszą pracę i oszczędziło sporo kłopotów.

Keller: - Chętnie też pozbyłście się tego. Teraz jednak najwidoczniej grozi nam znów przypływ tego wszystkiego i to w fatalnie zwiększonej skali. Jak to się rozkłada w czasie?

Wachsmann: - Niejako pobudzony przez ciebie dogrzebałem się, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat wzrost liczby tego rodzaju przestępstw wynosił najpierw trzy, potem pięć, a w końcu siedem procent. Ostatnio, należy przypuszczać, będzie dziesięć i więcej, pomijając ewidentnie duże, ciemne liczby dotyczące tych przypadków. W każdym razie jest to wzrost, jakiego prawdę mówiąc, nigdy nie uważałem za możliwy. Potrafisz mi wyjaśnić dlaczego tak się dzieje?

Keller: - Prawodawstwo nierzadko opiera się na poglądach kształtowanych przez aktualne nurty myślowe epoki. Na to, że poglądy nie muszą być czymś innym, niżli spiesznie zakorzenionymi przesadami, można znaleźć wiele przykładów. Historia pełna jest tego. Pozostajemy jednak w tym małym, ale przecież naszym świecie, którego mamy strzec, choć w żadnym wypadku nie pilnować nadmiernie.

Wachsmann: - Ale co tym razem skierowało twoją uwagę w stronę seksualności, do której powinniśmy się wtrącać tak mało, jak to tylko możliwe? Po to, żeby nie nazwano nas wężycielami.

Keller: - Może jednak, nawet gdyby miało się to okazać groteskowe, dojdziemy i do tego, że będziemy się jawić jako wężące psy. W każdym razie niektórym podstawowym wartościom grozi dewaluacja. Takim pojęciom jak odrębność albo anomalia nie jest, jak na to wygląda, przypisywane szczególne znaczenie. Może w liberalizmie i w tolerancji mieści się to, co nasi urzędnicy wzruszając ramionami uznają za obowiązujące, a co sprowadza się do tego, żeby dobrym przeciw ludziom pozwolić na robienie wszystkiego, na co mają ochotę albo do czego popycha ich pożądanie. A więc każdy z kimkolwiek, wszyscy z wszystkimi. Cóż więc miałyby nas obchodzić kiedy, gdzie, dlaczego i co tam jeszcze!

Wachsmann: - W twoich ustach, drogi przyjacielu i kolego, brzmi to jednak trochę dziwnie. W służbie ładu społecznego nie byłeś nigdy funkcjonariuszem tak zdeterminowanym, jak choćby nasz dawny kolega Wecker. Ani zdeklarowanym apostołem moralności.

Keller: - Istnieją jednak granice, w każdym razie dla mnie. Rozpoznawalne są wtenczas, gdy prawodawca demontuje pewne ograniczenia w dziedzinie seksu robiąc to w imię wolności, a co prowadzi do znacznej swobody nie powodującej jednak radykalnego spadku liczby wykroczeń czy też przestępstw, a wręcz przeciwnie, zaczynają się one mnożyć. Co znaczy, że to i owo nie trzymało się kupy.

**Wachsmann: - Mój drogi, tego**

słucha się tak, jakbyś usiłował

nam przypisać określoną winę. Policji! To ci się jednak nie uda.

Keller: - A może mimo wszystko? Zobaczmy najpierw co się jeszcze z tego wykluje. Czegoś takiego, mówiąc dokładnie, należałoby się lękać.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Dozorca domu Erwin Tatzer

wydawał się pojmować, że nie ma już innego wyboru i powinien „powierzyć się” owemu tak niespodziewanie natarczywemu człowiekowi. Z konieczności, ale w żadnym wypadku nie z własnej chęci i nie bez postawienia warunków tamtemu tajemniczemu łązędze. - Nie chciałbym tym pana obarczać, panie Wecker! Jeśli jednak upiera się pan, zaufam panu.

- Nie jest to celnie sformułowane, panie Tatzer - uświadomił go tamten z łagodną uporczywością - gdyż obciążony jest tu pan. I co by miało znaczyć zaufanie okazane właśnie mnie? Ostatecznie mogę być kimkolwiek, byle nie zdeklarowanym duszpasterzem. Przede wszystkim jestem ciekawy. Denerwuje to pana? Nie? Ale powinno, jeśli mogę panu radzić. Ciągle jeszcze znajdowali się na parterze, przed drzwiami mieszkania dozorca. O tak późnej porze nikt im raczej nie przeszkadzał. Tatzer stał lekko przygarbiony i wyglądało na to, że zadaje sobie trud, by upodobnić się do zacnego, domowego psa. Robił przy tym jednak uniki, by nie można mu było zajrzeć w oczy, które przymknął tak, jakby chciał ukryć rozbłyskującą w nich kocią przebiegłość.

Jego gość oparł się o najbliższą ścianę. Z tego też miejsca i z pozornie niedbałą uwagą przypatrywał się indagowanemu. - A więc? Słucham.

- No to, panie Wecker, jak pan przecież wie, jestem tu dozorcą.

Z pewnością bardzo dobrym, co mówiono o mnie już wiele razy. Na przykład mówiła to szanowna i wielmożna pani, która zajmuje apartament na samej górze, nad panem. Jest to pewna, nie tylko w naszym mieście wpływowa dama, która mnie, mogę to powiedzieć, docenia. Tego chyba nie powinien pan lekceważyć.

- Tamta dama mnie nie interesuje! - Zabrzmiało to szorstko i odpychająco. - Jest mi całkiem obojętne, kogo ona tam ceni, a kogo nie. Tym co obchodzi mnie wyłącznie, są pańskie całkiem osobiste powody, które skłoniły pana do namazania tego rodzaju bazgroł. Dłaczego więc, Tatzer?

- Było nie było mam rodzinę! -

Tatzer czuł się nieustannie prowokowany i zapędzony w ślepa uliczkę. Że też musi, nawet jeśli ze zgrzytaniem zębami, poddawać się takiej pytaninie. - W każdym razie bardzo przeze mnie kochaną rodzinę. Tak jest i tak powinno być. Mam dobrą żonę i grzecznego syna, którzy, można powiedzieć, przypadli mi do serca. A właśnie w związku z tą sprawą idzie i o syna. Na imię ma Thomas i ma dziewięć lat. Zna go pan?

Może tak, może nie. Tę kwestię Adalbert Wecker pozostawił całkowicie otwartą. Dał przez to wyraźnie do poznania, że nie jest tu po to, by odpowiadać na pytania, ale po to, by je zadawać. W tym domu żyje około sześćdziesięciu osób i do tego, by poznać je wszystkie, nawet się nie przymierzał. Wpłynęło też na to jego wieloletnie doświadczenie. Teraz jednak przymus dokładniejszego poznania niektórych współmieszkańców zaczął mu się jawić jako coś, czego nie uniknie. Zawierał też nadzieję na zetknięcie się z niejedną osobowością.

- A więc, co jest z pana synem, Thomasem?

- Ach, wie pan, szanowny panie

Wecker, chyba musi pan o tym wiedzieć, Thomas jest właściwie bardzo kochanym i dobrym chłopcem. Jest, niestety zbyt dobroduszny. Do tego zaś chory, bardzo nawet chory, nie tylko fizycznie, ale można powiedzieć, umysłowo. Jest biednym, pożałowania godnym, ciężko upośledzonym dzieckiem. - W związku zaś z tym, tego się można było dosłuchać, on sam jest dotkniętym licznymi plagami, ciężko doświadczonym ojcem, który cierpi z godnością.

- Bardzo mi przykro, panie

Tatzer - zabrzmiało niezwykle współczująco - kiedy słyszę o czymś takim.

- Teraz, możliwe, że znajdzie pan w sobie coś w rodzaju zrozumienia dla mojej sytuacji.

Jedynie z tego powodu, musi pan wiedzieć, wynikła cała ta historia. Nieuchronnie.

- Ów rzeczywiście godny pożałowania stan pańskiego syna, jest tu zapewne jedną sprawą - powiedział ogólnikowo, a jednocześnie ostrzegawczo Wecker - drugą zaś, całkiem inną, jest pańska pisanina w windzie. Czy też należałoby może jedno i drugie traktować w jakiejś ściśle określonej zależności?

- Połapał się pan całkiem prawidłowo. Tak to właśnie jest, panie Wecker! Powinien pan wiedzieć, że jestem człowiekiem bardzo zalatany. Naprawdę nie mogę być wszędzie na raz.

- Przez co chce pan rzec, iż nie ma pan dosyć czasu, ani okazji, żeby opiekować się należycie swoim upośledzonym synem Thomasem?

- Pan to powiedział, i taka jest prawda. Właściwie to zawsze tego chciałem, ale nie udawało się tak zrobić.

- I dlatego, przypuszczam, inni zajęli się pańskim biednym, ukochanym dzieckiem. Może ów Wesendung z trzeciego piętra?

- Już pan o tym wie?

- Niczego nie wiem, zaczynam tylko pojmować do czego pan zmierza. Do tego, że widocznie kozioł znowu został ogrodnikiem.

- Tak, panie Wecker, tak to mniej więcej chyba było. Do czego, o niczym nie wiedząc i mając zaufanie, bo taki już jestem, nie miałem zastrzeżeń. Zwłaszcza, że Thomas czuł się u Wesendunga bezpiecznie. Nie miałem zastrzeżeń, a ten facet zdemaskował się jako podły gorszyiciel dzieci i nie powstrzymał się od bezwstydnego wykorzystania tego rodzaju pięknej, ufnej, wynikającej z szukania pomocy sympatii. Posunął się aż do najbardziej paskudnego nadużycia! Tak jest!

\*\*                    \*\*                    \*\*

Teraz wyglądało to tak, jakby Adalbert Wecker chciał się cofnąć, co jednak nie było tu raczej możliwe, bo w końcu stał właśnie oparty plecami o ścianę. Rozejrzał się niemal gotowy do odwrotu, ale stwierdził, że warunki lokalowe w tym czynszowym ulu były przegnąbiająco mizerne. Wejściowe drzwi, to nie więcej niżli szpara. Winda podobna do klatki. Korytarze, jak chodniki w kopalni. Kto chciał tu oddychać swobodnie, powinien mieć płuca zdolne do znacznego wysiłku, a Wecker widocznie takie miał.

- Ach, Tatzler, jeśli pan rzeczywiście jest przekonany, że zdarzyły się tego rodzaju okropności, powinien pan niezwłocznie zwrócić się do policji. Co chce pan osiągnąć z pomocą tamtej bazgraniny?

Niczego pan nie osiągnie. Robi pan tylko złą krew, podsycy pan złe myśli, animuje plotkary i plotkarzy oraz w niebezpieczny sposób opóźnia pan przedsięwzięcie niezbędnych działań. Właśnie one powinny być podjęte jak najszybciej! Zanim

nie będzie za późno.

- Czy mogę pozwolić sobie na pewne pytanie, panie Wecker? - Słysząc w tym było natarczywy upór. - Czy zna pan właściwie tego Wesendunga?

- Nie. I nie czuję potrzeby poznania go. - Ponownie zaznaczyła się tu gwałtowna niechęć. Jeszcze raz mogło się wydawać, że broni się on przed wciągnięciem przez bagno. - Wcale nie pragnę zaangażowania się w tę sprawę.

- Jednak powinien pan, panie

Wecker! Wtenczas też, mogę pana zapewnić, bardzo się pan zdziwi, nie będzie pan wierzył żadnym wszom, żadnym takim gadatliwym monstrem, jak ten typ! Powinien go pan wpierw obniuchać, a potem, tego jestem prawie pewny, zrozumie mnie pan. Tego rodzaju żądanie Adalbert Wecker przyjął jako swoisty zamach na siebie, na swoje spokojnie przemijające dni. Zwykle rzadko wahał się, jeśli szło o bliższe zainteresowanie ludźmi. Choćby takimi, którym mogło się być udać zamamianie go jakąś niewielką łamigłówką, po których też można było się spodziewać jakichś

raczej przyjemnych ludzkich tajemnic. Ale mieszać się do czegoś tak odstręczającego?

Jeśli nawet teraz, co raczej zrozumiała, ogarnęła Adalberta Weckera nagła chęć odejścia z owego miejsca, to jednak tego nie zrobił. Istniało bowiem jeszcze sporo szczegółów, których chciał się dowiedzieć i nie oszczędził sobie tego.

- Wiele jest różności, panie  
Tatzer, których się pan domyśla!  
Chyba też nie zdoła pan  
wszystkiego wiarygodnie  
udowodnić, zwłaszcza, że  
prawdopodobnie i pan uznał, iż  
tak będzie, skoro jako świadek  
może wystąpić pański upośledzony  
syn. Ponadto myślę, uświadomił  
pan sobie, że daleko panu do

tego Wesendunga. Z nim pan sobie nie poradzi, bo pana i panu podobnych jest on w stanie zagadać na śmierć.

- No to jednak dobrze myślałem! Pan zna tego oślizłego węgorza, co? Tego najbardziej wrednego spośród wszystkich ciemnych typów!

- Nie o to idzie - stwierdził zdecydowanie Wecker, ciągle demonstrując uporczywą niechęć.

- Było nie było, zaczynam dokładniej poznawać pana, choć tego też właściwie nie pragnę. Jeśli jednak celowo i po starannym namyśle próbował pan owego Wesendunga ogłosić „dzieciojebcem”, przyświecał panu jakiś cel. Ale jaki?

- Chciałem go ostrzec, tego notorycznego, gównianego hańbiciela dzieci! Ostatni raz! Żeby wreszcie skończył z tymi swoimi podstępными świństwami, żeby przestał wyciągać swoje brudne łapy po mojego chłopaka! Ale jeśli ta zboczona świnia nie zareaguje nawet i na to...

- No to co wówczas?

- Wtedy załatwię go i to na amen - powiedział zadziwiająco serio, a przy tym tonem podniosłym, uroczystym i z na wpół zamkniętymi oczami.

- Ach, mój miły panie! -

Wecker był coraz bardziej natarczywy. - Co by to panu dało? Jeśliby taka, właśnie przez pana uzewnętrzniona groźba doszła do publicznej wiadomości, ta mianowicie, że „załatwi go pan na amen”, wówczas rezultat mógłby, z czysto prawnego punktu widzenia, zostać uznany za planowe i celowo przygotowane morderstwo. Sprokurowane przy okazji zwłoki też nie stałyby się raczej oczekiwanym, szybkim rozwiązaniem wszystkiego. Stanowiłyby tylko przyczynę kolejnego unicestwienia życia.

- Jednak nie zna pan tego

Waldemara Wesendunga - stwierdził z wyraźnym żalem Tatzer. - Gdyby

tak było, panie Wecker, mówiłby pan całkiem inaczej. Ale może panu też jeszcze coś zaświta. Musi pan tylko trochę dokładniej przyjrzeć się temu gadatliwemu, nieobyczajnemu draniowi. Jeśli chciałby pan to zrobić, da się to zrobić, bo o tej porze - a była już #/22#00 - przebywa on jak zwykle w kawiarni „Lisia Nora”, gdzie szuka jeleni i wymądrza się.

- On mnie nie interesuje! - oświadczył Adalbert Wecker. - Cała ta pańska, fatalnie podejrzana historia wcale mnie nie obchodzi. Zapomniałem już o niej i o wszystkich jej szczegółach, przede wszystkim zaś o tym jakie planował pan zakończenie. Czy to jest niezrozumiałe?

- Ależ tak, rozumiem dobrze! - przestawił się szybko tamten i zaczął udawać mądrego. - Nie słyszał pan więc niczego, zwłaszcza, że i ja prawie nic nie powiedziałem.

- No to niech pan weźmie farbę oraz pędzel i to szybko, żeby usunąć z windy tamto świństwo.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Noc, w którą zanurzył się Adalbert Wecker, była chłodna i mokra. Temperatura znów groziła spadkiem do zera. Wiosna zapowiadająca się tak upojnie, okazała się przedwczesną złudą. Zima nie chciała ustąpić. W każdym razie tej nocy, tak jak niemal codziennie, Wecker szedł przez „swoją” dzielnicę Schwabing. Zachowywał charakteryzującą go skrytą czujność. Dookoła tętniło to, co nazywano „życiem”. Hałaśliwe auta, na wpół oświetlone wystawy sklepów, snujący się ludzie. Domy, które stały wzdłuż ulic, okryte mrocznym cieniem, wydawały się obwieszczać swój upadek tym, którzy skłonni byli go rozpoznać.

Wecker, niewrażliwy na pogodę

spacerowicz, postanowił obejrzeć nocną projekcję w jednym z dwu kin Leopolda. Seans rozpoczynał się o #/22#30. Zauważył jednak, że panuje tam dość spory tłok, a że nie znośił, by go gnieciono jak sardynkę w puszcze, wycofał się.

Wtenczas poczuł chęć napicia się piwa i postanowił pójść w tym celu do jakiegoś lokalu. Całkiem zresztą konkretnego.

Ruszył tedy ku kawiarni znajdującej się w tak zwanej „Lisiej Norze”, położonej nie dalej niż trzysta, a najwyżej czterysta metrów od kina. Był to, powiedzmy, że „całkiem przypadkowo” ten właśnie lokal, w którym o owej porze przebywał miał niejaki Waldemar Wesendung, domniemany „dzieciojebiec”. Warto dodać, że ten współczesny nowotwór językowy wydawał się Weckerowi nader śmiały.

„Lisją Norę” można było właściwie uważać za swego rodzaju lokal teatralny, gdyż należała do gatunku scen studyjnych. Była podobną do bunkra eksperymentalną stodołą, w której z możliwie mniejszym udziałem wykonawców niż widzów, odbywały się co wieczór spektakle, w zamyśle elitarne, a wyciskające z aktorów wiele potu. Było to w każdym razie przedsięwzięcie cieszące się, wraz z kawiarnią restauracją, sporą frekwencją. Uczęszczali tam przede wszystkim ludzie młodzi, nawet jeśli nie ci najmłodszy, to dlatego, że potrzeby kulturalne uwarunkowane są określoną intelektualną dojrzałością.

Adalbert Wecker, kiedy zjawił się tam, nie wyglądał jednak na intruza, zwłaszcza, że najwyraźniej nie chciał nikomu przeszkadzać, a sam uznany został zapewne za kogoś w rodzaju nie całkiem podstarzałego profesora.

Przepchał się do kontuaru, gdzie



zamówił pilznera. Podano mu go uprzejmie, a nawet z radością, gdyż gość z miejsca wydał się kimś przyjemnie hojnym. Zapłacił bowiem za podany mu napój, który kosztował 2 marki i 80 fenigów, pięciomarkowym banknotem. - Reszta - powiedział do dziewczyny, która go obsłużyła - dla pani, jeśli pani pozwoli. - Barmanka, studentka medycyny, której ta nocna praca była bardzo potrzebna, przyjęła to do wiadomości z radością. Uśmiechnęła się do niego. Nawet Adalbert Wecker uznał, że mu to pochlebia, choć zdawał się instynktownie pojmować, że tutaj, zgodnie z poglądem trzydziestolatków, każdy osobnik po czterdziestce jest już starcem. Niewykluczone, że myśleli: jaka to ogromna różnica czasu dzieli nas od niego. Wecker pił swojego pilznera powoli, tak jakby tylko po to tu się znalazł. Potem zapragnął dowiedzieć się od barmanki, całkiem mimochodem, czy też w lokalu znajduje się niejaki pan Wesendung.

- Ależ oczywiście! - Nie zabrzmiało to szczególnie sympatycznie. - Jak zwykle siedzi przy stole tam, w tyle, po prawej, zaraz obok drzwi do ubikacji. - Mogło się zdawać, że chciała przez to powiedzieć: właśnie tam, do tego miejsca przynależy!

Wecker poprosił o kolejnego pilznera, za którego również zapłacił szczerze. Potem, ze szklanką w ręku udał się do wskazanego stolika, na koniec sali, na prawo. Ponieważ siedział tam właśnie tylko jeden mężczyzna, musiał być nim Wesendung. Towarzyszyły mu trzy niewątpliwie prezentujące się kobieco ludzkie postacie, najwyraźniej bardzo młode.

- Czy można usiąść przy tym stole? A może przeszkadzam?
- Mnie nie! - usłyszał w

odpowiedzi. Nie zabrzmiało to odstręczająco, ale też i nie zapraszająco. - Tutaj nikt nikomu nie przeszkadza. Niech pan to przyjmie do wiadomości. Człowiek, który, jak należało się domyślać, był Waldemarem Wesendungiem, mógł uchodzić za pulchnego, a nawet nieco spasionego. NOsił koszulę drwali kanadyjskich, w dużą kratę, i widomie sfatygowane džinsy, ów modny uniform tych, którzy nie chcieli być zuniformizowani. U owego Wesendunga najbardziej godna uwagi wydała się Weckerowi czarna, drutowata, dekoracyjnie nieuporządkowana powódź włosów spływających z okrągłej głowy, sfalowana nad uszami, obramowująca twarz aż po żuchwy i podbródek, by zjednoczyć się tam z workowato zwieszającą się brodą. Wśród tego można było rozpoznać pełne wargi, duży prosty nos i raczej małe, ale przecież nie bezrozumne oczy.

- Czy jest pan pewny, że nie będę przeszkadzał pańskim rozmowom?
- W żadnym wypadku, o ile zaraz pan się nie wtrąci. Może się pan przysłuchiwać.
- Mogę?
- No, czemu nie, panie starszy! Może się pan czegoś nauczy, a na to nigdy nie jest za późno.
- Pan to powiedział, młody człowieku i tak też jest!

Adalbert Wecker postawił szklankę na stole, na najbliższym wieszaku powiesił kapelusz, płaszcz i szalik. I tym razem, jak zwykle, ubrany był ciemnoszaro, nosił też modny pulower z golfem, w stosownym kolorze. Wyglądało na to, że dba o korzystnie prezentującą się niepozorność.

Waldemar Wesendung nie uważał,  
że mu się przeszkadza. Takiego  
starego, zabłąkanego tu,

uprzejmego niedorajdy można było  
nie zauważać. Z tej też

przyczyny, brodaty, zaawansowany w latach młodzian nie powstrzymał się przed dalszą prezentacją swoich przekonań.

- W naszych, dzisiejszych czasach, ludzie wystawiani są permanentnie na pleniące się nawiedzenia i cuchnące siarką opary złudnych kłamstw - wywodził tonem świadomego misji kaznodziei przemawiającego na pustyni współczesności. - Są zaś one produkowane przez skrzętnie ściągających podatki kościelnych patronów, przez mdlący zaduch tak zwanych rodzinnych więzi, przez jakże często groteskową paplaninę dobrze płatnych, zawodowych moralistów noszących nazwę przedstawicieli ludu. Trzeba się jednak nareszcie wyzwolić z tego rozległego, bezwstydnie zakłamanego bagniska! Wówczas i tylko wówczas osiągnięta zostanie prawdziwa wolność. Człowiecza. Całkowita!

- O to też się staramy,

Waldemarze, i to jak! - zapewniła natychmiast jedna z jego słuchaczek, ta, która wyglądała na szczególnie młodą.

- Nikt z nas w końcu, już od dawna nie chodzi do kościoła! Dość dobrze wiemy też, iż tak zwana rodzina nie jest w istocie niczym innym, tylko gromadą zespoloną byle jak, a mającą na celu wspólne życie i fajdanie. Mój ojciec często zachowuje się jak niezwykle brutalny, ograniczony byk, matka zaś nie jest niczym więcej, niżli skrzyżowaniem owcy z gęsią, dającą i wełnę i mleko i pierze. Do tego wszystkiego o każdej porze można ją rznąć.

- Tylko tak dalej - zabrzmiała zachęta dla młodocianych adeptek, choć chyba nie była potrzebna.

- Czego więc oni chcą - odezwała się jedna z nich - owi zgarniający śmietankę, moralnie odstręczający ogłupiacze narodu,

owi pedagodzy z zagwarantowaną pensją, lekarze zapatrzeni jedynie w kasę albo notorycznie samozapatrujący się politycy, reprezentanci wszelkich rodzajów władzy? To oczywiste, czego chcą! Chcą napchać sobie kałdun i tylko tyle.

- Bardzo dobrze, dziewczusko.

Oceniasz prawidłowo! - potwierdził z aprobatą Wesendung uznając przy tym nowego gościa przy swoim stole za nie dość godnego uwagi. Tamten zaś, zadumany, zdawał się drzeć. Możliwe, że był wyczerpany i zmęczony; taki wyługowany staruch! Następnie trzecia młódka z owego zapewne uważającego się za duchowy związek, powiedziała coś co również nie zabrzmiało szczególnie delikatnie ani godnie. - Możliwe, że przekonania takie jak nasze, oznaczają tylko to, że jeden fajda na drugiego, wszyscy pieprzą się z wszystkimi, a uczucia to gnój! Tylko bez sentymentów. Tak to jest?

- Tobie dziewczyno nie zostało dane zrozumieć mnie w pełni. W dostatecznym stopniu! - Wesendung obrzucił ją spojrzeniem nie wolnym od wyrzutu i pogardy. - Ty jesteś przedwczorajsza. Nie masz tu nic do szukania. Odwal się, głupia gąsko!

Mój Boże, zakonotował sobie Adalbert Wecker, ta dziewczyna nie ma dwudziestu lat. Poczul też dojmujące pragnienie wmieszania się teraz do owej rozmowy. Wbrew własnemu przekonaniu, można rzec, powiedział sobie, że trzeba to zrobić.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Tej samej nocy i niemal w tym  
samym czasie Johanna Lenz  
usiłowała zająć się bliżej córką  
Ireną. Okazja była pomyślna,  
gdyż nie zjawił się żaden gość,  
choć zazwyczaj zdarzało się to i

nieuniknienie należało do tak zwanego jej zawodu.

Irenę można było nazwać słonecznie promienną istotą, o delikatnej urodzie. Miała długie blond włosy, duże niebieskie oczy, twarz subtelnie wymodelowanej lalki. To wprowadzało w błąd, gdyż owo dziecko, przynajmniej musiała uznać to jego matka, posiadało wyjątkowo intensywne i niespokojne wewnętrzne życie, przepełnione dziko rozwichrzoną fantazją i rozbudzoną ciekawością. Nadto pełne było pytań, na które nie uzyskało jeszcze odpowiedzi.

Ojca Ireny Johanna nie chciała sobie przypominać możliwie nigdy. - Dość szczęśliwie się składało, że również Irena nie pragnęła wspomnień o tym, który ją spłodził. - Była taka sama jak ona, podobna do lustrzanego jej odbicia z lat dzieciństwa. O tym, że nie było to chyba dobre, Johanna zdawała się wiedzieć. Czasem jednak panowała między nimi określona harmonia. Tego wieczoru wykapały się wspólnie, umyły zęby i znalazły się obecnie w sypialni, drugim, do klatki podobnym pomieszczeniu mieszkania. Stało tam podwójne łóżko, przeznaczone zapewne dla obu, matki i córki, jeśli nie brać pod uwagę pewnych wyjątków, które nigdy wszakże nie przeciągały się na całą noc, a trwały najwyżej dwie godziny. Były to, jak się mówi, konsekwencje zawodowe.

Tym razem nie trzeba było liczyć się z żadnymi przeszkodami. Leżały więc obok siebie, w pokoju cicho rozbrzmiewała muzyka Mozarta:

Koncert fortepianowy nr 21  
C\_dur, wykonywany przez  
Amerykanina, Murraya Perahię, z  
towarzyszeniem Angielskiej  
Orkiestry Kameralnej. Irena  
oddała się muzyce, matka  
przyglądała się jej z tkliwą

uwagą.

W końcu, po długim ociąganiu się, Johanna powiedziała: - Ostatnio wydajesz mi się, dziecko, niespokojna. Najwyraźniej źle sypiasz. Dlaczego właściwie nie możesz spać? Czy nie powinnyśmy o tym porozmawiać? - Na odpowiedź musiała poczekać, ale wyraźnie starała się zachować cierpliwość.

- Nie jest to tak, żebym się bała - usłyszała słowa Ireny. - Jednak czasem, jak na przykład wczoraj, dzieją się sprawy, które jakoś mnie niepokoją.

- Opowiedz mi o nich, miej zaufanie, proszę. To ci ulży! - Być może znaczyło to, że ulży i jej, tego jednak Johanna nie powiedziała.

- Wczoraj więc, w nocy, czekałam na ciebie! - Irena bardzo rzadko mówiła do niej „mamo”, co brzmiałoby taktowniej. - Nie przychodziłaś. Ale przyszedł ktoś inny. I zadzwonił do naszych drzwi.

- W sposób przez nas umówiony?

- A uzgodniły, że będzie to: krótko, krótko, krótko, długo. - Czy mogło to przypominać początek „Symfonii losu” Beethovena?

- Właśnie, że nie! Wtenczas jednak pomyślałam sobie, że może to któryś z twoich przyjaciół. - Można się w tym było dosłuchać:

„twoich licznych, albo niezliczonych”. - I zawołałam do niego przez drzwi: Mojej mamy nie ma!

Johanna stwierdziła, że nie była to całkiem prawidłowa reakcja, niezgodna z ustaleniami. Nie zgłosiła jednak zarzutu. - A co odpowiedział tamten człowiek pod naszymi drzwiami?

- Nic. Ani słowa. Oparł się jednak o nie i ciężko dyszał. Jak zwierzę.

- Jak zwierzę, Ireno? Może to był pies, który chciał się do ciebie dostać? Może ten mały

jamnik z niższego piętra?

- Myślisz o milutkim Goliacie?

Jego rozpoznałabym od razu, choć nigdy nie szczeka, a tylko warczy. To nie był jednak on.

- Więc kto?

- Nie wiem. Ale ktoś stał pod naszymi drzwiami. - Za którymi przykucnęła ona, najpierw trochę uradowana, w końcu cała drżąca. - I stał tam długo, bardzo długo. - Jej zdawało się, że całe godziny. - Przy tym miał zdyszany oddech, a potem sapał jak lokomotywa, której kończy się para. Prawie tak, jak niektórzy mężczyźni, kiedy są u ciebie w sypialni. - Było to już chyba najwyraźniejsze z wszystkiego, na co dziecko może pozwolić sobie w stosunku do matki. Johanna poczuła niepokój i troskę. Nie tylko ze względu na nią.

- Jakoś to się wyjaśni, drogie dziecko. Wyobrazić można sobie niejedno. Czy chcesz, żebyśmy wspólnie potrudziły się, żeby się tego doszukać?

\*\*                      \*\*                      \*\*

Niemal o tej samej porze, w kawiarni „Lisia Nora”, Adalbert Wecker stracił ochotę na dalsze ćwiczenie się w powściągliwości. Nie z powodu owego Wesendunga i jego zwolenniczek, a dlatego, że sam miał pewne słabostki.

Żadny rozrywki, pozwolił sobie zaszczyścić uświadamiające tyrady Wesendunga pewnymi realistycznymi stwierdzeniami. - W tych przekonaniach, które pan upowszechnia, idzie widocznie, jeśli je tylko zdołałem zgłębić, o pewien rodzaj podstawowej ludzkiej albo raczej nadludzkiej konstelacji. Ma ona doprowadzić do realizacji proklamowanego przez pana pragnienia przemian. Są to w istocie usiłowania będące same w sobie tak stare, jak cała historia ludzkości, a przy tym, nierzadko uprawnione!

- No, widzi pan, panie starszy, zgadza się pan ze mną!

Pańskie słowa nie były zbyt potrzebne, ale nie zostały przyjęte niechętnie - powiedział tonem nader protekcyjnym. - Aby tak dalej! Jeśli o mnie idzie, może pan spokojnie wyłożyć jeszcze więcej tego rodzaju poglądów.

- Ależ owszem, jeśli mnie pan do tego zachęca, panie Wesendung. Mówimy więc o przeobrażeniach, nierzadko pilnie potrzebnych. Mogłoby jednak paść pytanie, dlaczego domagacie się tych zmian?

- No, dlaczego? Niech mi pan powie. Zamieniam się w słuch.

- Wygląda na to, że sprawa dotyczy tak zwanych prekursorów. Oni w istocie pragną tego, żeby rozgościć się w fotelach, łóżach i domach skutecznie zdegradowanych poprzedników. Niamal nigdy nie można też ustalić, o co idzie w rzeczywistości, o donośne, rewolucyjne fanfary, czy tylko o intelektualnie upiększone bzdety. Te ostatnie wskazywałyby na utajone zaburzenia trawienne.

- Co to ma znaczyć? - uzewnętrznionemu oburzeniu Wesendunga nie można było odmówić słuszności. Czyżby osobnik o tak rozwiniętym intelekcie jak on, miał się spotkać z takim powątpiewaniem?

- Jak pan wpadł na to, panie...

- „Panie starszy” już nie powiedział. - Jak pan wpadł na to, żeby mieszać się w taki sposób do naszej rozmowy?

- Bo poprosił mnie pan o to, panie Wesendung. Nie przypomina pan sobie?

Tamten był oburzony w

najwyższym stopniu, przy czym nie zauważył, że już trzeci raz zostało wypowiedziane jego nazwisko. Możliwe, iż pomyślał sobie: ostatecznie jestem kimś, kogo zna każdy. - Mimo, że zawsze staram się być tolerancyjny, nie wolno zwracać się do mnie z podstępными

głupotami - powiedział.

- Głupstwa robi i najmądrzejszy! - Wecker zacytował w przybliżeniu tytuł klasycznej rosyjskiej komedii. - Czy pan uważa się za wolnego od tego rodzaju przypadłości? Nie powinien pan.

- Dość już tego! Raz na zawsze! - Powiedziawszy to Waldemar Wesendung zawołał Margot, dziewczynę zza kontuaru. Wyglądało na to, że właśnie czekała na takie wezwanie. Podeszła sztywno, stanęła u stołu i zaciekawiona spytała: - No, co się stało?

- Ten pan - Wesendung wskazał na Weckera - chce zapłacić. Chce już stąd odejść. Rozlicz go.

- Życzy pan sobie tego? -

Margot uprzejmie zapytała Weckera. Dziewczyna najwyraźniej polubiła go i to chyba nie tylko z powodu jego szczodroblewości w kwestiach pieniężnych. - Zgadza się pan z tym?

- Nie musi to być koniecznie zaraz, szanowna panno Margot, skoro w ogóle usiłuje mi się tu narzucić tego rodzaju rozwiązanie. Jednak wolno mi chyba przypuszczać, że w żadnym wypadku pani to nie dotyczy.

- Mnie nie! - Margot bez wahania stanęła po stronie osobliwego gościa. - Jeśli ktokolwiek przy tym stole odnosi wrażenie, że mu się przeszkadza, to odejść powinien ten drugi pan. Najlepiej będzie, jeśli zrobi to wraz ze swoimi dwoma kociakami.

- Ty chyba jesteś piekielnie zazdrosna, Margot? - Waldemar imitował wesołość, choć udawało mu się to kiepsko. - Czy masz coś przeciwko mnie? Nie powinnaś. Możesz się do nas przyłączyć w każdej chwili pod warunkiem, że zdobędziesz się na właściwy nastrój. Zignorowała to z całą obojętnością i nie bez wzgardy.

Dała też wyraźnie do

zrozumienia, kto też tu dla niej nie istnieje, zajęła się bowiem wyłącznie niezwykłym gościem. - Jeszcze jeden pilzner, mój panie?

- Jeśli mi pani pozwoli przedstawić się, panno Margot, jestem Wecker. - Patrzył przy tym na Wesendunga.

- Miło mi, panie Wecker. -

Tego rodzaju staranna uprzejmość miała w tym otoczeniu unikalną wartość. - Natychmiast pana obsłużę, panie Wecker. - Brzmiało to tak, jakby mówiła, że owszem, obsłuży go chętnie i zawsze.

Wesendung zareagował na to instynktownie. Coś bowiem, a jeszcze nie wiedział co, skłoniło go do dokładniejszego przyjrzenia się temu „panu”. Jego kociaki zdawały mu się w tym przeszkadzać i dlatego natychmiast odsunął je poza margines. - Idźcie się wysiusiać dziewczyny - polecił im żartobliwym tonem. - Albo czymś się zajmijcie, byle bez fałszywego wstydu, bez żadnych zahamowań! Potem znów pogadamy sobie.

Zgodnie z zaleceniem dziewczyny oddaliły się, odfrunęły jak przestraszone kokoszki. Wówczas Waldemar zaczął znacznie pilniej przyglądać się człowiekowi siedzącemu przy stoliku. Doszedł do następujących, tymczasowych rezultatów: Jest to najwyraźniej bardzo mało znaczący człowieczek, drobny, skulony, przyczajony jak wiewiórka. W każdym razie nie robi szczególnego wrażenia. Możliwe, że jest to jakiś nocny łazik, choć nie z tych zaliczanych do kiepskiego gatunku. Albo... w takim razie kto?

- Niechże mi pan więc wyjaśni - zwrócił się z pytaniem do Weckera - co pan zamierza tu robić?

- Usiłuję tylko wypić jedno

piwo albo i więcej. Najchętniej w spokoju, o który pana proszę.

- Pan mi jednak przeszkodził, jeśli w ogóle można mi przeszkodzić. Kim pan właściwie jest, człowieku?

- Kimś zgoła nieważnym.

Jeśli szło o tego człowieka, Wesendung czuł, o ile rozpoznanie było jednak prawidłowe, iż miało się do czynienia z tak zwanym twardym orzechem, którego

rozgryzienie zdawało się nieuniknione. Uświadomiwszy sobie to, podjął wstępną próbę: - Nazywam się Wesendung, na imię mam Waldemar.

- To już wiem.

- Rzeczywiście? - Nie zapytał skąd, bo uważał się za znanego, przynajmniej w określonych kręgach. - A pan jak się nazywa?

- Czy już nie powiedziałem tego panie Margot? Jeśli jednak pan nie zauważył, mogę jeszcze raz: Wecker. Adalbert.

- No, jeśli tak... - Było to nazwisko, z którym Wesendung nie bardzo wiedział co począć. Dlatego postanowił kontynuować swoją, na razie funkcjonującą zabawę w pytania i odpowiedzi. - Jestem dyplomowanym pedagogiem, przygotowanym do pracy w wyższych instytucjach oświatowych. Na razie bez zajęcia. A więc w jakimś stopniu stałem się jedną z ofiar tak zwanych aktualnych warunków.

- Ja zaś, jeżeli miałbym być nazwany swego rodzaju wyzyskiwaczem aktualnych możliwości - Wecker zdawał się delektować okazją do złożenia tego rodzaju deklaracji - to jestem wczesnym albo i przedwczesnym emerytem. Kiedyś byłem urzędnikiem administracji, a tam tylko wertowało się akta.

Informacje te wydały się  
Wesendungowi nieco  
dezorientujące. Uznał je w  
takiej samej mierze za  
wieloznaczne, jak i za takie,  
które nie mówią nie. Potem

jednak odczuł potrzebę pochlebiaenia rozmówcy.

- Odnoszę wrażenie, panie

Wecker, że pana znam.

- Nie zna mnie pan, panie

Wesendung. - Jest jednakowoż możliwe, że spotkaliśmy się gdzieś przypadkowo.

- Gdzie?

- No, choćby w domu przy

Germaniastrasse 175 albo przed nim. Mieszkamy tam obaj, chociaż nie wspólnie. W każdym razie nie zauważaliśmy siebie do tej pory. Trzeba by to teraz odmienić. Jeśli o mnie idzie, zrobię to chętnie.

- Tak, oczywiście, że tak, to jest to! - Nawet jeśli świadomość tego spadła na Wesendunga jak grom z jasnego nieba, zaczął sobie wmawiać, że zdawało mu się, iż coś takiego wyczuł instynktownie. - Pan mnie śledzi, co? - powiedział.

- Powinien pan sobie darować tego rodzaju przypuszczenia - zabrzmiało wychodzące na przeciw jego myślom zalecenie. - Doświadczenie uczy, że niewczesne spekulacje prowadzą do kielkowania podejrzeń wywołujących często reakcję łańcuchową. Tego niech pan sobie, a i mnie oszczędzi.

- Skąd jednak, panie Wecker, pańska obecność akurat tutaj i właśnie dzisiaj, o tej porze? Czy to tylko kwestia napicia się szklanki piwa? Skądże! Nie jestem taki głupi, żebym łatwo w to uwierzył. Widać przecież, że w rzeczywistości jest pan tutaj po to, by mnie śledzić.

- Jest to pańskie domniemanie i nie mogę go panu zabronić. Nie powinien pan jednak wdawać się w tego rodzaju wiodące na manowce domysły.

Wesendung zareagował tak, jak  
należało się spodziewać; jego  
poczucie przewagi tak łatwo nie

dawało się naruszyć. - Teraz  
chce pan zrobić unik, panie  
Wecker? Czuje pan, że posunął

się pan zbyt daleko? W każdym razie musi pan wiedzieć, że należę do tych, którzy  
nie tak łatwo godzą się z tym. A może chce pan spróbować?

Nie pragnę tego w żadnej mierze. Jeszcze pan nie zauważył?

Zapewnienie to Wesendung uznał za celowo zamierzoną demonstrację słabości. Tacy  
już jednak byli ci starzy tropiciele, że kiedy już potraktowało się ich  
jednoznacznie, całkiem podkulali ogon. Uznał to za spostrzeżenie trafne i  
skłoniło go to do reakcji nieco zuchwałej. - No, co teraz, co teraz?! Czy schowa  
pan głowę w piasek tak jak struś? To podobne do was, udających poczciwców,  
natrętnych, starych chłopysiów. Lubicie najpierw pluć wielkim łukiem, a jak  
do czego dojdzie, wymigiwać się od jakichkolwiek komplikacji.

- Wygląda na to, że przywiązuje pan wagę do tego, żeby jednak pana uświadomiono.

Dostanie więc pan to, czego pan koniecznie chce.

- A jakby to miało wyglądać? -

Wesendung ciągle jeszcze nie czuł najmniejszej potrzeby, żeby zrobić unik albo  
całkiem się wycofać.

- Mogę wyobrazić to sobie mniej więcej tak: będziemy tu sobie rozmawiali w dalszym  
ciągu i można rzec, że bez żadnego przymusu. Postawię panu kilka pytań, na które jednak nie  
będzie pan musiał odpowiedzieć. Oczywiście i pan może stawiać mi pytania, wszystkie jakie  
tylko uzna pan za stosowne, a o właściwe odpowiedzi ja będę się starał. Czy to zrozumiałe?

- No, jasne! I co jeszcze?

Waldemar Wesendung nie zdając  
sobie z tego sprawy, dał się bez  
trudu wmanewrować w dziwną  
sytuację. Musiał jednak wywikłać  
się z tego, w co się wplątał, a  
były z tym zagmatwane,

wielorakie możliwości, którymi zawsze cechują się kryminalne i kryminalistyczne  
rozgrywki.

\*\*            \*\*            \*\*

Tej nocy Johanna Lenz udała się do windy, która jednak była zablokowana. Miała  
zamiar opróżnić skrzynkę na listy, znajdującą się na parterze. Miała nadzieję,  
że znajdzie tam ważną przesyłkę, niewykluczone, że informację o engagement lub  
choćby zapowiedź, że taka możliwość w ogóle ma szansę zaistnieć.

Odziana w szlafrok, a więc, jak uważała, starannie, skorzystała ze schodów.  
Zbiegła cztery razy po piętnaście stopni w dół, na dole zaś zobaczyła w  
zablokowanej, szeroko otwartej i w pełni oświetlonej windzie dozorcę domu,  
Tatzera. Można powiedzieć, że trudzącego się pędzłowaniem.

Z niejaką ostrożnością Johanna zbliżyła się do owego pilnego, nocnego pracusia,  
przy czym starała się, żeby nie wyglądało na to, że mu się przygląda. - Dobry  
wieczór, panie Tatzere! - powiedziała z zaakcentowaną uprzejmością. - Tak późno,  
a pan jeszcze na nogach i przy pracy?



Ów z wyraźną niechęcią odwrócił wzrok od swojego zajęcia i badawczo przyjrzał się lokatorce Lenz. - Nie jestem na nogach, jak zechciała pani powiedzieć, ale jeszcze pracuję, jak sama pani widzi! - Co miało znaczyć: We dnie i w nocy jestem gotowy do czynu, jeśli tak być musi! - Teraz znów muszę usuwać świństwo, które zrobili inni!

- Nie mam zamiaru panu w tym przeszkadzać, panie Tatzler.

- No to niech podskoczy pani swoje cztery piętra w górę, pani Lenz. Winda będzie w każdym razie przejściowo nieczynna. Kiedy już skończę, będzie musiała jeszcze wyschnąć farba.

Johanna, tak to wyglądało, nie

była jeszcze skłonna do

odejścia. Popatrzyła na niego lekceważąco, potem jednak powiedziała delikatnie: - Pan jest niezwykle pilnym człowiekiem, panie Tatzler.

- Jestem, zgadza się! Nawet jeśli się tu w to ciągle wątpi. Mam jednak szczególne zalety, o których będzie jeszcze głośno. - Był przekonany, że w końcu jest całkiem przystojny. Czyżby owa „dama” spodziewała się po nim czegoś, co ma z tym związek? Chyba na to wyglądało. Tak też mogło się przypadkiem zdarzyć.

- Chyba mogę też przyjąć, panie

Tatzler, że jest pan człowiekiem czujnym?

- Ależ oczywiście! Tak jak to się należy, patrzę czujnym okiem na ten dom! Tak łatwo nie ujdzie mi nic z tego, co nie chcę żeby uszło albo nie powinno ujść na moim posterunku.

- Ufam panu, panie Tatzler, niezmiernie! - Zbliżyła się do niego jeszcze bardziej, co mogło uchodzić za przejaw ufności, jeśli nawet nie zażyłości. - A może coś przyciągnęło pańską uwagę? Choćby to, że ktoś tu skrycie się pałęta, podsłuchuje pod drzwiami...

- Co pani powie! - Dozorca domu wydał się zaniepokojony, przerwał natychmiast swoje zajęcie i z kapiącym pędzlem w dłoni przysunął się do Johanny.

- Co pani ma na myśli? Dokładnie!

- Chciałam się tylko dowiedzieć - próbowała mu się wymknąć - czy panu jest wiadome, że ktoś wałęsa się tu po nocach, wywołuje niepokój, wystaje pod drzwiami...

- Pani to mówi, pani Lenz i patrzy pani na mnie? - Ręka z pędzlem lekko zakolysała. - Akurat na mnie?

- Ależ proszę pana, panie

Tatzler - Johanna objawiła lekkie

zdziwienie, a jednocześnie

uparcie zabiegała o to, by ją

zrozumiał - na kogo, poza panem,

mogłabym tu patrzeć. POza panem

nie ma przecież nikogo! W odniesieniu zaś do tego, o czym właśnie wspomniałam, w ogóle nie wchodzi pan w rachubę!

- Nie? A dlaczego nie?

- Bo jest pan ojcem syna, podobnie jak ja jestem matką małej córeczki.

- Tak to jest! - Wyglądało na to, że Tatzterowi w jakiś sposób ulżyło. - A więc i pani wykryła, że tu jakiś całkiem rozwiązły typ próbuje swych niecznych sprawek! Taki facet szwędą się tutaj, zagraża naszym dzieciom, wpędza je w lęk. Żeby je sobie podporządkować.

- Pan widocznie wie, o kim pan mówi?

- Tak samo jak wie i pani. A może nie?

- Niech pan więc wymieni jego nazwisko!

- Ja? - Tatzter pomny nauk

Weckera nie zareagował, jak mu się zdawało, niezręcznie. - A dlaczego pani nie powie mi tego nazwiska? Jeśli będzie się zgadzało, potwierdzę.

- Nie wiem doprawdy, panie

Tatzter, czy byłoby to potrzebne.

- Potrzebne? Miła pani, to jest pilnie konieczne! Potem będziemy mogli prowadzić sprawę wspólnie, żeby ukrócić jego wredne działania. A więc?

- Przypuszczam, że nasuwa mi się to samo co i panu, choć nie mogę niczego udowodnić.

A czy pan sądzi, że mógłby pan? Chyba z trudem, a może...?

- Teraz pani robi unik, pani

Lenz. - Wycofuje się pani. A więc chce pani dopuścić, żeby nasze dzieci zeszły na psy. A może swojej córki nie kocha pani tak, jak ja swojego syna?

Johanna oszczędziła sobie odpowiedzi na to pytanie. Powiedziała tylko: - Gdybym w jakiś sposób musiała swoje podejrzenie potwierdzić, zwróciłabym się do pana.

- To dość dziwny sposób zachowania się, proszę pani! W

ten sposób popełnia pani wielki błąd, który może okazać się diabło niebezpieczny!

- Dla kogo?

- Sama pani zobaczy! A potem będzie pani żałować, że nie okazała mi zaufania! -

Znaczyło to, że oczywiście w pełni na nie zasługuje.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Tam, w kawiarni „Lisia Nora”, Adalbert Wecker uznał, że mający nastąpić dalszy ciąg rozmowy z Waldemarem Wesendungiem, należy poprzedzić pewną propozycją. Można by się wzmocnić, każdy według własnego upodobania i na własny koszt. Panna Margot przyniosła to, co sobie zamówili. - Tylko przez wzgląd na pana, panie Wecker - powiedziała. Potem wypili, nie przepijając do siebie. Nie przyglądali się sobie wyraźnie wyczekując. Siedzieli podobni do myśliwego na ambonie, mogło się zdawać, że wypatrują zwierza, który miałby stanowić cel.

- O ile jestem poinformowany, panie Wesendung - rozpoczął w końcu Wecker - mieszka pan na trzecim piętrze naszego domu.

- W lokalu własnościowym, panie Wecker - potwierdził tamten skwapliwie. - Należy on do jednego z braci mojego ojca. Ja bowiem nie mógłbym pozwolić sobie nawet na taką kwalifikującą się do rozbiórki budę, w każdym razie nie za aktualnych rządów, wrogich pedagogom, i to zarówno w tym mieście, jak i w kraju oraz w całej republice.

Wecker tylko skinął głową. Oczywiście słyszał o tym niejedno; wszystko to było zasmucające, musiał przyznać. Nie o to jednak tu szło. - Żeby z trzeciego piętra dostać się na parter, używa pan oczywiście windy. Zapewne i dziś wieczór tak było.

Wesendung potwierdził bez

wahania. Mój Boże, był tym,

który przeniknął problemy bytu, a nawet może tym, który zgłębił świat. Temu niuchaczowi z gatunku przedwczorajszych, z pewnością nie pozwoli położyć się na łopatkę! Co tu papie ten stary pinczer? Coś o jakiejś windzie?

- Tym razem musiał pan zauważyć coś szczególnego! - No, co, zdawał się pytać Wesendung.

- Pewien napis, który być może, dotyczy pana.

Wesendung zareagował z niemal nonszalancką wyższością, a w każdym razie starał się, żeby tak to wyglądało. - Bardzo pana proszę, panie Wecker! Jak wpadł pan na to, że w ogóle przypatruję się takim świństwom? W czasie czterech sekund jazdy windą? Nagromadzonego tam paskudztwa żaden kulturalny człowiek nie przyjmuje do wiadomości. A może pan należy do tych, którzy gapią się na tego rodzaju koprołalię?

Wecker zauważył, że tak łatwo jak się spodziewał, nie zwabi tamtego na śliskie ścieżki. - Jeśli pan pozwoli, panie Wesendung, będę bardziej konkretny. Chłopiec o nazwisku Thomas Tatzler, syn dozorca naszego domu jest tym, w którego życiu, jak zdaje się można stwierdzić nie bez kozery, ma pan pewien udział. Możliwe, że wcale nie najmniejszy.

- To co pan mówi, brzmi dość problematycznie. Tego nie powinien pan raczej robić, panie Wecker!

- No to niech mi pan przede wszystkim wyjaśni to, co powinienem myśleć o tego rodzaju przychylności.

- Ów mały Thomas jest niewymownie biednym, ciężko doświadczonym stworzeniem i tylko to jest prawdą. Zawsze wzbudzał moje współczucie samym swoim istnieniem, a to zapewne jest bardzo humanistyczny odruch. Pan może wybrać sobie

określenie, które najbardziej będzie panu odpowiadać.

- To zabrzmiało niemal zacnie, tyle, że nie w pełni przekonująco. Muszę więc nadal pytać, również samego siebie, co też naprawdę skłoniło pana do zajęcia się tym chłopcem.

- Jeśli koniecznie pan przy tym obstaje, niech mi pan pozwoli na tak zwaną absolutną wyrazistość: Jeśli idzie o tego ładnego, a także delikatnego chłopca, wypada uznać, że jest on stworzeniem wielorako kalekim.

- Z jakiego powodu? Wskutek wypadku?

- Wskutek nieszczęścia. Tak to bowiem można by trafniej określić. Dziecko to na pewno było niejednokrotnie bite i to niezwykle brutalnie. Pierwszy raz zdarzyło się to chyba przed dwoma albo trzema laty. Zostało pobite przez własnego ojca, Tatzera, gdy wpadł on w furję.

- Potworne! Trudno to sobie wyobrazić. Czy jednak sądzi pan, że to się zgadza?

- Wystarczy nieco dokładniej przyjrzeć się biednemu Thomasowi. Pan, panie Wecker, na pewno tego nie zrobił! Gdyby tak było, nie gadałby pan tutaj od rzeczy.

- Gadam od rzeczy? Czy rzeczywiście tak pan sądzi?

- W każdym razie w rezultacie tego wszystkiego znacznie upośledzony jest zmysł równowagi owego dziecka. Jego słuch nie funkcjonuje prawidłowo, potrafi on też wydawać tylko gardłowe dźwięki, a zdania, choćby nie całkiem składne, są u niego rzadkością. Całe zaś ciało pełne jest blizn.

- Całe jego ciało? - padło przeciągłe pytanie. - Skąd pan o tym wie?
- Tak przypuszczam. - Była to więc szybka poprawka. - Już głowa tego chłopca, również barki i oba ramiona wykazują ślady maltretowania. Dożywotnie

ślady.

- Sądzi pan, że można tym obciążyć Tatzera?
- Tego, panie Wecker, nie wiem. W każdym razie nie dość dokładnie. Ostatecznie mieszkam w tym domu dopiero od roku, Thomasa zaś znam od niewielu miesięcy. Poczuję jednak, że muszę zatroszczyć się o tego biednego, miłego chłopca.
- Jak? Bardzo?
- No, możliwie tak bardzo, żeby ów niesamowity Tatzer musiał się teraz bać, iż wiem za dużo i mógłbym być dla niego groźny, przy czym możliwe, że nie jest to obawa niesłuszna. Dziecko to zaś, koniecznie musi być uchronione przed dalszymi tego rodzaju bezwzględными praktykami! To, że skłaniam się do takiego poglądu, stary Tatzer widocznie zauważył i stąd jego niepokonana wściekłość skierowana w moją stronę. Tym też niejedno da się wytłumaczyć.
- Ale nie wszystko.

Interesowałaby mnie też reakcja pani Tatzer, matki Thomasa.

- To niewymownie nieszczęśliwa osoba. Wprost niewyobrażalnie słabe stworzenie. Tatzer chyba wmówił jej, może nawet z pomocą rękoczynów, że to ona przyczyniła się do tego, iż syn jej dostawał takie baty. Przez to mianowicie, że dopuściła się lekkomyślnych zaniedbań, wykazała bezradną niemożność i ograniczyła się do czczego gadulstwa. Jest więc winna wszystkiemu. Tragiczne to, czyż nie tak?

- Tragiczny aspekt tego dopiero może się ujawnić! A to wówczas, gdy ktoś będzie próbował wciągnąć owego biednego, udręczonego chłopca do bezpośredniej rozgrywki. Można sobie wyobrazić taką sytuację, że Thomas wraz z panem wystąpiłby przeciw ojcu. Wyobrażalna jest jednak i

sytuacja następną: ojciec z

synem przeciw panu!

- NO, do diabła, człowieku!

Teraz folguje pan fantazji tak bardzo, że nawet ja muszę się dziwić. Czy rzeczywiście myśli pan - w pytaniu brzmiał niepokój - że czeka mnie coś takiego?

- Sądzę, że absolutnie musi się pan z tym liczyć. Wpadł pan w szczególny rodzaj oparów. I to jedynie, jak pan twierdzi, z powodu szczerego współczucia, jakie zawsze budzą w panu krzywdy doznawane przez młodych, bardzo młodych ludzi. - Wecker posłużył się liczbą mnogą, czego Wesendung jednak nie zauważył.

- Mam już tego dość, dowiercający się do samego dna duszy staruszku - ofuknął Weckera.  
- Coś tak, nieskończenie podstępne jak pan, nigdy jeszcze nie przebiegło mi drogi! Wie pan, co mi pan może?

- Tego nie zrobię na pewno, panie Wesendung, człowieku zacny. Tego niech się pan nie spodziewa. Nie po mnie.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Następnego wieczora, na początku nocy, Adalbert Wecker znów sposobił się do swego późnego spaceru, jakby ciągnęła go jakaś magiczna siła, ale wciąż jeszcze nie wiedział, dlaczego i właściwie jaka.

Ogolił się starannie, wykapał, pokropił ostro pachnącą wodą o bukiecie jednak prawie subtelnym.

Zdażyła już przebrzmieć wieczorna, wybrana, jak zwykle starannie muzyka, Koncert Fortepianowy C\_dur Mozarta. Grał Friedrich Gulda, z towarzyszeniem Filharmoników Wiedeńskich. Teraz Wecker ubrał się, tak jak lubił, na ciemno, szaro, brunatnie. Znów wyglądało to tak, jakby chciał być pozostającym w cieniu, cieniem.

**Kiedy już stanął w drzwiach  
swojego mieszkania, zaczął  
nasłuchiwać i któryś raz**

zauważył, iż dom, w którym mieszka, wydaje się o tej porze jakby wymarły. Zupełnie tak, jak gdyby pograżył się w jakiejś oczyszczalni spraw codziennych. Kiedy wsłuchiwał się w ten zmartwiały dom, usłyszał jednak pewien całkiem dziwny dźwięk, który przecież wydał mu się jakoś znany, a to z bardzo odległych, choć niezapomnianych fal, kiedy był jeszcze dzieckiem.

PO chwili stało się dlań oczywiste, że to stuka piłka rzucona o ścianę wciąż i wciąż. Rzucona, odbita, złapana, wytrwale i regularnie, jak to potrafią dzieci. Ale, że działo się to o takiej porze?

Żeby ustalić, skąd dochodzi ten odgłos, Adalbert Wecker ruszył od swoich drzwi na piątym piętrze, do prowadzących w dół schodów, które słabo oświetlone wyglądały jak marmurowe, choć zrobione były ze szlifowanego, polnego kamienia. W dole, na najniższych stopniach przy podeście czwartego piętra, zobaczył siedzące dziecko. Dziewczynkę, która bawiła się piłką.

Widział już to dziecko, chociaż bardzo krótko, w czasie minionej nocy, wiedział więc, że to Irena, córka Johanny Lenz, która wczoraj była tak bardzo niespokojna i zatroskana. Czy teraz już nie jest?

Z tego wszystkiego zrodziły się pytania zaprzatające spostrzegawczego Weckera. Podszedł do bawiącego się dziecka i bez słowa usiadł przy nim na dolnych stopniach schodów, dzielących jego mieszkanie od mieszkania pani Lenz. Obecność jego została przyjęta z pewnego rodzaju ochoczym zaciekawieniem. Dziecko przestało odbijać piłkę i teraz przyglądało mu się.

**Dopiero po pewnym czasie,  
mniej więcej po minucie, z  
wyraźną ostrożnością zapytał: -**

Czy nie masz nic przeciwko temu, moje dziecko, że jestem tutaj i posiedzę tu sobie?

- Nie, jeśli pan jest panem

Weckerem. A jest pan nim, prawda?

- Jestem nim - zgodził się trochę zaskoczony. - Znasz więc moje nazwisko. Co jeszcze wiesz o mnie?

- Tylko to, co mi o panu mówiła moja mama. Powiedziała, że mogę panu ufać, że mogłabym w każdym przypadku. Mam nadzieję, że mogę, bo bardzo bym chciała. Czy była to słuszna rekomendacja, tego Wecker nie wiedział, jak i tego, czy też powinien uznać, że mu to jakoś pochlebia.

Owo godne uwagi dziecko, o delikatnej urodzie i nie wyglądające na głuptasa, a przy tym jakoś mile serdeczne, podobało mu się. - Twoja mama zapewne dokądś poszła? - zapytał ostrożnie.

- Nie, nie to. Jest w mieszkaniu, ale nie sama. Jest tam jakiś reżyser, który przez pół godziny, jak powiedziała, będzie omawiał z nią rolę, czy coś takiego. Ja bym tylko przeszkadzała.

Wecker próbował ukryć zdziwienie wywołane tego rodzaju postępowaniem w stosunku do dziecka. - Czy zaproponowała ci, żebyś w tym czasie bawiła się na korytarzu?

- Nie. Tego chciałam sama. -

Irena powiedziała to poważnie i zdawało się, że po intensywnym namyśle. - W czasie takich rozmów zwykle siedziałam w kuchni, ale oni czasem zachowują się głośno. Ona - jej matka mianowicie - nie chce żebym coś sobie pomyślała. Dlatego jestem tutaj.

- I pozwoliła ci na to bez słowa?

- Wcale nie tak bez słowa, panie Wecker! Powiedziała nawet tak: Jeśli chcesz koniecznie być na korytarzu, możesz tam pójść,

ale zostań zaraz koło drzwi naszego mieszkania, blisko dzwonka. I dodała, żebym nie bawiła się na schodach prowadzących na trzecie piętro, tylko na tych, na piąte. A więc tam, gdzie pan mieszka, panie Wecker.

Ponownie poczuł się zaskoczony. To, o czym usłyszał, wyglądało na działanie planowe.

- Więc wiesz Ireno, gdzie mieszkam?

- To wiedzieliśmy zawsze. Moja matka i ja. Do pana należy mieszkanie położone dokładnie nad nami, prawda? Bo słysząc jak pan puszcza muzykę. Na cały regulator! Wecker naprawdę nie wiedział, jak też powinien zareagować na to oświadczenie. Jakaż to jest ta jego samotność, niepozorność, egzystencja skrywana przed światem! Pewni ludzie najwyraźniej wiedzą o nim więcej, niżli do tej pory mógł to uważać za możliwe. - Bardzo mi przykro, jeśli nadmiernym hałasem przeszkadzałem komukolwiek, choćby i komuś, kto być może jest muzykalny.

- Nie przeszkadzał pan, panie

Wecker. Matka powiedziała mi wyraźnie: Na to nie zwracaj mu uwagi, bo jego muzyka należy też do nas.

- A należy? - zapytał, znów zaskoczony.

- Oczywiście - zapewniła Irena.

- Wygląda na to, że coś zaczyna się tu układać - przyznał, choć nie bez oporów Wecker. - W każdym razie siedzimy teraz obok siebie i w pewnym stopniu się rozumiemy. Nie jesteśmy jednak jedynymi ludźmi w tym domu. Są w końcu i inni, o czym chyba wiesz.

- Tak, wiem. Niektórych powinnam się wystrzegać, jak zawsze powtarza matka. Teraz jednak pan jest przy mnie, panie Wecker i już się nie boję.

- Strach, to wiele ważące

słowo, drogie dziecko.

- Co pan przez to rozumie?

Może mi pan to wyjaśnić? - Adalbert zauważył, że dziecko posiada jakąś specyficzną ciekawość, cechę raczej problematyczną. - Pan to chyba wie, panie Wecker?

- Mniej więcej, Ireno. Ja też czasami się boję. Niekiedy lękam się bardzo wielkich maszyn, czasem zaś całkiem małych urządzeń. W każdym razie nie boję się burzy i wcale nie boję się psów. Bywa, że prawdziwe przerażenie ogarnia mnie z powodu szczególnego gatunku ludzi.

- Mnie też, i to jak!

- Kogo, na przykład, boisz się

Ireno? - Pytanie to padło jakby mimochodem. Rozmawiali tylko tak sobie, co skutecznie zasugerował jej Wecker, dziecko zaś bez wahania dało się wciągnąć w tę jego pytaninę.

Podczas owej, żwawej pogawędki ujawniło się jednak kilka szczegółów, które nie całkiem zaskoczyły Weckera, ale nie - jeden spośród nich mógł być uznany za dość niepokojący. Wecker zaś był człowiekiem potrafiącym wsłuchać się we wszystko dokładnie, a po wieloletnich, niejako urzędowych wprawkach, umiał rozróżniać ukryte półtony.

Irena powiedziała o matce: - Ona czasem jest bardzo nerwowa. Nie zawsze potrafi się opanować. Stara się jednak być dla mnie bardzo miła i taka też jest. Potem mówiła o swoich dwu nauczycielach i trzech nauczycielkach: - Próbuja zastraszyć wszystkie dzieci albo wpoić im lęk. Czy to jest to samo? Nie? Najczęściej ma to związek z ocenami. Ale ze mną nie udaje się im. Jestem w końcu najlepsza w klasie, zdecydowanie wyprzedzam innych.

Ostrożnie zapytał o jej pogląd

na dozorcę domu, Tatzera. -

Schodzę mu z drogi, raczej z nim nie rozmawiam - odparła.

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że patrzy na mnie tak, jakby chciał mnie zbić.

Jej osąd Waldemara Wesendunga:

- On zawsze czegoś ode mnie chce. Ale nie wiem, czego. Zawsze jest okropnie przyjazny, jakoś tak komicznie przyjazny. Nie lubię tego!

W końcu wymienili poglądy na temat niejakiej Barbary Binding, pani, czy też panny, z trzeciego piętra. - No, chyba jest to niezła sztuka! Jak też ona zawsze na mnie patrzy! Tak jakbym była naprawdę obrzydliwa. Albo jakbym była dzieckiem kogoś obrzydliwego!

Adalbert Wecker skinął głową zamyślony, jak gdyby to potwierdzając. Owa dziewczynka, pomyślał sobie, nie upadła na głowę i była małym, spostrzegawczym stworzeniem, wyposażonym ponadto, i to bardzo hojnie, w dar obserwacji. Tym samym nie była zagrożona bezpośrednio i szczęśliwie prawie wolna od bezradnego, apatycznego poddawania się jakimkolwiek niebezpiecznemu natręctwu.

Chyba rozwinęłaś w sobie, droga dziecino, zdrową nieufność. - Musiała rozwinąć ją tutaj! - Ja też tego dokonałem i to jeszcze przed ponad czterdziestu laty, kiedy miałem już, czy też dopiero, tyle lat co ty.

- Matka uważa, że ma pan około pięćdziesięciu pięciu? Zgadza się?

- Tak mniej więcej. -

Zdumienie Weckera z powodu zainteresowania jakie wzbudzała jego osoba, ciągle wzrastało, ale powstrzymał się od pytania, dlaczego tak się dzieje. Zrobił więc kolejny unik i przeszedł do spraw, które zdawały mu się niezwykle ciekawe.

- Przyszło mi na myśl coś, co

być może mogłabyś mi wyjaśnić. W tym domu jest chłopiec, mniej więcej w twoim wieku, Thomas Tatzer. Przypuszczam, że go znasz. - Zobaczył, że kiwnęła głową. - Możliwe, że znasz go nawet dość dobrze.

- Jeszcze jak! Thomas znany jest tutaj jak bury pies, bo ma dużo czasu i wszędzie się wałęsa. Ale, prawdę mówiąc, nie jest zbyt miły. W każdym razie ja tak uważam.

- A dlaczego nie? - spytał łagodnie Wecker. - O ile mi wiadomo, chłopiec ten jest kaleką i przez to nie może się też wszędzie udzielać.

- Ależ kto to panu wmówił, panie Wecker?

- Oczywiście może być tak, że się przesłyszałem, albo wysnułem fałszywe wnioski. W każdym razie wyobrażenie o nim mam takie, że jest on stworzeniem udręczonym, tępym i głupawym.

- Ależ nie on! - Irena uśmiechnęła się niemal z politowaniem. - Jeśli tak pan o nim myśli, bardzo się pan myli!

- No, czasami się myślę, chętnie dam się jednak wyprowadzić z błędu. Powiedz mi więc, co o tym wiesz.

- No to tak: Thomas jest całkiem inny, niż się tu zwykle uważa. W żadnym wypadku nie jest idiotą, ani kretynem, jak mówią niektórzy.

- Istotnie? - Wecker znalazł okazję, żeby pośmiać się z siebie, bo stwierdził, że i on ciągle jeszcze się uczy. Tym razem uczył się od dziecka posiadającego prawie dorosły rozum. - Kim jest w takim razie, jeśli taki nie jest, Ireno?

- Jeśli chce, potrafi się głupio wytrzeszczać. Jak ma widownię, umie zataczać się tak, jakby był pijany. U niego prawdziwe są tylko trudności z mową. Poza tym, to całkiem przebiegły chłopak. Przede mną nie może jednak wcale udawać i

nawet tego nie próbuje.

- To brzmi interesująco - musiał uznać Wecker zaskoczony, mimo wielkiego doświadczenia. - Teraz mogę sobie dobrze wyobrazić, do czego zmierza ów Thomas tak się zachowując i na czym spekuluje. Na pobłażliwości, przyciąganiu uwagi, opiekuńczości, smakołykach i innych przyjemnościach. Czy oceniłem to prawidłowo, Ireno?

- Całkiem prawidłowo, panie



Wecker! Ten chłopak ma niejedno za swoimi wielkimi uszami! Ale to, w co się wdaje i to nie tylko czasami, wygląda mi na niebezpieczne. A co pan o tym myśli? Było to pytanie, na które nie znalazła się odpowiedź, gdyż zapewne nie było to możliwe. Tak jak niemal wszystko w tej sprawie i to pozostało kwestią otwartą, a jednocześnie bardzo pogmatwaną.

Teraz Adalbert Wecker uznał, że potrzebna jest chwila rozrywki. zaproponował Irenie udział w zabawie z piłką.

Gumowa piłka, wielkości głowy dziecka, zaczęła więc wędrować między nimi. Bawili się nią, całkiem już postarzały mężczyzna i zupełnie mała dziewczynka, jeszcze dziecko. Złożyło się tak, że nikt im nie przeszkodził przez kilka minut. Potem jednak podeszła do nich kobieta. Stała przed nimi na rozstawionych nogach i okazując wyraźną pewność siebie, zaczęła przyglądać się obojgu grającym. Patrzyła długo i uważnie.

- Czy mogłabym wiedzieć - zapytała - co się tutaj dzieje?

- Ależ tak, szanowna pani, zajmujemy się grą w piłkę. - Wecker, jak to on, zareagował ze zwykłą u niego, akcentowaną uprzejmością. Nie okazał jednak przybyłej nadmiaru przychylności. - Gdyby pani zechciała, mogłaby i pani wziąć

udział w naszej zabawie.

- Widzę, co pan tu robi! - powiedziała nieprzyjaźnie. - Ale dlaczego tutaj, na schodowej klatce? Tego chciałabym się chętnie dowiedzieć!

Adalbert Wecker dopiero teraz zaczął uważniej przyglądać się owej osobie. Można było przyjąć, że ma około czterdziestki. Była postawna, miała okrągłą twarz i donośny głos. Według obiegowych pojęć, była wyposażona hojnie. Zanim jednak rozpoczął swoją bardziej czy mniej planową zabawę w pytania i odpowiedzi, wmieszała się Irena. Szepnęła mu mianowicie coś, a do tego tak głośno, że musiała to dosłyszeć tamta, trzecia z obecnych na podeście osób: - To, panie Wecker jest ona. Jedna z tych, o których właśnie panu mówiłam. To panna Binding, z trzeciego piętra!

- No, coś takiego! - powiedziała zainteresowana osoba i zaraz z niewiarygodnym oburzeniem zapytała: - Czy to wścibskie dziecko gada coś na mnie?

Irena przysunęła się bliżej Weckera. - Ja nie gadam na panią, ja o pani mówię! A to jest różnica!

Różnica istniała w każdym razie i Wecker przyjął to z uznaniem. Wystąpił przed Ireną, by osłonić ją przed tą damą.

- Czy mogę o coś zapytać, pani

Binding...

- Proszę mówić: panno!

- Ależ czemu nie, jeśli pani przywiązuje do tego wagę. A więc, panno Binding, co zamierza pani począć ze swoją tu obecnością?

- Przecież to jasne! - zawołała kłótliwie Irena spoza nieszczególnie szerokich pleców Weckera. - Ona nas nie znosi! Ani mojej matki, ani mnie!

- To nie wychowane dziecko chyba nie wie co gada! - oświadczyła Barbara Binding z

pewnością siebie, a w dodatku chyba i z pewnością swojego posłannictwa. - Ta dziewczyna jest bardzo niestabilizowaną istotą, nie jedyną zresztą w tym domu. Takie stworzenia bywają jednak, jak wiadomo, w określony sposób pociągające, przynajmniej w oczach mężczyzn o pewnych skłonnościach.

Wecker musiał teraz uspokoić mocno zdenerwowaną Irenę. Objął ją ramieniem, jakby udzielając jej schronienia. Gest ten był sam w sobie ładny, dla panny Binding oznaczał jednak całkiem coś innego, co też skwapliwie zauważyła. To, co spostrzegła, zdawało się bowiem potwierdzać jej pogląd.

- Ta prawdopodobna niestabilność, czy też przypuszczalna dziecinność, zdaje się budzić i pańskie zainteresowanie, panie, jak się pan tam nazywa! - powiedziała.

- Jestem Wecker, panno

Binding! Jednakowoż w tym, co się tu dzieje, nie uczestniczę jako spragniony tego, na co pani wskazuje, a co również, po prostu, nie powinno panią obchodzić! Gramy w piłkę i nic więcej.

- Nie chciałam zaraz stwierdzać czegoś, co by budziło wątpliwości. Jestem tylko zobowiązana do zachowania czujności. To moja powinność wynikająca z przesłanek wyższego rzędu, niezbędna w tych czasach tak bardzo niemoralnych czy szczątkowo moralnych, w czasach pograżania się świata! Jeśli nie chcemy utonąć w bagnie, musimy zwracać uwagę na każdy ostrzegawczy sygnał. To nasz obowiązek wobec ludzi!

Teraz Wecker przesunął Irenę

za siebie, czemu się też  
podporządkowała, widocznie chcąc  
być grzeczną. On zaś sam zwrócił  
się do tamtej, nie zamierzającej  
odejść i uważającej się za  
czujną osobę: - Stwierdzenia te

godne są uwagi, panno Binding. Czy nie byłaby pani skłonna przedstawić mi je nieco dokładniej?

- A co tu wielkiego do przedstawiania? Jestem po prostu zatroskana. I nie tylko ja, ale również inni, nie całkiem jeszcze otepiali mieszkańcy tego domu. Tutaj trwa niekontrolowany ruch. Przychodzą, odchodzą, ostatnio często wiąże się to z nocnymi zakłóceniami spokoju. Ledwie da się wytrzymać!

- Nie jest to samo w sobie nazbyt dziwne. Zdarza się, można powiedzieć, w najlepszych rodzinach, a już zwłaszcza tam, gdzie jest ich masa. Ostatecznie taki dom może być bardziej niespokojny niż gołębnik, jako że zwierzęta przestrzegają ustalonych okresów spokoju.

- No, ale przede wszystkim nie ma tam żadnej sprośnej bazgraniny, takiej jak w naszej windzie. Ledwie można tam wejść, taki wstręt ogarnia człowieka. Zapewne i pana uwagi nie uszły pewne napisy. A może nie dostrzegł pan ich?

- O jakich pani myśli? - zapytał przeciągle i zachęcająco.

- O tych wczorajszych! Tam absolutnie jednoznacznie nabazgrano „dziecio...”

Popatrz no! Ta Barbara Binding nie była wyraźnie niemądra ani niezręczna. W obecności małej dziewczynki nie zdobyła się na całkowitą dobitność.

Tamta jednak zareagowała nieoczekiwanie bez żenady. Nawet Wecker nie zorientował się w porę, że zaistniała pilna potrzeba powstrzymania Ireny. - Jakże tam „dzieci...” Napisane było jasno i wyraźnie „dzieciojebiec”!

- Faj! - Barbara Binding okazała najwyższe oburzenie. - Powinnaś się wstydzić używania tego rodzaju słów!

- Dlaczego ja? Wstydzić powinien się ten, kto tam to

nabazgrał! Czy to moja wina, że nauczyłam się czytać?

- Dla ciebie ważniejsze byłoby dobre wychowanie!

- Nabazgranie czegoś takiego to jedna sprawa - rzucił myśl Wecker, jakby neutralizując sytuację. Popatrzył na Barbarę Binding i po chwili dodał: - Drugą jednakże, ważniejszą jest ta, kogo się tam miało na myśli. Czy pani, panno Binding, ma jakieś o tym wyobrażenie? Zwlekała z odpowiedzią na to pytanie, ale jednak nie zamierzała się wykręcić. - Tutaj w rachubę może wchodzić niejedno. - Zaczęła wpatrywać się z uporem w Weckera. - No, bo kto wie dokładnie? - Co mogło znaczyć, ale czego nie odważyła się powiedzieć: „Również pan!”. Powiedziała więc krótko: - Zapewne każdy, którego nazwisko rozpoczyna się na literę „W”.

Adalbert Wecker uznał, że wskazana jest wyraźna reakcja.

- Co chce pani osiągnąć, panno Binding, przez tego rodzaju aluzje? Albo pani powie to, co pani rzeczywiście wie, albo niech pani lepiej milczy.

- Czy nie było to dość wyraźne, panie Wecker?

- Aluzja, to nie wyrazistość, domniemania zaś, to żadne dowody. Niech więc pani raczej milczy! Trąbanie o takich wątpliwych sprawach może doprowadzić do przykrych następstw, a tych powinna pani sobie oszczędzić.

To już nie było niezrozumiałe. Barbara Binding oddaliła się parskając pogardliwie.

Brzmiało to jak groźba i to właśnie miało na celu. Adalbert Wecker, niezrównany fachowiec w sprawach społecznego marginesu, ciągle jeszcze nie przeczuwał, jakie też kryminalne historie zdarzą się w tym domu.

\*\*            \*\*            \*\*

Owego pięknego wieczoru,

niemal o tej samej porze, w odległości stu metrów od budynku przy Germaniastrasse 175, zdarzyło się coś, o czym można było powiedzieć, że jest wyjątkowo obrzydliwe. Tak też twierdzili nieliczni ludzie, którzy uczestniczyli w tym, bardziej czy mniej bezpośrednio. Szło tu o funkcjonariuszy policji, którzy mówili: No tak, to jest wprawdzie bardzo obrzydliwe, ale nie ma w tym nic szczególnego.

Zaczęło się, jak prawie zawsze, z pozoru niewinnie. Około #/22#00 pewna kobieta nazywając się Maria Berger, oglądała kryminalny film pokazywany w telewizji, w kolorze i stereo. I akurat w takiej chwili musiała stwierdzić, że skończyły się jej papierosy. Stosowny automat był jednak blisko, na rogu Ungererstrasse. Poszukała monet, liczby wystarczającej na dwie paczki tego gatunku, którego reklama głosiła, że „Ta droga opłaca się!”

Potem, kiedy można rzec, „było już za późno”, pani Berger zapewniała: Po pierwsze, zdarzało się to już niejednokrotnie, po drugie, prezentowany film był budzącym wątpliwości, ociekającym krwią widowiskiem i wydało się jej, że koniecznie trzeba oderwać syna od oglądania go, po trzecie zaś, syn jej Heinz, który wraz z nią tworzył małą rodzinę, był dostatecznie uświadomiony, a już na pewno w kwestii tak zwanych „nocnych przygód”.  
Wszystko to brzmiało rozsądnie, łącznie z opisem miejscowych warunków.

Ungererstrasse bowiem, gdzie  
znajdował się papierosowy  
automat, było dużą, ruchliwą  
arterią prowadzącą do  
śródmieścia, oświetloną raczej  
dobrze, mimo gęstych,  
zaciemniających ją drzew. Tyle,

że właśnie o tej porze stawała się niemal bezludna. Kierowcy zaś, którzy pędzili tu w swoich samochodach, wpatrywali się zazwyczaj przed siebie, gdyż ostatecznie ciągle trzeba baczyć na bezpieczeństwo ruchu. Przede wszystkim zaś wówczas, kiedy przekracza się dozwoloną prędkość.

W każdym razie około #/22#15 Heinz, rosły, rumiany, zawsze przyjazny, dwunastoletni chłopiec, dotarł do dostatecznie oświetlonego automatu z papierosami. Tam zaprogramował żądany gatunek, wrzucił dwie dwumarkówki i uruchomił urządzenie. Wszystko funkcjonowało tak jak zawsze.

W tym momencie przysunęły się doń dwie postacie, dwaj mężczyźni i przynajmniej to było jasne. Wynurzyli się z cienia nocy i obstawili go. Dwóch ich było, czy może trzech? Tego tak całkiem dokładnie nie potrafił Heinz później powiedzieć. W każdym razie sięgnęli po niego, pochwycili, przyciągnęli do siebie, zaczęli szarpać na nim ubranie i zdarli je. Bez słowa, choć w żadnym wypadku nie bezgłośnie, bo krztusili się i sapali. Heinz zaczął krzyczeć, a w każdym razie usiłował to robić. Zatkali mu więc usta, brutalnie wpychając w nie chusteczkę. Jego własną, jak się miało okazać.

Wskutek tego aktu przemocy jego wargi zaczęły krwawić. Jak stwierdzono, było to jedno ze zranień. Inne, kolejne według właściwego dla policji fachowego orzeczenia, opisano jako „niewielkie uszkodzenie odbytu”. Nawet jeśli związane z pewnym krwawieniem, to jednak nie dające się nazwać szczególnie niebezpieczne. To, iż nie doszło do dalszych następstw, a co ważniejsze, że napastnicy nie zdołali dopiąć swego, zawdzięczać należy psu.

„W rezultacie doszło do zaniechania usiłowanego gwałtu”, zapisali policjanci, bowiem kiedy wszystko to się działo, dało się słyszeć groźne, ostre szczekanie, przemieszane z podejrzanym warczeniem zapowiadającym chęć ugryzienia. Były to jednak, o czym dręczyciele dziecka nie wiedzieli, odgłosy, jakie wydaje właściwie tylko mały pies, wprawny w potwierdzaniu swojej ważności. Wydawał je rzeczywiście raczej średni kundel, spłodzony być może, przez pudła i terierkę. Nazywał się Friedrich.

Ów instynktownie rozwścieczony zwierzak ciągnął za sobą, i to ze znaczną siłą, starszego mężczyznę. Tamtemu groziła w związku z tym utrata równowagi, zataczał się więc intensywnie i wymachiwał łaską, co wyglądało na dodatkowe zagrożenie napastników. Ponadto krzyczał coś bardzo zagniewany, co jednak odnosiło się

wyłącznie do tak energicznie zachowującego się psa. Krzyczał bowiem: „Fe, ależ fe, czegoś takiego się nie robi!”

Wówczas tamte „typy” porzuciły swoją ofiarę uznając zapewne, że znajdują się w trudnej sytuacji i być może są poważnie zagrożeni przez to głośne szczekanie, warczenie oraz krzyki. Odepchnęli chłopca, który upadł na ziemię i tak go leżącego zostawili. Friedrich, bojowy pies, obwąchiwał go podekscytowany. Dopiero teraz Riemenschneider, solidny emeryt, zauważył, w co został wmieszany. Zdenerwowany i bezradny patrzył na uciekających. On również nie mógł później dokładnie powiedzieć, czy były to dwie, czy też trzy osoby. Z bezradnością niemal przez minutę przyglądał się leżącemu chłopcu.

Dopiero potem, po długim

kręceniu głową, zdołał

przypomnieć sobie o obywatelskich obowiązkach. W roli wartownika pozostawił koło skulonego, leżącego chłopca swojego psa Friedricha, zwierzę zaś posłusznie zastosował się do tego polecenia. Sam Riemenschneider udał się do najbliższej budki telefonicznej, która znajdowała się w pobliżu automatu z papierosami, drżącymi rękami wrzucił dwie dziesięciofenigówki i wykręcił numer 110, numer policji. Potem rzeczowo wypytany udzielił krótkiej informacji. Po niecałych dziesięciu minutach, około #/22#30 radiowóz policji zjawił się w miejscu zdarzenia.

\*\*                    \*\*                    \*\*

- Poszła sobie - powiedziała Irena kiedy już Barbara zniknęła. - Poszła sobie i już nie podśpiewuje! Zamilkła ta nasza dobrota, szybko jej przeszło.

- Nie myśl o tym, drogie dziecko. Panna Binding, tak jak każdy z nas, musi starać się o to, żeby uporać się z życiem.

- To, co pan powiedział, powtarza i moja matka. Ja jednak umiem czytać, patrzeć i słuchać, próbuję nawet myśleć. Czy uważa pan to za prawidłowe?

Adalbert Wecker uciekł się do tych ogólników, które akurat mu się nasunęły. - Powinnaś chyba widzieć to tak: Nie zawsze musi się zgadzać to, co usłyszeliśmy, gdyż mogło być tak, że przesłyszeliśmy się. Podobnie jest i z tym, co do czego jesteśmy przekonani, że zobaczyliśmy to. Czasem jednak może być tak, iż dostrzegamy zaledwie jedną stronę medalu albo dwa czy też trzy boki sześcianu. Może więc zaistnieć cała masa błędów wywołanych złudzeniami akustycznymi albo optycznymi.

- Wierzy pan w to, że naprawdę tak jest, panie Wecker? - Irena

usiadła blisko niego, najwyraźniej w pełni mu ufając.

- A może chce mi pan to wmówić, żebym stuliła swój nazbyt gadatliwy dziób, jak to czasem określa matka. No, dobrze jeśli pan tak sądzi, zastosuję się. Mogę milczeć jak ryba. Ale czy naprawdę muszę?

- Nie. Niekoniecznie. Jednak radzę ci Ireno: To, co masz powiedzieć, zawsze możliwie dokładnie przemyśl, zwracaj też uwagę na to co mówisz, przede wszystkim zaś uświadom sobie, do kogo mówisz. Bądź ostrożna!

- Jestem. Jeszcze jak! Ale wobec matki nie muszę i wobec pana też nie. W każdym razie teraz czuję się znacznie lepiej. Zawsze tak jest, kiedy mogę uwolnić się od tego co wiem, o czym myślę, że wiem. Potem śpi mi się lepiej.

Wecker milczał, ale uśmiechał się do niej, tak jakby siebie samego chciał rozweselić. Tutaj niewątpliwie spotkały się dwie niezwykle ciekawe istoty. - Z określonego punktu widzenia, moje drogie dziecko, zdajesz się wiedzieć znacznie więcej niż ja, choćby o ludziach żyjących w tym domu.

- No, jasne! W końcu mam dość czasu, żeby gruntownie się rozglądać, Adalbercie. - Pierwszy raz z całą oczywistością wypowiedziała jego imię, tak jakby już się do niego przyzwyczaiła. - Szkolne zadania, musi pan wiedzieć, załatwiam w mig. Matka też nie może ciągle o mnie się troszczyć, bo często bywa bardzo zajęta, jak choćby i teraz. No dobrze, wtenczas mogę być tu pańskim okiem i uchem.

Wecker zaakceptował tę sugerowaną mu konstelację, i to nawet nie dla żartów, jak na to mogło wyglądać, ale z premedytacją, tak jak to praktykował często. - A więc, Ireno, tymczasem zdążyliśmy

uzgodnić już to i owo, jednak pamiętaj, że z pytań nieuchronnie rodzą się kolejne pytania. Odpowiedź na jedno, wymaga uzupełnienia przez następne. Do tego jeszcze mogą wyłonić się najprzeróżniejsi ludzie, których też należy brać pod uwagę.

- Na przykład kto? - zapytała ochoczo i życzliwie. - O kim pan myśli? Czy o tej osobie, która właśnie nas odwiedziła?

Adalbert Wecker był zachwycony. Dziecko to rozumiało go doskonale, tak jak udawało się to niegdyś tylko najlepszym jego funkcjonariuszom kryminalnym. Irena miała niewątpliwie czujny instynkt, niczym jeszcze nie spaczony. - Jesteś na bardzo dobrym tropie - powiedział.

- A więc to Barbara Binding! O niej już panu mówiłam, tylko oczywiście nie wszystko. Zdenerwowała pana, co? Tak jak i mnie, i to nie pierwszy raz. Ona ciągle pozuje. Koniecznie chce tu być kimś. A to, w jaki sposób wypowiada się o mojej matce, jest takie, że tylko w pysk daj!

Wecker skinął głową, nie tyle wyrażając akceptację, ile raczej odruchowo. Pomyślał sobie, że chyba byłoby lepiej, gdyby z tym dzieckiem bawił się tylko piłką. Jednak stale nachodząca go pokusa, żeby dowiedzieć się możliwie dużo, nie opuszczała go.

- A więc, Ireno, jak sądzisz, jakimi też motywami może kierować się taka osoba? Musi też chyba istnieć tak zwany czynnik wyzwalający. Możesz to sobie wyobrazić?

- Tak całkiem dokładnie, to oczywiście tego nie wiem. Radził mi pan, żebym się zastanawiała nad tym, czy też wie się coś rzeczywiście. - To dziecko uczyło się w istocie zdumiewająco szybko. - W tym wypadku może to jednak wyglądać choćby tak: Owa Binding czuje,

że przyciąga ją, czy też nazywa się to, że pociąga, akurat pan Wesendung. Czy to pana interesuje, panie Wecker?

On zaś znów musiał się dobrze potrudzić, żeby ukryć zaskoczenie, którego sprawcą było, ni mniej ni więcej, tylko dziecko. - To nie jest tak, Ireno - próbował wykrętu - żeby interesowały mnie jakoś szczególnie, czyjeś tam osobiste historie. A jednak, tak całkiem nie powinniśmy ich nie dostrzegać. Jak myślisz, rozwija się tam coś między nimi?

- Właśnie, że nie. Tyle co nic! - relacjonowała dziewczynka, która naprawdę zdawała się często zaglądać tu i tam. - Przypuszczalnie Barbarze Binding jest z tym źle.

- Dlaczego? - Zabrzmiało to jak coś całkiem nieważnego, ale taka ciągle jeszcze była umiejętność tego wielce uzdolnionego rozmówcy, uwidaczniająca się nawet wówczas, kiedy sam siebie zapewniał, że zajmuje się tym niezbyt chętnie. Czego jednak człowiek się nauczył, to i potrafi. Tak w tym miejscu można by powiedzieć.

- O pana Wesendunga, owa dama, która twierdzi, iż rzeczywiście jest damą, zdaje się zabiegać natrętnie. Tak jest. Ciągłe próbuje zbliżyć się do niego. Zauważyłam to nie raz. Ona naprawdę na niego dybie.

- Może to być coś więcej, niżli się zwykle sądzi. To całkiem ludzki odruch, albo w tym przypadku nieodwzajemniona skłonność. Jak się to jednak rozgrywało?

Szczegóły z tym związane Irena

przedstawiła z następującymi ograniczeniami: „O ile rzeczywiście to spostrzegłam” lub: „Nie wiem, czy dokładnie usłyszałam”. Widać było wyraźnie, że Adalbert Wecker trafił tu, choć wcale na to nie

celował, ani też raczej nie spodziewał się tego, na swoistą odmianę uczennicy, która okazała się wielce uzdolniona i w najwyższym stopniu pilna.

W każdym razie teraz ujawniły się nie tylko bardzo interesujące szczegóły lecz jeden czy drugi nader zabawny detalik. Choćby taki: Panna Binding miała, wyczekując co rano pod drzwiami, proponować panu Wesendungowi, że postara mu się, tak jak i dla siebie, o świeże bułeczki. Oferta została odrzucona.

Następnie: Panna Binding zwróciła przy windzie uwagę panu Wesendungowi, że jego skrzynka listowa jest przepełniona. Jemu zaś było to obojętne. I wreszcie: Przed drzwiami domu panna Binding powiedziała panu Wesendungowi, że całkiem przypadkowo dysponuje dwoma biletami do opery na Traviatę. Powiedział jej, że niestety, nie ma czasu. Dał jej do zrozumienia, że jest nieustannie zagoniony.

- No i jeśli osądzam właściwie

- powiedziała na koniec Irena - zawsze wychodziło na to samo:

Ona chciała, a on nie.

- Przyczyn tego, moja droga

Ireno, może być wiele, ale może jest i jedna szczególna. Potrafisz sobie wyobrazić jaka?

- Nie potrafię, panie Wecker, naprawdę nie, a może jednak, tylko niezbyt dokładnie.

Ponieważ to pan jest tym, który chce się tego ode mnie dowiedzieć, zrobię jednak panu

przyjemność, nawet jeśli niezbyt chętnie. Podam rzeczywisty powód, który wyobrażam sobie dobrze.

- Zostawmy to, próbował powiedzieć sobie Adalbert Wecker, ale jednak nie powstrzymał się od pytania, w pewnym sensie zastępczego. - Jakby to też miało wyglądać? - No, chyba całkiem zwyczajnie - podchwyciła w lot. - Tak jak się

o tym czasami szepce w tym domu, ostatnio zaś nie tylko szepce. Mniej więcej tak:

Wesendung widocznie nie ceni sobie dorosłych dam. Jeśli o niego idzie, to chyba jest całkiem taki, jak to napisano w windzie...

- Powinnaś o tym zapomnieć,

Ireno. Proszę.

- Już zapomniałam! Jeśli pan chce, nie wymówię już więcej takiego słowa! - Zostało to powiedziane z żarliwym zapałem, ale zaraz jednak dodała: - W tym domu są ludzie, którzy twierdzą, że on woli cieliczki albo baranki. Poza tym wcale nierzadko wymienia się określone nazwisko, o czym jeszcze nie zdążyłam powiedzieć. Mianowicie Thomasa Tatzera.

- Tu nie można niczego wykluczyć. - Wecker zadawał sobie sporo trudu, żeby odejść od tematu, a jednocześnie uświadomić ją. - A jeśli on znajdzie nie tylko tego małego Tatzera, ale i innych w takim wieku? Powinnaś uważać.

- Nie muszę, panie Wecker. Ze mną nie może on zrobić niczego!

Było to zapewnienie, które zdołało rozweselić nawet Adalberta Weckera, ale wesołość ta miała przeminąć bardzo szybko.

\*\*            \*\*            \*\*

Trudziło się, nie ociągali z okazaniem określonego współczucia funkcjonariusze policji, w których ręce dostała się „sprawa Heinza Bergera” z pobliskiej Ungererstrasse. Przyjechali zaalarmowanym radiowozem, zanotowali pierwsze spostrzeżenia i zaczęli działać. Pociągnęło to za sobą swego rodzaju „pierwsze natarcie”, a jeszcze lepiej „wkroczenie” właściwe w takich przypadkach.

Stwierdzono tu więc, że była  
ofiara, która odniosła niezbyt  
ciężkie obrażenia, a więc  
wezwanie karetki sanitarnej nie

było potrzebne. Był też ewentualny świadek, starszy mężczyzna z psem. Poproszono go, żeby pozostał do dyspozycji. Wszystko przebiegało zgodnie z obowiązującymi regułami.

Potem, w celu dalszej koordynacji porozumiano się przez radiotelefon z właściwym urzędnikiem w prezydium policji. Ów, po krótkich, celnych pytaniach podjął decyzję:

Pozostańcie na miejscu zdarzenia. Spróbujcie zebrać dalsze szczegóły, niczego jednak nie uprzedzając. Czekać na przybycie wyznaczonej przez nas specjalnej jednostki, która będzie uprawniona do dysponowania wami. A więc wszystko przebiegało prawidłowo. Absolutnie.



Jeśli idzie o specjalną jednostkę „O”, była ona jedną spośród czterech czy pięciu. Wyodrębnił ją wydział obyczajowy, zgodnie z zapobiegliwym zarządzeniem prezydenta policji, którego nakłonił do tego emerytowany komisarz kryminalny Keller. Miała ona utrzymywać dyspozycyjną gotowość, by w każdej chwili zająć się tak licznymi ostatnio drastycznymi przypadkami. I to możliwie szybko, zanim takie zaszłości, tego rodzaju przestępcze zdarzenia nie zdołają wywołać szumu w gazetach. Na takie bowiem przypadki, nie tylko w tym mieście, czyhali wprost liczni uświadamiacze.

Jeśli do przybyłego tu  
radiowego patrolu, który zjawił  
się tu najszybciej, należeli  
względnie młodzi  
funkcjonariusze, gotowi  
wprawdzie do działania, ale  
raczej nie samodzielni,  
specjalna jednostka „O” składała  
się w przewadze z  
doświadczonych, wszechstronnie  
wyszkolonych i  
wyselekcjonowanych starych

fachowców. W cywilnych ubraniach, wolni od nadmiernej gorliwości, byli oni bardziej buchalterami możliwej do osiągnięcia sprawiedliwości, niżli zawziętymi i nie ustającymi w pościgu policjantami.

Bezpośrednio po przybyciu na miejsce zdarzenia specjalnej jednostki „O”, nastąpił dokładnie zaplanowany podział zadań niezbędnych do wykonania w tej akcji. Jeden z funkcjonariuszy niezwłocznie i bardzo troskliwie, po ojcowsku zajął się ofiarą. Obejrzał ją szczegółowo, dyskretnie i nienatrętnie, a potem ostrożnie zaczął wypytywać o to, co się stało. Drugi funkcjonariusz, wraz z podporządkowanym mu policjantem patrolu, trudził się odszukiwaniem i zabezpieczaniem wszelkich śladów. Funkcjonariusz numer trzy przyssał się do ewentualnego świadka i zaczął go intensywnie wypytywać, w czym ani trochę nie przeszkadzał pies Friedrich. Co też mógłby powiedzieć taki zwierz, gdyby umiał mówić, zadawał sobie milczące pytanie funkcjonariusz.

Po dwudziestu mniej więcej minutach cały ten wywiadowczy konwentykiel dokonał odwrotu. Trzej funkcjonariusze wydziału obyczajowego, ofiara zajścia, a nadto świadek i pies mieli udać się na tak zwaną urzędowo zabezpieczoną niwę, w celu protokolarnego ujęcia wszystkich rozeznaczonych szczegółów. Najbliższym oficjalnym pomieszczeniem okazał się rewir policyjny dzielnicy. Udostępniono im tam osobny pokój.

W tym samym czasie policjanci z radiowozu otrzymali szczególne polecenie. Mieli otóż odwiedzić panią Berger, matkę napadniętego Heinza. Dyrektywa brzmiała:

**Postępować nadzwyczaj taktownie!**  
**Żadnego przemilczania zdarzeń,**  
**ale i najmniejszego choćby**

rozdymania tego, co się stało. Dominować miało następujące stwierdzenie: Pani syn nie czuje się najgorzej: Pozostaje w dobrych rękach, nie ma powodu do niepokoju, w domu znajdzie się po mniej więcej godzinie.

Dodatkowo nastąpiło czysto policyjne, taktycznie prawidłowe ustalenie: Gdyby pani Berger zechciała zobaczyć się z synem natychmiast, należy jej to stanowczo odradzić. Jeśli jednak będzie koniecznie upierała się przy tym, musicie ją przywieźć.

Niemal wszystkich, chyba tylko poza psem Friedrichem, nasza w czasie zgodnego z wymogami pisemnego ustalania szczegółów, świadomość beznadziejności sprawy oraz ich własnej, niepokojącej niemożności. Tego, co mogło mieć wagę dowodów, było tyle co nic. Niczego nie było, co dałoby się ustalić, a następnie użyć do porównawczej analizy faktów.

Istniała wprawdzie ofiara, a więc musieli być i sprawcy, jednak kim byli? Jak wyglądali? Jak można by ich opisać? Tego też było tyle co nic! Ani poszkodowany, ani świadek nie wnieśli niczego.

Wszystko rozegrało się w ciemnościach. Dwóch sprawców było, czy trzech? Jeden prawdopodobnie z brodą, drugi chyba z długimi włosami, które opadły mu na twarz i przysłoniły ją. Ubrani byli zwyczajnie, modnie, można powiedzieć, że nosili współczesne cywilne umundurowanie. Niebieskie džinsy, możliwe, że koszule drwali, ciemne swetry albo skórzane kurtki. Takich typów było tu setki.

Czy w czasie zdarzenia rozmawiali ze sobą? Jeśli tak, to jakich słów używali? Zwracali się do siebie po nazwisku, po imieniu? Nie? Nic z tych rzeczy!

Dyszeli tylko i to jak! „Jak zwierzęta”. Była to jedyna

wzmianka, którą zdawał się rozumieć pies Friedrich, bo odruchowo na nią zareagował.

A więc, jak zwykle - musiał z cichą rezygnacją zauważyć funkcjonariusz kierujący ekipą strażników obyczajności. W końcu dotyczyło to przypadku, który tylko w tym roku zarejestrowany będzie pod numerem 88 albo 79 czy też 92.

- A może powinniśmy rozejrzeć się trochę po okolicy? - zaproponował jeden z funkcjonariuszy. - Według naszego rozeznania, w najbliższym sąsiedztwie znajdują się chyba trzy prawdziwe wylęgarnie takich praktyk. Przede wszystkim dyskoteka przy Bonnerstrasse, potem bar „Can\_can” przy Bielefelderstrasse, w końcu, żeby nie pominąć niczego, niekiedy i kawiarnia „Przy Kretowinie”. Nie zaszkodzi przecież, jeśli posłuchamy tam tego i owego.

- Przedsięwzięcie to nie przyniesie chyba czegoś konkretnego. - Kierujący ekipą policjant wiedział to z doświadczenia. - A jednak może być choćby tak, że wywołamy przez to zaniepokojenie określonych środowisk.

Wiedział przy tym dość dokładnie, co znaczyło owo „określone zaniepokojenie”. Tyle co nic! Tego rodzaju przestępcy tak łatwo nie pozwalali zastraszyć się policji.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Tymczasem na korytarzu, przed swoim mieszkaniem, zjawiła się Johanna Lenz, matka Ireny. Była otulona połyskliwym szlafrokiem z jasnozielonego jedwabiu. Jeśli nawet miał wygląd nieco sfatygowany, był czysty, bez żadnej plamki. Jej uśmiech zaś wydawał się niewzruszony, jeśli nie niezniszczalny.

**Jednym bystrym spojrzeniem**

oceniła sytuację na klatce

schodowej. Nic nie świadczyło o tym, żeby była w jakimś stopniu znużona bądź wyczerpana. Prezentowała się jako osoba niezwykle kobieca i współczesna, na której jak dotąd, nie zdołali pozostawić swojego piętna liczni mężczyźni osobnicy, nawet jeśli intensywnie się o to starali, a czego należało się domyślać.

- Jesteś tu, moje dziecko - powiedziała serdecznie do Ireny.

- I już nie sama, jak widzisz.

Jest ze mną pan Wecker. Chyba nie masz mamie nic przeciwko temu?

- Dlaczego miałabym mieć, dziecko? - Pozdrowiła Adalberta Weckera skinieniem głowy.

- Znajdujesz się, można powiedzieć, w dobrym towarzystwie.

- Jeśli ma pani mnie na myśli, pani Lenz, muszę panią ostrzec.

- Wecker odkłonił się jej. - Nie jestem jakimś tam wybitnym przyjacielem ludzi, ani też człowiekiem towarzyskim, zgodnym i zabiegającym o harmonię. - Przez to zapewne zamierzał dać jej do zrozumienia, że jest raczej samotnikiem i w każdym przypadku chce nim pozostać.

- Ale z Adalbertem można jednak wytrzymać! - wesoło zakomunikowała Irena.

Teraz jeszcze wyraźniejszy stał się uśmiech Johanny Lenz, obecnie skierowany bezpośrednio do Weckera, któremu widocznie rola upartego mentora bardzo odpowiadała. Ujawniło się to już podczas pierwszego ich spotkania, mężczyźni zaś przywiązują dużą wagę do swoich cech i z uporem je pielęgnują. Johannie zdawało się, że wie o tym dobrze.

- Chętnie zaprosiłabym pana do mieszkania, panie Wecker. Na filiżankę kawy albo herbaty, czy też kieliszek wina.

- Tego raczej nie da się zrobić, nie teraz - odezwała się spieszenie i rzeczowo Irena. - W

naszym mieszkaniu, jak myślę, nie panuje należyty porządek.

- Jestem wyrozumiała - zapewnił Wecker.

- Faktycznie? - Tym co wywarło teraz szczególne wrażenie na Johannie Lenz, była wyraźna poufałość między mężczyzną, a jej córką, choć zrozumiała w odniesieniu do Ireny.

- Czy mogłoby być i tak - zapytała z napiętą uwagą Johanna - że nawet dla mnie, w mojej szczególnej sytuacji znalazłby pan zrozumienie?

Wecker niemal przyjaźnie skinął głową, po czym jednak we właściwy sposób zaczął szukać uzasadnienia. - Wszyscy, i to wcale nierzadko, ulegamy takim czy innym błędom. Wszyscy też mamy przesady, popełniamy pomyłki mniejsze i większe, czasem dość lekkomyślnie. Siebie z tego nie wykluczam.

- Ale pan jest jakiś całkiem inny, niż wszyscy tutaj - powiedziała Irena, która teraz stała blisko matki.

- Ach, w istocie wcale tak bardzo nie różnię się od innych. Ja tylko próbuję zachowywać się powściągliwie i jeśli możliwe, nie narzucać się nikomu, oraz nie mieszać się do niczego. Zamierzam, jeśli będzie to możliwe, nadal żyć sam z sobą i samemu z sobą dojść do ładu. Już z tym wszystkim mam masę roboty.

- Takiego jednak wrażenia

Adalbert nie robi - zauważyła wesoło Irena. - Raczej wygląda mi na to, że gotów jest mieszać się do wszystkiego i to bardzo. W ciągu kwadransa zadał mi więcej pytań, niż wszyscy razem nauczyciele w ciągu tygodnia.

- No to przejrzałaś mnie! -

Wecker uśmiechnął się do niej. - Możliwe jednak, zalecam ci, że powinnaś to widzieć tak: Starzy ludzie gadają chętnie, jeśli tylko mają uważnych słuchaczy. Lubią też udzielać dobrych w zamyśle rad. Nawet

nieproszonych. Choćby sformułowanych w taki sposób: Co by to było, gdybyś teraz poszła spać? Jako swego rodzaju dziadek, mógłbym dodać, że to już najwyższa pora dla takich małych dziewczynek.

- Tak, zrobimy to. Bardzo panu za wszystko dziękuję, panie Wecker. - Johanna objęła ramieniem córkę. - Tym razem, Ireno, nie będziesz sama. Nikt ci nie będzie przeszkadzał albo cię niepokoił. Zostanę z tobą.

- Jakie to piękne! - Zdawało się, że dziecku wyraźnie ulżyło. Jeszcze tylko zapytało: - A co będzie robił Adalbert, pan Wecker?

- Pójdę trochę sobie pospacerować wśród zimnej, bezchmurnej nocy. - Miał nadzieję, że będzie potrafił delektować się swoją samotnością. Odejść, odejść od tego wszystkiego!

- Jeśli spacer nie okaże się długi - zaproponowała śpiesznie Irena, nadal wcale nie zmęczona - mogłybyśmy tymczasem uporządkować nasze mieszkanie i zaparzyć kawę. Co o tym myślisz, mamó?

Zanim jeszcze mogła zabrzmieć odpowiedź, Wecker powiedział, oczywiście z wielką przyjemnością: - Dziękuję bardzo. To niezwykle przyjazna propozycja i chętnie kiedyś z niej skorzystam. Teraz jednak mówię ci moje dziecko: do widzenia. I dobrej, spokojnej nocy, pani Lenz. Śpijcie dobrze.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Nie oglądając się za siebie, Adalbert Wecker poszedł teraz do windy. Pomyślał sobie, że nie stać go było na taki gest. I tak, zupełnie wbrew woli, zainwestował tu nazbyt wiele sentymentu.

Kiedy wysiadł z windy na parterze, zauważył dozorcę domu, Tatzera. Ten zdawał się czekać na niego i to już od pewnego czasu.

- Jest pan wreszcie! - zawołał.

- Diabelnie długo zatrzymał się pan u... tamtej osoby!

- To chyba wyłącznie moja sprawa!

- Dobrze już, dobrze panie

Wecker, bo jeśli o mnie idzie, to niech się panu szczęści. - Tępa, ponura ociężałość Tatzera zaczęła niebezpiecznie przeradzać się w wesołość. - Teraz mogę jednak panu zapowiedzieć kolejną przyjemność. Szanowna pani baronowa, ta z samej góry, przywiązuje wagę do spotkania się z panem. Chce z panem porozmawiać.

- Ja nie chcę.

- Ale, ale, panie Wecker! Nie uchylił się pan przecież od takiego, w uprzejmy sposób sformułowanego zaproszenia? Nawet pan nie może pozwolić sobie na to. Chyba musi być panu wiadome, kim jest tamta łaskawa pani.

- W pewnym sensie. Jest mi to jednak obojętne.

Jeśli idzie o tę „łaskawą panią”, była nią baronowa Elwira Senker, małżonka druga czy trzecia pewnego ocenianego na wiele milionów, dziedzicznego przedsiębiorcy działającego w branży stalowniczej, samochodowej, tworzyw sztucznych i temu podobnych. W tym domu

zaś, na ekskluzywnie rozbudowanym poddaszu, nazywanym też apartamentem, mieszkała ta dama tylko przez kilka tygodni w roku i to w czasie karnawału albo letniego festiwalu operowego. Poza tym dama ta zwykła przebywać w Paryżu lub Nowym Jorku, na Rivierze, Florydzie czy też na Karaibach. No i gdzie tam jeszcze!

- Nasza pani baronowa - Tatzer usiłował wyjaśnić to Weckerowi - ma tu nie tylko apartament, ale w bloku tym wykupiła wiele innych mieszkań.

- W każdym razie nie kupiła

mojego - stwierdził Wecker. - Jest ono bowiem nadal moją własnością. Dlatego też jakiegokolwiek tutaj własnościowe stosunki tej damy nie obchodzą mnie wcale. Ona sama też mnie nie interesuje. W żadnej mierze. Czy to oczywiste? Na co Tatzerowi, który miewał i światlejsze momenty, przyszło na myśl sformułowanie brzmiące już znacznie lepiej niż poprzednie. - Łaskawa pani prosi o to, żeby mogła z panem porozmawiać. Można powiedzieć, że poufnie.

- Tego słucha się o wiele lepiej.

- A więc pan...

- Czasami już bywam taki ciekawski - powiedział z niedbałą łaskawością. - Gdyby jednak pan, panie Tatzer czegoś sobie po tym obiecywał, ostrzegam pana, żeby pan na to nie liczył. Drzwi do apartamentu znajdowały się zaraz obok tych, które wiodły do jego mieszkania. Jego wejście odpowiadało jednak dokładnie wszystkim tego rodzaju tworom zainstalowanym w owej mieszkalnej stajni, było zrobione z płyt sklejk dających się stosunkowo łatwo rozwalić, podczas gdy droga „na samą górę” była zabezpieczona masywną, lśniącą stalową płytą. Wyglądało to tak, jakby za nią znajdował się skarbiec jakiegoś wielkiego banku.

Ponad drzwiami zainstalowana była kamera telewizyjna, która jednak została wyłączona i to właśnie teraz, przez niego. Udało mu się to zrobić z pomocą szybkiego zabiegu, przeprowadzonego niejako mimochodem i przy zastosowaniu laski. Było to szybko dokonane dzieło fachowca biegłego w kryminalistyce. Przecież nim był. I to również w odniesieniu do takich detali.

Teraz nacisnął oświetlony

dyskretnie guzik dzwonka, po czym skrzypliwy, mechaniczny szmer oznajmił, że można otworzyć te podobne do pancerza drzwi. Zaraz też zobaczył dość stromo wznoszące się dębowe schody, wyłożone chodnikiem o staroperskim rodowodzie. Na samej górze stała, w ciemnym domowym stroju, tak zwana „łaskawa pani baronowa”. Robiła zapraszające gesty i zawołała do niego: - Jak to pięknie, że wreszcie mogę pana poznać, panie Wecker. Proszę wejść.

Jak długo żyją już tutaj, on na dole, ona na górze? Około trzech lat, albo czterech? Nie spotkali się jednak dotychczas, bo nie przywiązywali do tego żadnej wagi. Na szczęście na takie stwierdzenie Wecker nie pokusił się, ujrawszy ową luksusową damę. Ostatecznie i on posiadał własne, dość silnie zakorzenione maniery i wiedział też, że je ma.

Dama, do której Adalbert z coraz bardziej zaznaczącym się ociąganiem wchodził po schodach, nie okazała się szczególnie młodą dziewczyną, ale jeśli szło o jej

wiek, jakoś nie udawało się go ustalić, bo bardzo skutecznie przyprawiony był, a nawet opromieniony najdroższym kosmetycznym polorem. Służąca temu pracownia, domyślał się rozbawiony Wecker, musi mieć co najmniej wymiary jego gabinetu. Ale w każdym razie baronowa pachniała przyjemnie i to już na odległość.

- Witam pana, panie Wecker - zawołała gruchając uwodzicielsko jak gołębicą. - Mam wielką nadzieję, że będzie się pan u mnie dobrze czuł.

Do tego zdawały się istnieć

wszelkie warunki, pomyślane w taki sposób, żeby wywierały stosowne wrażenie. Skutecznie oddziaływały przynajmniej na ludzi współczesnych, ukształtowanych przez telewizję

i edukowanych przez ilustrowane, rodzinne tygodniki, którzy też uznawali, że coś takiego właśnie liczy się w życiu. Tutaj otaczały go: Jedwab, chrom i szkło, wschodnie dywany, chińskie wazy, lampy z Murano i meksykańskie srebra, przede wszystkim zaś zainstalowany wszędzie, w każdym pomieszczeniu, zdumiewający natłok rozmigotanych amerykańsko\_japońskich audiowizualnych aparatów, od telewizorów z video poczynając, na stereofonicznych głośnikach kompaktowych gramofonów kończąc.

I żadnego tu Renoira? Wecker poczuł pokusę, żeby o to zapytać. Nie zrobił tego jednak, gdyż dostrzegł co najmniej jednego Picassa z okresu dojrzałości.

- Proszę powiedzieć mi, panie

Wecker, jaki z napitków faworyzuje pan! - Oferta odpowiadała najlepszym prospektom i miała wymiar międzynarodowej superreklamy:

Szkocka whisky, ale i amerykańska oraz irlandzka; sherry, oczywiście hiszpańskie, ale i szampan prosto z Szampanii, bo i skąd by indziej.

- Proszę, jeśli można, o wodę mineralną.

- Francuską, szwajcarską, czy niemiecką? - padło pytanie.

- W tej dziedzinie, pani von

Senker, nie zdażyłem jeszcze ukształtować sobie jakichś szczególnych pragnień. Chętnie dowiedziałbym się jednak, w jakim celu przyjmuje mnie pani tutaj i czego, jeśli tak jest, oczekuje pani ode mnie?

- Niczego, w każdym razie niczego konkretnego! - Wolno mu było usiąść niedaleko niej, na szerokim, staroangielskim skórzanym fotelu. - Chcę tylko trochę z panem porozmawiać.

- Ja jednak muszę dopytywać się uparcie, czego się pani po tym spodziewa? Ostatecznie pani

jest damą z najlepszego towarzystwa, ja zaś człowiekiem, który przypadkowo mieszka pod panią. Jestem byłym urzędnikiem administracji, emerytem i to nie tylko wczesnym, ale nawet przedwczesnym. To wszystko.

Baronowa Elwira Senker upierała się jednak, że chce z nim porozmawiać, w pewnym sensie tak jak człowiek z człowiekiem. Wkrótce stało się oczywiste, w jakim celu zechciała zapoznać go z tym, kim sama jest i jakie są jej możliwości.

Starła się mu wyjaśnić, że są one wprost niezmiernie. Tutaj należy nie tylko do najlepszego towarzystwa, ale najwyraźniej, tak mniema, może uważać się za jego centralny obiekt. Tryskała słowami jak żywotne źródło wodą, a przycupnięty w fotelu Wecker pozwalał jej na to.

Między innymi wyszło na jaw, że pan premier krajowy darzy ją przychylnością, ale tylko na sposób serdecznie ludzki, co jest zrozumiałe samo przez się. Również niektórzy jego ministrowie, jak i sekretarze stanu należą do chętnie u niej widzianych gości i partnerów rozmów. Nawet ksiądz kardynał wie, co też ona tu zanczy. Jeden zaś z burmistrzów krajowej stolicy, zawsze stara się być dla niej usłużny. Poza tym kilka razy grała w tenisa z prezydentem policji i zadawała sobie trud, żeby wygrywał. I tak to szło dalej i dalej, w owej chwalczej prezentacji.

- Wszystko to brzmi imponująco, pani von Senker, a jednak odnoszę wrażenie, że nie idzie tu o wszelkie możliwe wpływy jakie pani ma wśród osobistości w tym mieście, ile raczej o pozycję dozorcę domu, a może i o jego syna.

- Nie powinien pan tego tak upraszczać. Jeśli nawiązałam dyskretnie do swoich możliwości, to tylko po to, żeby wskazać, że

jeśli idzie o ludzi, którym mogłabym być pomocna, zawsze jestem gotowa posłużyć się swoimi powiązaniem. Oczywiście przyjmując, że na to zasłużą!

- Do nich, jeśli panią zrozumiałem, należy i pan Tatzer. - Na razie Wecker nie ponowił wzmianki o jego synu. - Dlaczego jednak należy? Czy mogłaby mi pani wyjaśnić to dokładniej?

- Pan, jak się zdaje, naszego dozorcę nie ocenia właściwie - powiedziała niemal z troską. - Jest on zaś nadzwyczaj pracowitym, wyjątkowo zapobiegliwym człowiekiem, zawsze pomocnym i gotowym do działania.

- Czy sądzi pani, że właściwości te charakteryzują go w jakiś szczególny sposób? - Wecker powiedział to bez cienia ironii. - Wobec kogo bywa taki, gdzie, kiedy i w jaki sposób? Wobec pani osobiście?

- Wcale mi się nie podoba to, co pan tu mówi. - Twarz jej zastygła. - To nie brzmi dobrze.

- NO tak, nie jest to niestety przyjemny temat, ale też i nie niezbędny. Nie musimy, pani von Senker, kontynuować tej rozmowy.

- Ależ tak, raczej musimy, panie Wecker, zwłaszcza, że idzie o to, czego domyśla się też pan Tatzer. O to, że pan go nie cierpi. Wydaje się mu, że jest pan nawet zdecydowany utrudniać mu życie, i to choćby na siłę.

- On to powiedział? Wyraźnie?

Powiedział to pani?

- Tego dosłuchałam się, kiedy osobiście referował mi sprawę - odparła szybko ostrzegawczym tonem. - Niech się pan jednak nie dziwi, że pragnę dowiedzieć się, co też mógłby mi pan rzeczywiście udowodnić.

- Możliwe, że nic. A może bardzo dużo. Przy tym jedna drobnostka nie wydaje mi się nieważna. Pani gotowość do

osłaniania go.

- To tylko ludzki odruch, całkiem zrozumiałą, jeśli o mnie idzie. Wobec każdego staram się być taka, jeśli tylko czuję, że mnie rozumie. W takich przypadkach potrafię też być nader wspaniałomyślna, panie Wecker. Mam nadzieję, że zrozumiał mnie pan właściwie. -

Obrzuciła go skrytym spojrzeniem, jakby zmrożonym przez kosmetyki. - Żeby jednak wrócić do tematu Tatzera, pytam, co też można by mu w ogóle udowodnić. Jakies napisy w windzie, o których mi mówił? Nie ma ich już!

To się zgadzało i Wecker był tym, który doradził Tatzelowi usunięcie owej bazgraniny, zamalowanie jej bez śladu. Czy był to błąd? Możliwe, że tak. Błędy zdarzały się i jemu, wciąż i wciąż.

- Zdaje mi się, pani von

Senker, że już rozumiem. Podobnie bowiem jak pani i ja jestem za łagodzącą wszystko zgodą oraz unikaniem niepotrzebnych konfrontacji i to nawet wówczas, kiedy tak jak tutaj, zabieganie o nią nie jest zbyt łatwe. Przy tym nasuwają mi się też dalsze wątki, bardzo liczne.

- Jakież? Co pan ma na myśli? - zapytała podekscytowana.

- W tym przypadku nie powinna pani pomijać pewnej osoby. - Mówiąc to, dość sprytnie naprowadził rozmowę na temat, do którego zmierzał. - Mam na myśli Thomasa, syna dozorczy domu. Przypuszczam, że pani go zna.

- Ależ tak. Chłopiec ten odwiedzał mnie niekiedy i jak mogłam stwierdzić, w żaden sposób mi nie przeszkadzał. Jest to chłopiec miły, choć zapewne należy uważać go za rodzaj kretyna. Niestety. Prawda?

- Właśnie to, pani von Senker, może okazać się istotną pomyłką. Nie wykluczone, iż nie całkiem

nieszkodliwą. Jednakże nie osmielam się twierdzić czegoś takiego i proszę, żeby pani to uwzględniła. Nie jest też tak, żebym miał już w tej kwestii sprecyzowane zdanie, ale posługuję się tylko pewnymi informacjami, które do mnie dotarły.

- O czym w nich mowa?

- Przede wszystkim o tym, że

Thomas jest sam w sobie, jak to stwierdziła i pani, bardzo miłym, łatwowiernym chłopcem, nadto dzieckiem ładnym i ujmującym. Ale, choć trudno się z tym zgodzić, nie prezentuje się jako zawsze niewinny obiekt, godny współczucia i wszelkich wzruszeń.

- A co to miałyby znaczyć? -

Można było zauważyć narastający w niej niepokój, choć twarz jej, pozbawiona wyrazu, wyglądała teraz jak martwa.

- Według dostarczonych mi wiadomości - wyjaśnił chętnie Wecker - to jeśli idzie o tego Thomasa, nie da się wykluczyć, że jest on typkiem całkiem przytomnym. Prawdopodobnie napawa się tym, że uchodzi za kogoś głupawego i tępego.

- I jakie pan z tego wysnuwa wnioski?



- Tu, pani von Senker, trzeba tylko pofolgować nieco fantazji. Choćby w taki sposób: Chłopiec ten wciąż kręci się tu dookoła. Z pewnością udało mu się sporo przy tym zauważyć, dużo z tego zapamiętał i na wiele też, być może, sobie pozwolił albo pozwolił robić z sobą, jak to się często zdarza.

- To brzmi raczej okropnie!

- Mogło tak z nim być, choć nie koniecznie być musiało. A jednak powinna pani sobie to przemyśleć.

Niespełna dwadzieścia cztery  
godziny później Adalbert Wecker  
odczuwający w tym momencie  
znaczną przewagę miał uznać, że  
w trakcie tej rozmowy popełnił

kilka błędów. A co najmniej do jeszcze jednego, podobnie drastycznego błędu  
miało dojść w ciągu tej nocy.

Ale może taki był jego zamysł?

\*\*            \*\*            \*\*

Tę noc Adalbert Wecker umyślił zakończyć szklanką dobrze wychłodzonego piwa. Mogło się zdawać, że odczuwa tylko tego rodzaju narastające w nim pragnienie. W tym też celu znowu udał się do kawiarni „Lisia Nora”. Tam, z zauważalną serdecznością, tak jakby był dobrym, starym znajomym, przywitała go Margot, dziewczyna stojąca za kontuarem. Po wielu godzinach badawczych rozmów, wreszcie poczuł się dobrze. Dostał swojego pilznera, ona zaś pięciomarkową monetę. Potem trochę porozmawiali.

- Jakoś tu dziś niespokojnie - zwierzyła mu się.

- Niczego takiego nie zauważyłem - powiedział żeby ją uspokoić. - Kto by miał komu przeszkadzać?

- Niedawno krążyło tu dwóch mężczyzn, na pewno funkcjonariuszy policji w cywilu. Powiedzieli, że chcą się rozejrzeć i też to zrobili.

- Mówili coś albo o coś wypytywali?

- Raczej nie! Porozglądali się tylko wygłaszając uwagi w rodzaju: „Acha”, „no więc”, „całkiem niezłe”. I poszli sobie.

- A kto poczuł się tym zaniepokojony?

- Nie mogę powiedzieć dokładnie. Niektórzy. Ja w jakiś sposób także. Natychmiast też przeliczyłam kasę, ale się zgadzała.

- Moje sumienie też nigdy nie jest całkiem czyste, panno Margot. Ale to już niemało, jeśli się wie, że coś takiego istnieje.

Dopiero teraz Adalbert Wecker

zaczął rozglądać się z

ostentacyjnym spokojem. Spostrzegł Waldemara Wesendunga siedzącego tym razem przy swoim stałym stoliku, w pobliżu toalet, w towarzystwie dwóch tego samego co on, gatunku młodzieńców. Grupy tej Wecker zdawał się nie dostrzegać, można

powiedzieć, że z rzucającym się w oczy, całkowitym brakiem zainteresowania. Wybrał wolny jeszcze stolik, niezbyt odległy od tamtego, jak się domyślał, zjednoczonego wspólnymi poglądami tercetu.

Jednak jeszcze zanim Adalbert Wecker zdążył rozsiaść się z przyjemnością, stanął przed nim Waldemar Wesendung. To co nastąpiło, odpowiadało prawie w całości temu spektaklowi, który rozegrał się tu przed paroma dniami, a raczej nocami, różniąc się jednak od niego sensem i zamianą ról. Można też było po prostu uznać, że oznaczało to pewien postęp.

Teraz bowiem Wesendung był tym, który zapytał i to uprzejmie: - Nie chciałbym panu przeszkadzać, ale czy mogę przysiąść się do pana?

- Mnie nie można przeszkodzić, a o ile wiem, każdy może tutaj usiąść, gdzie tylko chce. Na to Wesendung zajął miejsce koło Weckera. Przyniósł swój napitek, colę z rumem i teraz wąchał go oraz popijał. Zdawało się, że szuka właściwych słów, na co też miał dość czasu, ponieważ człowiek, do którego stolika się przysiadł, dysponował bezmiarem cierpliwości.

W końcu Wesendung zareagował ze spontaniczną bezpośredniością. - Mam do pana zaufanie, panie Wecker. Mogę je chyba mieć, czy też raczej nie?

- Odradzam panu, panie  
Wesendung. Zdecydowanie. W  
każdym razie nie można  
powiedzieć, żebym był wart  
zaufania ślepego. Na to nie

powinien się pan poważić.

- Mimo to czuję - zapewnił

Waldemar zacinając się - że mógłbym zaufać panu i zwierzyć się.

Zapewnienie to było nieoczekiwane i niezwykle. Zabrzmiało też tak, że Wecker poczuł się nim podekscytowany, choć zwykł zapewniać, że nigdy tego nie odczuwa.

- Jeśli już koniecznie decyduje się pan na taką lekkomyślność, nie będę panu przeszkadzał. Niech pan wreszcie wystrzeli! Z czego pan chce mi się zwierzyć? Waldemar Wesendung potrzebował jeszcze kilku minut i reszty swojej coli z rumem, żeby się przełamać i rozpocząć coś w rodzaju zeznania, które zaskoczyło nawet tak bardzo doświadczonego Weckera. - Boję się, że popełniłem głupstwo - rozpoczął.

- Ach, mój drogi, przecież to nic szczególnego! Na głupstwa większe czy też mniejsze, pozwalamy sobie w końcu wszyscy. O jaki gatunek czy odmianę tej nieuchronności idzie więc tym razem u pana?

- Jest to, panie Wecker dość długa historia.

- No to niech mi ją pan opowie krótko i zrozumiale, bo nie mam zbyt wiele czasu. Chcę odejść stąd, kiedy tylko wypiję swoje piwo. - Wskazał na wypełnioną do połowy szklanę, która Wesendungowi zdawała się w połowie opróżniona. - Tak długo też będę pana słuchał. I oto jak, w żądanym skrócie, objawiła się jego historia: On, Wesendung, wykształcony pedagog, przepelniony dorobkiem myślowym Pestalozziego, zawsze starał się być pomocnym opiekunem, szczególnie zaś młodych ludzi.

Nie zawahał się powołać na  
Chrystusa, który powiedział  
przecież „pozwólcie dzieciom  
przyjść do mnie”. Stwierdził, że  
osobiście wielce się tym

przejął. Poza tym wszystkim, w ramach swoich godnych uznania usiłowań, próbował zaopiekować się dzieckiem tej uznawanej za nieco dwuznaczną, osoby, a mianowicie Johanny Lenz. Jeśli idzie o upartą Irenę, mogło, co niewykluczone, dojść do pożałowania godnego nieporozumienia. On zaś wcale tego nie chciał i nie zwlekając, starał się wszystko wyjaśnić. Chciał tylko pomówić z tą małą, uspokoić ją i przedstawić pobudki, którymi się kierował. Wyłącznie w tym celu znalazł się niedawno, w nocy, pod jej drzwiami. - Byłoby mi przykro i to nawet bardzo - zakończył - gdyby komentowano to fałszywie, co niestety wcale nie jest wykluczone wobec pleniących się dookoła przesadów.

Tego złego było już zdecydowanie za dużo, nawet dla Adalberta Weckera. - Co właściwie próbuje pan mi wmówić, człowieku? Chyba nie to, że jeśli idzie o pana, jest pan osobnikiem, którego honoru się nie docenia, kimś kierującym się nieskazitelnymi motywami! I to nawet po tym, kiedy szeptał pan tam do dziecka przez drzwi i napędził mu tyle strachu?

- Jeśli mogło rzeczywiście powstać takie wrażenie, a czego musiałbym rzeczywiście się obawiać, to zapewniam, że jest ono naprawdę mylne. Gwarantuję panu! Proszę, żeby mi pan uwierzył!

- Nie wierzę panu! Dlaczego też właśnie pana, panie Wesendung, miałbym uważać za dobroczyńcę ludzkości? Takich nie znajdzie się tu szeroko i daleko, a i ja również taki nie jestem. Dlaczego jednak, muszę teraz zapytać, zrobił mi pan to wyznanie? Dlaczego?

- Bo może mógłby pan, a gorąco tego pragnę, poświadczyć, jeśli miałyby się to okazać konieczne, że szczerze zabiegałem o

wyjaśnienie sprawy. Że z ufną otwartością szukałem takiego człowieka jak pan...

- Nie zrobię tego! - Wecker szorstko odrzucił żądanie. - W żadnym wypadku nie dam się panu wmanewrować w rolę dostarczyciela alibi, choćby i w taki sposób, iż to akurat ja miałbym zaświadczyć, że zdolny jest pan do szczerych wyznań. Mógłbym jednak...

- Co? - Doświadczenie podpowiedziało Wesendungowi, żeby się tego ucześcić.

- Mogłoby jednak tak się stać, gdyby zechciał mi pan w końcu wyjaśnić wyraźnie, co właściwie znaczy ta pańska obecna ucieczka do przodu. Może to być tak, że pańska domniemana szczerota okazywana właśnie mnie, nie wynika z zaufania, ale jest celową asekuracją. W końcu obaj wiemy, a Irena też wie na dodatek, jak to tam było. Widocznie jednak są też jeszcze inni, którzy wiedzą. A może nie?

- No, tak - musiał wyznać

Wesendung. Tam - a więc wtenczas, pod drzwiami Lenzowej - jak mi się zdaje, był ktoś, kto widział i słyszał. Że tak było, wnoszę z niektórych wypowiedzi, o jakich mi doniesiono!

- No, popatrz tylko! A więc ktoś pana obserwował! - Wecker zareagował teraz z pewną wesołością, gdyż zazwyczaj, choć ostatnio coraz rzadziej, gotów był do zabawy. - Tak więc istnieje jakiś świadek, który może stwierdzić, że zachowywał się pan fatalnie. Kto ma to szczęście?

- Przypuszczalnie owa Barbara

Binding! W rachubę wchodzi przede wszystkim ona i jestem tego niemal pewny. Ona ciągle na mnie czyha, szpieguje mnie! Ona też właśnie pozwoliła sobie na kilka aluzji dotyczących tamtej sprawy.

- Niepokoi to pana? I to tak bardzo, że do grona ludzi,

którzy o sprawie tej wiedzą, sam pan zechciał dołączyć jeszcze kogoś, a mianowicie mnie? Tego panu, jeśli informacja, jakiej mi pan udzielił, była prawdziwa, wcale jednak nie potrzeba! Owa dama bowiem, to żaden problem dla pana. Jak słyhać, jest ona raczej bardzo panu przychylna. Mógłby więc pan, czego panu życzę, wyjść jej w określony sposób naprzeciw. Wówczas, jak myślę, wszystko co dotyczy tamtej historii pod drzwiami, zaczęłoby się toczyć po pańskiej myśli.

- Może więc jest tak - zauważył z ulgą Wesendung - że po prostu niepotrzebnie zaprzątam sobie głowę tamtą bagatelą?

- W taki sposób niech pan tego zdarzenia nie nazywa - przyblokował go czujnie Wecker.

- Zaprzątanie sobie głowy wydaje mi się tu naprawdę pilnie potrzebne.

- Przecież robię to, bo jestem człowiekiem niezwykle wrażliwym! Dlatego dręczy mnie pytanie, w jakim też stopniu jestem pomówiony, podejrzany czy może nawet ścigany?

- Przez kogo?

- No... - Wesendung wyglądał jak męczennik - w końcu przez kogo nie jestem! Nawet policijni wężyciele, jak mi się zdaje, nastają już na mnie. Dwóch takich pałętało się niedawno po tym lokalu. A jeszcze i pan!

- Zdaje się, panie Wesendung, że zapomina pan z kim wdał się pan w rozmowę. Ponieważ jednak jestem słuchaczem pilnym, żadna z pańskich poprzednich wypowiedzi nie uszła mojej uwagi. Nawet marginalna. Powiedział pan otóż, że tamto usłyszała i zobaczyła przypuszczalnie, owa Binding. Przede wszystkim ona. W pierwszej linii, można rzec. Kto zaś mógłby znajdować się w drugiej?

- W rachubę mógłby tu wchodzić

Thomas Tatzler. - Wesendung uznał, że może powiedzieć i to.

- Jakie to jednak w końcu ma znaczenie? Kto, jeśliby do czegoś doszło, uwierzy akurat jemu? - Miało to znaczyć, że nikt nie uwierzy biednemu, małemu kretynowi.

- To mi się, panie Wesendung, wcale, ale to wcale nie podoba! Jestem wyrozumiała, jeśli idzie o błędy, czy choćby przesady. Taka jednak niemądra pewność siebie budzi moją odrazę.

- Dlatego tak jest, że i pan mnie nie docenia! Dlatego, że i panu, jak widać, nie jest dane zrozumienie mnie, moich właściwych pobudek, moich humanistycznych pragnień. Muszę teraz żałować, że zaufałem panu.

- O czym pan właściwie mówi,

Wesendung? Znów o zaufaniu? Niech mi pan tu z tym nie zaczyna. Pan tylko chciał wcisnąć mi kilka zwierzeń. Akurat mnie!

- Nie zrobiłem tego! -

Waldemar Wesendung pomyślał, że uda mu się szybko wyskoczyć z wprawionego przez siebie w ruch pociągu. - Niczego takiego nie mówiłem, a więc nie mógł pan też tego usłyszeć. Mogę przysięgać, gdyby miał pan do tego doprowadzić. Wówczas zeznanie zaprzeczy zeznaniu. - A potem dodał z niebezpieczną dla siebie lekkomyślnością: - Chyba nie łudził się pan, dziarski staruszk, że tak łatwo uda się panu zajrzeć mi do tyłka.

- Tego nie pragnę wcale. MOŻna jednak przyjąć, że o to postarają się inni. Zdaje mi się, że już wkrótce.

## Część II Dochodzenie

Następnego ranka, około  
#7#00, do piwnicznego garażu,  
po swój samochód udał się jak co  
dzień, pewien mieszkający w tym

domu kupiec. Zauważył tam coś szczególnego, a mianowicie ciało leżące w kącie, pod piwnicznymi schodami, między windą a drzwiami garażu. Było wprawdzie małe, ale przecież ludzkie.

Kupiec ten, nazwisko jego nie jest ważne, spieszył się, bo był spóźniony o kilka już minut. Poza tym mógł wiarygodnie zapewnić, że oświetlenie ciemnej piwnicy było jak zwykle niedostateczne, powietrze cuchnęło, a nadto skrzypiały zacinające się drzwi.

Mogło też, choć nie usiłował sprecyzować tego dokładnie, ani nie wykluczył, leżeć tam coś w rodzaju worka. No, możliwe, że człowiek. Niewykluczone, że jakiś włóczęga zabłąkał się tam, żeby przespać pijackie odurzenie. Oczywiście, że mogło być właśnie tak. Nie mógł jednak zająć się tym, bo brakowało mu czasu. Tak samo, czy bardzo podobnie zareagowało w ciągu następnej pół godziny co najmniej dwóch innych mieszkańców tego domu, a był to w sumie fatalny przykład znieczulicy spowodowanej poranną ociężałością. I oni przeszli więc obok małej, skulonej postaci, która tam leżała, bardziej podobna do worka, niżli do człowieka. Może też byli przeświadczeni, że nie obciąża sumienia to, o czym się nie wie?

Potem jednak, około #7#40, pewna kobieta poczuła się zobowiązana do dokładniejszego przyjrzenia się leżącemu tam tłumokowi i zauważyła, że jest to „pewien rodzaj zwłok”. Dla odkrywczynie znalezisko to równoznaczne było z zetknięciem się ze śmiercią dziecka, które przecież znała. Przez kilka sekund stała jak wryta. Potem zawołała: O mój Boże!

Tym którego spostrzegła, był  
Thomas Tatzer. Mały, skulony, z  
okrwawioną twarzą. Oczy miał  
szeroko otwarte, jakby zakrzeple

w zdziwionym przerażeniu.

Osobą, która znalazła zwłoki chłopca, była Barbara Binding, która właśnie miała jechać do apteki w Pasingu, gdzie pracowała.

Stojąc zastanowiła się krótko i postanowiła zawiadomić policję. Tylko ją, ale nikogo spośród mieszkańców domu. I właśnie owa decyzja miała okazać się czymś szczególnie drastycznym.

W każdym razie, panna Binding poszła z powrotem do swojego mieszkania na trzecim piętrze. Stamtąd zatelefonowała na policję, której numer 110, znała. Nie było w tym nic dziwnego, bo jako tako uważny obywatel, zwłaszcza zaś pracujący w aptece, zna na pamięć co najmniej trzy telefoniczne numery: Policji, straży pożarnej i pogotowia ratunkowego.

- Znalazłam zwłoki pewnego chłopca. - Tak rozpoczęła meldunek, który można by uznać za perfekcyjny, wprost godny policji i który spotkał się tam z uznaniem. - Znalazłam je przed niewiele minutami, w piwnicy domu, w którym mieszkam. Germaniastrasse 175, Monachium 40.

- Dziękuję! Zanotowałem.

Proszę nam podać pani nazwisko, imię i numer telefonu.

Zrobiła to. Zdecydowanie uprzejmy funkcjonariusz powiedział następnie: Dziękuję - i zaraz dodał: - Proszę żeby pozostała pani w pobliżu telefonu. Zadzwonimy do pani za parę minut, żeby zawiadomić o naszych pierwszych przedsięwzięciach, pani Binding.

- Nie powiedział, że zatelefonuje po to, żeby ją skontrolować.

Owo „zawiadomienie” nastąpiło

natychmiast i było pierwszym  
policyjnym przedsięwzięciem. -  
Radiowóz jest już w drodze. Czy

można prosić, żeby zechciała pani poczekać na naszych funkcjonariuszy przy wejściowych drzwiach domu? Po to, żeby zaprowadzić ich bez zwłoki na miejsce zdarzenia.

Prośba ta nie była daremna. U panny Binding zauważało się obywatelską, przykładną ochotę do współdziałania. - Dziękuję, pani Binding, że jest pani gotowa nam pomóc - powiedział funkcjonariusz.

Niewiele minut po tym telefonie, zarejestrowanym urzędowo o #/8#15, przed dom przy Germaniastrasse 175 zajechał radiowóz. Produkt Bmw. Samochód ostro zahamował i ledwie się zatrzymał, wysiadło z niego spiesznie dwóch bardzo męskich policjantów.

Tak jak ich uprzedzono, przed drzwiami domu czekała na nich Barbara Binding. Mężczyźni zaszalutowali i rzeczywiście wyglądało to na regulaminowe oddanie honorów. Potem chcieli dowiedzieć się „gdzie”?

Zaprowadziła ich do piwnicy. Schody, niespełna osiem metrów odległe od drzwi, miały dziewięć cementowych stopni. Wąski, kiepsko oświetlony korytarz piwnicy był brudny i cuchnął stęchlizną, chociaż skrzętnie zapełniane przez mieszkańców kubły na śmieci stały w sąsiednim pomieszczeniu. Tu zaś leżały zwłoki.

- Jest to dziecko, które tutaj mieszka - wyjaśniła funkcjonariuszom Barbara Binding. - Niejaki Thomas Tatzler, syn dozorczy naszego domu.

W ten sposób doszło do pierwszej identyfikacji, a więc jak na początek, nie było to mało. -

Jeśli pani wie, albo domyśla się, co mogło być przyczyną śmierci tego dziecka, powie to pani kolegom z policji kryminalnej. Zaraz tu będą.

- Nie! Nic nie wiem, niczego nie potrafię się domyśleć -

zrobiła unik Barbara Binding. - Czy jednak nie byłoby w końcu stosowne zawiadomienie rodziców tego zmarłego chłopca?

- My tylko przyjęliśmy do wiadomości, że to tu się stało i zabezpieczamy miejsce przestępstwa - wyjaśnił stanowczo, najwidoczniej starszy spośród dwu funkcjonariuszy. - Nie możemy wdawać się w nic więcej. - Rzeczywiście było to nawet zabronione.

- Jednak może być i tak - zauważył pospiesznie młodszy policjant - że doszło tu do wypadku. Cementowe schody, nie wystarczające oświetlenie, duszne, złe powietrze, a w takich warunkach wielu już skreśliło sobie kark. Kark dziecka zaś nie jest szczególnie wytrzymały i łamie się jak słomiane źdźbło.

- Tak, mogło to być właśnie w ten sposób - zgodziła się spontanicznie panna Binding. - Ależ tak, to możliwe, czemu nie miały to być wypadek?

Na uwagę tę zareagował z dużym niezadowoleniem starszy z funkcjonariuszy. W końcu miał ponad dziesięcioletnie doświadczenie i widział niejedne zwłoki. - Nawet jeśli zrazu nie widać tu żadnych komplikacji, konieczne jest rutynowe, formalne zabezpieczenie miejsca.

W policyjnej praktyce sprowadzało się to do następujących przedsięwzięć:

Przez radiotelefon zawiadomiono prezydium policji przekazując przy tym krótko, ale dość dokładnie opis stanu rzeczy. Poza tym wezwano coronera. (Coroner - urzędnik, funkcjonariusz ustalający przyczynę zgonu. Przep. tłum.).

- Czy to konieczne? - dopytywała się Barbara Binding.

- To zwykle, rutynowe działanie

- wyjaśniono jej natychmiast.

Taka praktyka jest czymś

normalnym w odniesieniu do

wszystkich nie dających się jednoznacznie wyjaśnić śmiertelnych wypadków, do jakich na przykład dochodzi w czasie kąpieli, wskutek porażenia prądem lub w ruchu drogowym.

Prezydium policji zareagowało szybko i potwierdziło, że coroner przyjedzie. Niezwłocznie.

- Niezwłocznie, znaczyło, że mniej więcej w ciągu kwadransa.

Starszy, podejmujący tu decyzje funkcjonariusz policji, nie zamierzał jednak dopuścić do tego, by minuty te przeminęły beczynnym, co przypuszczalnie wiązało się z zawodową ambicją.

- Teraz skorzystam z pani podpowiedzi, pani czy też panno Binding, jeśli pani sobie życzy. Pójdę zawiadomić rodziców tego dziecka i sprawdzić pani ustalenie. Tatzler, powiedziała pani, czy tak? Jest tu dozorczą domu? Zapewne mieszka na parterze. Potwierdziła te dane.

- A więc dobrze. Idziemy! -

Wyglądało na to, że spełnienie tego zadania będzie dla funkcjonariusza policji trudnym obowiązkiem, który jednak musi być wykonany, gdyż należy, jak przekonywał sam siebie, do jego zadań.

- Tutaj, w piwnicy - zarządził jeszcze - nie wolno niczego zmieniać! - Doprowadziłoby to do zatarcia śladów. - A więc nie dopuszczać tu nikogo! - Młodszy jego kolega, wiedząc jakie to ma znaczenie, skinął tylko głową.

Odpowiedzialny za wszystko policjant patrolu, nie tylko okazjonalnie czuł się bardzo już postarzały. Ociężale wspinał się po dziewięciu stopniach prowadzących z piwnicy na parter. Mieszkanie dozorczy domu odnalazł bez trudu, gdyż jak to najczęściej bywa w czynszowych domach, usytuowane było na parterze, blisko schodów.

Zadzwoił. Najpierw krótko,  
delikatnie, potem przeciągle, aż

w końcu otworzył mu drzwi mieszkający tam mężczyzna, który zachowywał się nieufnie i bardzo nieprzyjaźnie. - Czego pan tutaj chce? - wykrzyknął do policjanta. - Czego pan chce ode mnie? Nie widzę najmniejszego powodu, a poza tym nie ma pan prawa! Niech więc pan sobie na to nie pozwala, ostrzegam pana! Policjant zagadnięty w tak wyzywający sposób, potraktował to jako okazję do ćwiczenia się w cierpliwości, która była mu też intensywnie i urzędowo wpajana. Pamiętał, że tak zwane „lwie porykiwania” należy puszczać mimo uszu i to mu się też, choć nie bez trudu udało. - Pan jest panem Tatterem?

- Jestem! - padła bardzo niechętna odpowiedź. - I co z tego?

- Ma pan syna, Thomasa?

- Mam! - Akcentowana uprzejmość policjanta została najwidoczniej w lot uznana za urzędowo nakazaną miękkość. - Jest to jednakowoż mój syn i co też on pana obchodzi?

- A czy pan wie, gdzie znajduje się w tej chwili?

- Nie wiem! Włóczy się gdzieś.

To, że mu się na to pozwala, można nazwać współczesną wolnością. Ma pan coś przeciw temu?

Ten typ, pomyślał policjant, jest jak toporny pniak i trzeba w stosunku do niego posłużyć się odpowiednio grubym klinem. - W piwnicy tego domu znaleziono trupa. Zwłoki jakiegoś chłopca. Może to być pański syn.

- Panie, co też pan mówi - wyrzucił z siebie nieprawdopodobnie przestraszony Tatter. - Czy chce pan mnie udupić? - Zaraz jednak szybko zdołał zrozumieć, iż nie o to tamtemu szło. Z miejsca też sięgnął do przepelnionej uczuciem głębi swojej duszy. - Mój Boże! - zawołał. - To nie może być prawdą! Gdzie jest ten

mój kochany chłopiec? Co mu zrobiły te świni. Chcę, muszę iść do niego!

Tatter rzucił się w stronę piwnicznych schodów jak opętany. Tam jednak stanowczo zatrzymał go czujny, młodszy funkcjonariusz, który powiedział szorstko: - Wstęp wzbroniony. - Co znaczyło, że wzbroniony nie uprawnionym.

- Jemu wolno wejść! Musi zidentyfikować zmarłego, nie może go jednak dotykać. Musi być koniecznie zachowany dystans. Trzy metry. Tyle chyba wystarczy. - Było to powiedziane w tonacji przysługującej przełożonemu.



Następnie rozegrał się pewien rodzaj przedstawienia niemal szekspirowskiego formatu, z gatunku dramatów królewskich. Na widok nieżywego syna Tatzer padł na kolana i nawet mogło się wydawać, że gotów jest dotknąć czołem mocno zakurzonej posadzki. Pojękiwał bez przerwy, podnosił w górę ręce, a potem przyciskał je do twarzy. Z trudem chwycił powietrze. Wyglądało na to, że i mężczyźni przyglądających mu się w owej chwili ogarnęło wzruszenie.

- Puśćcie mnie do mojego syna!

- wrzeszczał przeraźliwie. - Chcę je utulić, to moje biedne, ukochane, podstępnie zamordowane dziecko.

- Później! - oświadczył starszy funkcjonariusz. - W żadnym wypadku nie wolno tego zrobić przed pierwszym, urzędowym badaniem, które nastąpi wkrótce. W każdym razie teraz potwierdziła się identyfikacja zmarłego, a reszty też się doszukamy. Do tej pory, panie Tatzer, musi pan zachować cierpliwość. Przede wszystkim musi pan zadbać o poniechanie jakichkolwiek budzących podejrzenia aluzji. - Ciągłe jeszcze klęczący Tatzer zdawał się raczej pilnie przysłuchiwać

tego rodzaju radom, a nawet wykazał gotowość zastosowania się do nich, bowiem tak samo spieszenie jak padł na kolana, znowu się podniósł, a potem z twarzą naznaczoną cierpieniem zaczął rozglądać się dookoła. W jego sokolich oczach nie było łez. Dopiero teraz spostrzegł Barbarę Binding.

- Czego ona tu szuka! Właśnie ona! - wykrzyknął.

- Pani, panna Binding, znalazła zmarłego - powiedziano mu uprzejmie. - A następnie, tak jak to należało zrobić, zameldowała nam o tym. - Funkcjonariusz policji stanął przed kobietą, jakby starając się ją osłonić.

- Ona, właśnie ona! - Tatzer odzyskał już zdolność do pogardliwego ofuknięcia panny Binding. Całkiem już zapomniał o swojej żałobie. - Akurat ona! To już szczyt bezczelności! Starszy policjant zareagował na to dość bezradnie. - Czy nie prosiłem pana, panie Tatzer, żeby poniechał pan tego rodzaju aluzji! W tych sprawach kompetentni są inni funkcjonariusze.

- To powinni i muszą usłyszeć wszyscy! - wrzeszczał Tatzer. - Tego dzieła najwidoczniej dokonali tu ludzie, którzy teraz próbują się maskować i żeby tak było, nie cofają się przed niczym. Musicie to wyjaśnić! A może to za trudne dla policjantów?

Na takie drastyczne pytanie nie trzeba było jednak już odpowiadać, gdyż w tej chwili w miejscu znalezienia zwłok pojawił się przysłany przez prezydium policji coroner. Niejedno też zmieniło się błyskawicznie.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Coroner, bo taki był jego  
oficjalny tytuł, należał do  
połowy tuzina specjalistów w  
prezydium policji, zawsze

gotowych do akcji. Był „tu”, bo znał się na „tym”. Całkiem po prostu. Poza tym pełnił służbę w laboratorium, najczęściej trudząc się badaniem krwi, ale zawsze musiał spodziewać się, że go zawezwą na miejsce wypadku.

Jeśli idzie o coronera, który tym razem, raczej zrzadzeniem przypadku podjął tu swoje czynności, był nim starszy inspektor Wagn~uller, cichy, opanowany, niepozorny człowiek, a jednocześnie fachowiec najwyższej klasy. Wyposażony został nie tylko w znaczny zasób wiedzy medycznej, ale nadto w spore wiadomości z zakresu chemii i biologii. Nie było to przypadkowe, wyszedł bowiem ze szkoły owianego już legendą „wielkiego starca prezydium policji”, który posiadał uniwersalną wiedzę w dziedzinie dochodzenia przyczyn śmierci. Mowa o komisarzu kryminalnym Kellerze, posiadaczu psa.

Wagn~ullerowi towarzyszył asystent obładowany jak juczny osioł. Przed wejściem do domu przy Germaniastrasse 175, spotkał ich starszy z policjantów, którzy przybyli tu radiowozem. Poinformował ich zwięźle o ważnych szczegółach zdarzenia.

Specjalista w dziedzinie ustalania przyczyn śmierci skinął głową i to nawet dwukrotnie. Pierwszy raz najwidoczniej z uznaniem należnym koledze z policji, drugi raz w stronę asystenta, tak jakby dodając mu odwagi.

**Starszy inspektor kryminalny**

Wagn~uller, z racji swojej funkcji nazywany po prostu i zasłużenie „śledczym psem”, stanął na najwyższym stopniu piwnicznych schodów. Stamtąd, przez pewien czas dokonywał wstępnych oględzin. Osoby, które znajdowały się przy zwłokach, zostały mu zaanonsowane i określone jako „drugi

policjant”, „Kobieta, która znalazła ciało” i „ojciec zmarłego”. Poprosił, by oddalili się i to nie przez schody, ale przez garaż. Poza tym zarządził, żeby pozostawali do dyspozycji.

- Oświetlić! - rozkazał teraz coroner, na co jego asystent, bez słowa, jakby był niemową, włączył przenośny reflektor. Jaskrawe światło powoli i starannie zaczęło obmacywać stopień po stopniu, potem poręcz i przeciwległą ścianę, a dopiero później zwłoki i najbliższe ich sąsiedztwo. Centymetr po centymetrze, co wyglądało tak, jakby okrążało zwłoki.

Wynik pierwszego rozpoznania był następujący: Nie zauważono nic szczególnego. Był to jednak dopiero początek, w istocie skromny, jako tako wtajemniczeni wiedzieli zaś, że owego poszukiwacza przyczyny śmierci obchodzą tylko i wyłącznie zwłoki. Baczyć jednak musiał i na to, żeby nie zatrzeć żadnych śladów.

- Teraz temperatury - rozkazał

Wagn~uller.

- Temperatury? - pozwolił sobie zapytać starszy z policjantów. Możliwe, że czegoś się tu jeszcze nauczy, niewykluczone też, że w czasie podstawowej nauki uważał po prostu niezbyt pilnie. - Jakże?

- Przede wszystkim należy uwzględnić dwie temperatury - wyjaśnił mu chętnie coroner. - O tej samej porze zmierzoną temperaturę zewnętrzną i wewnętrzną. Tym razem jednak nie można wykluczyć, że trzeba będzie liczyć się z pewnymi trudnościami.

- Dotyczy to tych temperatur?
- Ależ tak, kolego, tu bowiem, w naszym mieście nastąpiło tymczasem, dokładnie zaś w nocy, nietypowe przełamanie się pogody. Temperatura wzrosła o ponad dwanaście stopni.

Przeszliśmy od wilgotnego chłodu do dusznego ciepła, a z tego wyłania się oczywiście pewien delikatny problem.

- Czego dotyczy, jeśli mogę zapytać?
- Dotyczy próby możliwie dokładnego ustalenia godziny, w której nastąpił zgon. Temperatury otoczenia jak i pomału stygnących zwłok, korespondują z sobą. Co znaczy, że jedna wpływa na drugą.
- Rozumiem - zapewnił policjant. - Coś takiego zagraża precyzji wyników badania.
- Tylko nieco je utrudnia, gdyż temperatura na dworze zmienia się o wiele szybciej niżli w piwnicznych pomieszczeniach. Ta jest nieporównanie bardziej stabilna, co na szczęście niejedno upraszcza.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Asystent Wagn~ullera zabrał się sam do mierzenia temperatury martwego ciała; temperatury w jamie ustnej, w okolicy serca i w odbycie. Posługiwał się instrumentami specjalnie skonstruowanymi w laboratorium prezydium policji. Odpowiadały one „metodzie komisarza kryminalnego Kellera”, o czym szczegółowo można było dowiedzieć się z fachowego podręcznika pod tytułem „Ustalanie przyczyn śmierci”, wydanego przez federalny urząd kryminalny. Ustalenia zanotowane zostały na przygotowanych tabelach, nadto uwzględniono przypuszczalny ciężar zwłok i opisano ubranie, gdyż i ono ma wpływ na poziom temperatury. Wynikający z tego wszystkiego rezultat, umożliwiał ustalenie godziny śmierci, a więc również i pory całego zdarzenia. Wkrótce też szef otrzymał informację:  
#/#30, z tolerancją wynoszącą 20 do 30 minut.

- To może się zgadzać -

potwierdził Wagn~uller, ustalenie bowiem dość dokładnie odpowiadało jego szacunkom. - A więc, kontynuować. - Dokładniejsze objaśnienia nie były potrzebne, bo owo „kontynuować” znaczyło: Teraz zwłoki!

Pierwszy z reflektorów asystent zainstalował tak, by możliwe było zmierzenie temperatur ciała i wypełnienie tabel. Teraz zamontował następny. Światło obydwu padało obecnie na „obiekt”, a więc na nieboszczyka.

Wagn~uller ociągając się ruszył w jego stronę, przyklęknął i długo, dokładnie przyglądał się ciału. Nieboszczyków widział już setki i z racji zawodu musiał poddawać ich ekspertyzie, dzieci jednak było wśród nich niewiele. Kiedy patrzył na nie, ogarniał go smutek, a otrząśnięcie się z niego nie udawało się nawet jemu.

Teraz przystąpił do działania nadzwyczaj ostrożnie, niemal delikatnie. Zaczął obmacywać i obnażać owo drobne ciało leżące przed nim. Przyglądał się dłoniom i ramionom, potem, nogom i stopom, następnie zajął się piersią i plecami, brzuchem, udami i narządami płciowymi, w końcu zaś głową, twarzą i karkiem. Przebiegało to w milczeniu.

Starszy policjant z radiowozu przypatrywał się temu z rosnącym zdumieniem, coraz bardziej pełnym respektu. Nie było mu wcale obce szczególne znaczenie starszego inspektora Wagn~ullera, wzorowego, jeśli nie wprost godnego mistrza, ucznia komisarza Kellera. A jednak dotąd nigdy nie było mu dane oglądanie „wielkiego śledczego psa” przy pracy. W tym momencie zaczął znowu odczuwać coś w rodzaju dumy, nawet i z tej przyczyny, że obrał sobie taki zawód.

Owa skrupulatność nie robiła jednak, i to już od dawna, żadnego wrażenia na asystencie Wagn~ullera. Dla niego, współpracownika, była to codzienność i tylko zwykła, prowadząca do celu policyjna rutyna. Otworzył notes i stał gotowy do pisania. Na wynik badań nie musiał już czekać długo.

- A więc, po pierwsze! -

Zaczął dyktować swojemu asystentowi coroner, słusznie uchodzący za kogoś znacznego: - Nie rozpoznaje się, ani na ubraniu, ani też na ciele żadnych śladów wleczenia. - Znaczyło to, że nie można przyjąć, że zmarły przywleczony został do piwnicy dopiero po zaistniałym fakcie. - Po drugie:

Nie ma śladów ugryzienia, podrapania ani uderzeń. Nie ma zwichnięć ani zranień spowodowanych ewentualną samoobroną. - Znaczyło to, że nie udowodniono, iż śmierć jest rezultatem walki. - Po trzecie:

Zgodnie z dotychczas przeprowadzonymi oględzinami zewnętrznymi, za bezpośrednią przyczynę śmierci można uznać jedno jedyne uderzenie w czołową partię czaszki, która też została rozbita. Dokonano tego przypuszczalnie za pomocą twardego, prawdopodobnie metalowego, tępego narzędzia. Przedmiotem tym posłużono się ze znaczną siłą.

Uzupełniające, sądowo\_lekarskie badanie zwłok miało jeszcze nastąpić, ale najważniejsze już ustalono. Asystent Wagn~ullera pokiwał głową, w żadnym wypadku nie po to, by wyrazić potwierdzenie czy podziw. To mu nie przysługiwało. Starszy policjant patrolu nie wytrzymał. - A więc, morderstwo!

- powiedział.

- Jest to sformułowanie, drogi kolego, którego nie powinno się używać w naszym fachu  
- pouczył

go łagodnie coroner. - Takie drastyczne określenie jak morderstwo, powinniśmy pozostawić dziennikarzom albo autorom kryminalnych powieści. Zgodnie z naszym słownictwem, idzie tu o śmierć spowodowaną prawdopodobnie w sposób gwałtowny. Jednak i to też trzeba dopiero stwierdzić. Całą resztę, a więc ustalenie „dlaczego, przez kogo i w jaki sposób” załatwią inni funkcjonariusze.

O swoich ustaleniach zawiadomił prezydium policji. Teraz, zresztą jak zwykle, przysłała kolej na innych, a to już nie musiało go obchodzić. Skończył swoje zadanie.

\*\*            \*\*            \*\*

Zostało więc dokonane to, czego dokonywano zazwyczaj, łącznie z powiadomieniem zwierzchnika, który był przypisany do tych spraw. Był nim radca kryminalny Wachsmann, mogący uchodzić za człowieka przyjemnego, ustępliwego, zgodnego i zawsze opanowanego.

W prezydium policji był on odpowiedzialny za pięć aktualnie istniejących specjalnych komisji. Taka ich nazwa nie była niczym więcej jak tylko współczesna

„etykietką”, specjalne grupy zaś nazywały się niegdyś tak samo pięknie jak i strasznie zarazem, a mianowicie „komisjami do spraw zabójstw”. Ponieważ nie brzmiało to należycie, zrezygnowano z tej nazwy.

W każdym razie i teraz radca kryminalny Wachsmann zgłosił się szybko, tak jak to zwykle robią ludzie, kiedy chce z nimi rozmawiać urzędnik, czy funkcjonariusz pewnej rangi. Do takich należał też coroner, starszy inspektor Wagn~uller. - A więc słucham, mój drogi kolego! - powiedział Wachsmann.

### Raport coronera był

przejrzysty, jednoznaczny i

przekonujący. Wachsmann szybko uznał, że do akcji musi wkroczyć jedna z jego specjalnych komisji.

- Jak to tam w ogóle wygląda?

- zapragnął dowiedzieć się na wstępie. - Czy to coś szczególnego? A może są jakieś komplikacje?

- Chyba nie ma żadnych, panie radco kryminalny. W każdym razie, na ile można zorientować się teraz. - Ponieważ Wagn~uller dość dokładnie wiedział do czego i tym razem zmierza szef specjalnych komisji, zawsze skłonny do różnych działań zabezpieczających, uznał za wskazane okazanie mu swoistego zrozumienia. - Idzie tu o czynszowy dom, taki jak setki innych. Nie jest to też jakiś szczególny adres i chyba nie ma tu żadnych znaczących lokatorów.

- A ten nieboszczyk?

- To dziecko. Chłopiec, chyba dwunastoletni, a jeśli i to mogłoby być dla pana interesujące, chyba upośledzony cielesnie i umysłowo.

- Powinno być panu wiadome, kolego Wagn~uller, dlaczego interesuje mnie każdy szczegół. Przecież dopiero po uzyskaniu informacji od pana ustalam, któremu z funkcjonariuszy powierzę tę sprawę.

- Rozumiem, panie radco kryminalny. To oczywiście niezbędne wyważenie środków i możliwości. Co to oznacza teraz?

- Ponieważ sprawa nie wydaje mi się szczególnie skomplikowana, chciałbym powierzyć ją pewnemu funkcjonariuszowi, który może uchodzić za bardzo zdolnego, nawet jeśli niezbyt doświadczonego. Co pan na to, drogi kolego?

- Ja? - Wagn~uller pojął, że rozmowa zaczyna być delikatna. Oto najwyraźniej chce mu się wcisnąć coś w rodzaju współdecyzji, a co najmniej domaga się jego akceptacji.

Dlaczego? To jednak niezwłocznie miało się wyjaśnić, zresztą całkiem jednoznacznie. - Wyczyszczenie - a znaczyło to „wyjaśnienie” - zasłóci przy Germaniastrasse mam zamiar powierzyć komisarzowi Bachmeierowi. Co pan na to?

- Nic! - odparł szorstko

Wagn~uller. Potem jednak wysilił się na uprzejmość zawsze pożądaną w stosunkach z radcą kryminalnym. I dodał: - To jest wyłącznie pańska decyzja.

- Ach, mój drogi - Wachsmann stał się znów niezwykle jowialny, wyrozumiały i ugodowy - dość dobrze znam uprzedzenia do owego funkcjonariusza. Również ze strony starszych

stopniem kolegów. - Miał przy tym na myśli komisarza Kellera, ale i innych, całkiem innych. Nazwisko Weckera nie padło, choć jednak, można powiedzieć, wisiało w powietrzu. - To nie może przecież trwać bez końca. Czy pan też tak nie uważa, Wagn~uller? - Było to pytanie z pewnością służbowe, a więc już pozbawione tego „mój drogi” albo „panie kolego”. To, że Wagn~uller długo teraz milczał, nie wynikało ze strachu przed zwierzchnikiem, ale raczej z całkiem innej przyczyny. Po prostu nie czuł się upoważniony do współdecydowania, a już zwłaszcza nie na takim szczeblu.

- Bachmeier, powiedział sugestywnie radca kryminalny - powinien przecież w końcu dojść do głosu. O tym, że bardzo tego pragnie, wie cały urząd.

Możliwe, że przed miesiącami,  
jeśli nie przed laty, popełnił  
jakieś głupstwo; pan z pewnością  
dokładnie wie, jaki przypadek  
mam na myśli, któż jednak może  
uważać się za nieomylnego? No  
tak, możliwe, że tylko jeden  
Keller! - Wyglądało na to, że do  
owego osobliwego komisarza  
kryminalnego Wachsmann ciągle  
jeszcze żywi nieprzewyciężoną

urazę. - W każdym razie koledze Bachmeierowi powinniśmy dać w końcu okazję do tego, żeby pewne sprawy poszły w zapomnienie przez to, że sprawdzi się on w sposób, który wszystkich przekona. Właśnie trafił się ten przypadek, chyba, że sądzi pan, iż jest on szczególnie skomplikowany...

- Tego, panie radco kryminalny, nie powiedziałem, a tylko to, że w tej chwili niewiadome są ewentualne komplikacje.

- To wystarczy, żeby sprawę z

Germaniastrasse powierzyć Bachmeierowi. Muszę też pana poinformować ściśle poufnie, że akurat nie dysponuję innymi funkcjonariuszami spośród przypisanych do moich komisji. A więc, dlaczego nie miałyby zająć się tym on?

Tym samym zdarzeniom został nadany bieg, który miał przynieść nieprzewidziane skutki. Jeszcze jeden przypadek? A może tylko kolejny błąd?

Może zaś tylko to, że niczego nie można poznać do końca, bo nic nie daje się ogarnąć w całej złożoności. Żadnego też człowieka, nawet z pozoru nieskomplikowanego, niepozornego i uchodzącego za prostaczka, nie da się poznać bez reszty.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Jak to często bywa, wszystko zaczęło się niemal bez żadnych nadzwyczajności. Komisarz kryminalny Bachmeier otrzymał od radcy kryminalnego telefoniczne zlecenie, co znaczyło, że otrzymał rozkaz, by przejąć sprawę Germaniastrasse 175. Na coś takiego czekał długo.

- Zrobi się! - skwitował z gruntu rzeczowo usiłując ukryć spontaniczną radość, jaką sprawiło mu zlecenie.

Jego specjalna komisja, zawsze  
gotowa na wezwanie, choć  
niestety, wzywana bardzo rzadko,  
zajmowała się w prezydium

policji opracowywaniem dokumentacji. Nosiła zaś numer piąty. Najbliższym współpracownikiem Bachmeiera, jego asystentem, osobiście przezeń wybranym, był inspektor kryminalny Gutbrod. Z punktu widzenia Bachmeiera nie był to wybór nierozsądny, Gutbrod bowiem był dość zdolny i potrafił nie tylko prowadzić dokumentację, ale też protokołować. Był również wprost niezawodnym wykonawcą rozkazów.

- Akcja Germaniastrasse 175! -

Tylko tyle trzeba mu było powiedzieć.

Zrozumiał w lot i wyraźnie się ucieszył. - Jakaś zbrodnia? - Uzyskał potwierdzenie, a to znaczyło, że nie będzie już teraz żadnych papierkowych spraw, których miał, Bogu to wiadome, po dziurki w nosie. A więc jednak! Nic, tylko pograżyć się w tak długo odmawianym mu praktycznym działaniu. Bachmeier, który nie lubił zbędnych pytań ze strony podwładnych, o czym Gutbrod właściwie powinien był wiedzieć, zarządził: - Znajdująca się w tej chwili w gotowości grupa dochodzeniowa, wystąp! - Miał na myśli ekipę wyznaczoną do zabezpieczenia śladów i służbę śledczą.

- A pozostały personel, szefie, również? - padło pełne werwy, szybkie pytanie.

- To, czy będą potrzebni, okaże się dopiero na miejscu, po rozpoznaniu sprawy. Niech pan, panie Gutbrod, zatroszczy się teraz o dokumentację ogólną i tę przekazaną przez obsadę radiowozu oraz coronera.

Sam zajął się tymczasem planem miasta, nie uznając oczywiście za celowe udzielenia żadnych wyjaśnień. Zaczął też przeglądać posiadaną przez urząd, zgromadzoną obficie dokumentację tak zwanej infrastruktury odnośnej okolicy. Działał

szybko, ale dokładnie, żeby niczego nie pominąć.

Po niespełna trzydziestu minutach nadeszła wreszcie pora. Średniej klasy Bmw oddany do dyspozycji kierownika specjalnej komisji numer pięć, ruszył z miejsca. Za kierownicą siedział inspektor kryminalny Gutbrod. Jazda od prezydium policji do miejsca zdarzenia w Schwabingu, zgodnie z doświadczeniem powinna trwać, teraz, późnym przedpołudniem, około piętnastu, najwyżej zaś dwudziestu minut. Starczyło więc czasu na to, żeby Bachmeier mógł nieco dokładniej przyjrzeć się zgromadzonej przez Gutbroda dokumentacji. Zestawienia były przytwierdzone do deski wziętej z kartoteki, co dowodziło troski o przejrzystość, jak i zapobiegliwości.

- Przypuszczam, szefie - powiedział teraz Gutbrod - że zauważył pan już, kto działał tam jako coroner. Starszy inspektor Wagn-uller! - A miało to znaczyć, że akurat on! Bachmeier tylko przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale nie oderwał oczu od dokumentacji i nie spojrzał ostrzegawczo na Gutbroda, ani go nie upomniał. W końcu jednak powiedział: - Tym, na co w tej chwili, jeśli wolno mi o to prosić, powinien pan uważać szczególnie, jest uliczny ruch. - Przypomniał więc, kto też ma tu coś do gadania.

Komisarz zawsze dbał o nienagane zachowanie; zdecydowanie uprzejme, jednocześnie zaś przesadzające sprawę, energiczne i konkretnie rzeczowe. Zawsze też był ubrany bez zarzutu. Nosił ciemny garnitur, białą koszulę i dyskretny, błękitno\_szary, pasiasty krawat. Był mężczyzną średniego wzrostu, robił wrażenie przysadzistego. Miał blade oczy łowcy, które zdawały się nieustannie wypatrywać celu.

Jedną z tych, które Bachmeier wygłaszał przy każdej nadarzającej się okazji brzmiała tak: Dokładność jest wszystkim. Niczego nie wolno zdawać na przypadek. Pewność zweryfikowana dwukrotnie, może wprawdzie wymagać fatygi, ale zapewnia uniknięcie następstw niestaranego śledztwa.

Można powiedzieć, że były to złote słowa, do których zdążył już przywyknąć także inspektor Gutbrod. On z kolei robił wrażenie człowieka statecznego i zdolnego do sprostania najcięższym trudom. Był to chłop jak barokowa szafa. W każdej chwili udawało mu się wyglądać tak, jakby z uwagą wpatrywał się w zwierzcznika. Doceniał go zresztą i przypuszczalnie spodziewał się z jego strony niejednego, a co najmniej rychłego awansu.

- Tym, którego powinniśmy przesłuchać w pierwszej kolejności, mógłby być ów Tatzer, dozorca domu! - Gutbrod nie tracił swego kryminalistycznego optymizmu.

- To rozeznanie jest prawidłowe, Gutbrod! - Potwierdził Bachmeier, ale nie omieszkął dodać: - Powinniśmy jednak przywiązywać większą wagę do rzetelnych, służbowych sformułowań. Takich zwrotów jak „przesłuchamy” powinien pan unikać. Poprawnie brzmi to tak:

Poprosimy go, by zechciał z nim współdziałać, poprosimy ostrożnie, taktownie, zanim jeszcze rozpoczniemy dochodzenie.

Brzmiało to trochę lepiej, choć w praktyce znaczyło to samo.

\*\*        \*\*        \*\*

W domu przy Germaniastrasse 175 Bachmeier w asyście Gutbroda skierował się do drzwi mieszkania dozorca. Asystent wcale się nie krępując, zadzwonił przeciągle.

Wreszcie zjawił się Tatzer,

bardzo ponury, a ponadto

wyraźnie zbolęły. W każdym razie słyhać to było w jego głosie. - Po co to wszystko! Czy nigdy nie będę mógł swojej żałoby przeżywać w spokoju? Mieli inny zamiar. Wzgląd na tego rodzaju uczucia, jeśli w ogóle miały tu one miejsce, byłby tylko czystym marnotrawstwem czasu. Dlatego też nastąpiła wielokrotnie już wypróbowana „ceremonia”, coś w rodzaju oficjalnej, urzędowej prezentacji.

- To jest pan komisarz kryminalny Bachmeier ze specjalnej komisji prezydium policji - Gutbrod wskazał na szefa. - Ja jestem jego asystentem. - Bardzo wyraźnie wymienił swój stopień służbowy i nazwisko. - Pan zaś jest panem Tazerem?

- Jestem nim. - Tatzer niepewnie, ale z ciekawością lustrował policjantów. To już trzeci i czwarty, czy może piąty i szósty spośród owych natrętów?

- Czy zechcą może panowie rozpocząć wreszcie gruntowne dochodzenie?

- Po to jesteśmy tutaj - wyjaśnił Gutbrod. - Na początek u pana.



- Najwyższy czas! Zróbcie coś, żeby wałęsający się tu zboczeńcy posikali się ze strachu. Chcę, tak prędko jak to możliwe, zobaczyć jak się stąd wynoszą! Przypuszczam, że w związku z tym wydarzeniem panowie zechcą się dowiedzieć, kto może wchodzić w rachubę. Ostatecznie wyznają się tu w niejednym.

- Po kolei, panie Tatzler, krok po kroku! O tym co uznam za konieczne, powiem panu we właściwym czasie. - Mówiąc to, komisarz kryminalny wskazał mu zaraz na wstępie, kto tu decyduje o wszystkim, a mianowicie, że tylko on!

Bachmeier nie pytając o zgodę,  
wszedł do przedpokoju. Nie  
potrzebował jej, Tatzera zaś,

który usiłował mu w tym przeszkodzić, odsunął niedbałym gestem asystent, który dobrze opanował tego rodzaju manipulacje. Robił to w sposób wyraźnie niezauważalny.

Przedpokój, w którym teraz stali, podobny był do ciemnej, krótkiej kieszki, zastawionej meblami i rupieciami, obwieszanej postrzępionymi szmatami, z podłoga bez żadnej wykładziny. Asystent Gutbrod najwyraźniej prowokacyjnie obwąchał wszystko z niejakim wstrętem, tak jakby chciał stwierdzić: Śmierdzi tu!

Komisarz Bachmeier odniósł się jednak obojętnie do tej manifestacji i wcale nie miał ochoty na wspólne obwąchiwanie czegośkolwiek. Nie dając się zbić z tropu zażądał od Tatzera potwierdzenia: - Czy ów znaleziony w piwnicy nieboszczyk to pański syn?

- Tak, to mój kochany, dobry, biedny chłopiec, mój Thomas! Zabili mi go!

- To się wyjaśni, panie

Tatzler. - Wyjaśni się przede wszystkim wówczas, jeśli okaże pan gotowość współdziałania! Jeszcze do tego wrócę, może pan być pewny. Najpierw jednak proszę powiedzieć, kiedy widział pan syna po raz ostatni. Jeszcze żywego.

- No, wczoraj! A raczej jeszcze dzisiaj, mniej więcej o północy, może trochę wcześniej.

- Gdzie?

- Tutaj, w przedpokoju! PO obejrzeniu telewizji chłopak położył się do łóżka, o tam... -

Wskazał na stojące w kącie rozkładane łóżko z pomiętymi, zmierzwionymi kocami, nie wyglądającymi na czyste. - No tak, tak to już jest, nie nurzamy się w bogactwach, bardzo nam tu ciasno.

- Potem, od północy, na krótko po niej albo przed nią, nie widział pan już syna?

- Nie. W końcu i ja muszę kiedyś spać. A co, może nie?

- A jak było dziś rano, kiedy się pan obudził?

- Był nieobecny! Całkiem po prostu! Czy zmartwiło mnie to?! Właściwie nie. Mój Thomas jest, był, muszę teraz powiedzieć, na pewno kochanym, dobrym chłopcem, godnym zaufania, zawsze pomocnym, ale też chętnie i często wychodził. Jednak tylko po to, żeby porozglądać się, czy nie będzie gdzieś użyteczny.

- To brzmi tak, jakby się wałęsał i to chętnie - zauważył Gutbrod.

Komentarz był chyba nazbyt pochopny i komisarz zignorował go. Nie zbity z tropu mówił w dalszym ciągu: - Uważam za słuszne, żebyśmy przede wszystkim zaczęli działać

systematycznie. - No, wreszcie pojawiło się to „my”. - Może to zaś okazać się tym łatwiejsze, panie Tatzter, że jest pan dozorcą tego domu.

- Jestem! I co dalej?

- Teraz mam zamiar odejść wraz z asystentem, żeby co nieco pokonferować. Potrwa to pół godziny, może godzinę. W tym czasie sporządzi pan spis wszystkich mieszkańców, kondygnacja po kondygnacji, od dołu do góry. Spisze pan nie tylko nazwiska, ale wszystko, co pan wie o tych ludziach. Zawód, liczba członków rodziny, przynależność państwowa. Czy są właścicielami, czy też najemcami mieszkań. Następnie, jakie pojazdy stoją w piwnicznym garażu i kto parkuje przy krawężniku. Niech pan zapisze wszystko o czym pan tylko wie i nie pominie niczego.

- Zrobi się! A co potem?

- Zobaczymy później.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Po tej rozmowie, komisarz i jego asystent odeszli na zapowiadzaną „konferencję”, co brzmiało prawdziwie urzędowo.

Wyglądało jednak tak, iż poszli przekąsić. Ostatecznie była to już pora obiadowa, a przecież również funkcjonariusze mogą mieć swoje zwykłe potrzeby. Nie należy jednak uznawać, że komisarz kryminalny Bachmeier zapragnął nagle jedzenia i picia. W tym względzie zdolny był do znacznych ograniczeń. Tym czego pilnie potrzebował, była przerwa.

NIE byli bowiem jeszcze gotowi do akcji dochodzeniowi specjaliści oraz specjaliści w dziedzinie wykrywania śladów, pilnie zajęci zapotrzebowanym przez kogoś opracowaniem dokumentacji. I tak dozorca domu zyskał okazję do kleceni, z oczekiwaną gorliwością, listy mieszkańców. Gutbrodowi zaś, jak to wiedział z doświadczenia, posiłek służył o każdej porze, a szczególnie pożądanym jawił się w obliczu tego, co ich czekało.

Niedaleko znaleźli niegdysiejszą restaurację firmy „Winerwald”, która obecnie, choć pod innym szyldem, służyła podobnie prezentującymi się usługami. W kącie poszukali przyjemnego, względnie zacisznego miejsca umożliwiającego obserwację lokalu, co cenią sobie policjanci, zwłaszcza tacy jak Bachmeier.

- Piwko? - zachęcał Gutbrod.

Trafił na odmowę. W służbowym czasie, żadnego alkoholu, a więc woda mineralna.

- Kiedy ja zajmę się swoją dokumentacją, pan niech sporządzi pozostałe robocze notatki, również te dotyczące naszej pierwszej rozmowy z Tatzterem. Pracując będziemy mogli się posilać. - Oczywiście Bachmeier powiedział „posilać się”, a nie „jeść”.

Polecenia te wcale nie

zaskoczyły ani nie dotknęły  
asystenta. Zamówił sobie  
podwójny sznycel oraz smażone

ziemniaki. Zgodnie z wolą szefa, pracując nad swoimi notatkami, kroił jednocześnie mięso na wielkie kęsy, by pochłaniać je nie przerywając pracy.

- Smakuje nieszczególnie - stwierdził.

- Najważniejsze, że syci - odpowiedział Bachmeier.

Przynajmniej to się zgadzało. Gutbrod mimo wszystko był zadowolony, zwłaszcza z powodu swych zapisków. Miał doskonałą pamięć, a sformułowania, których dobierał, mogły uchodzić za precyzyjne. Zamówił sobie porcję truskawek ze śmietaną i jedząc je zauważył: - Jeśliby mnie pan zapytał, szefie, odparłbym, że myślę, iż Tatzler zdolny jest...

- Jednak ja pana o nic nie pytam, panie Gutbrod zwłaszcza zaś o to. W tej chwili mógłbym jednak zapytać, dlaczego kazał pan podać sobie na deser truskawki, a nie zapytał mnie pan o zgodę! No dobrze, jeśli chciał je pan koniecznie zjeść, wszystko mi jedno! Ale też na własny pana rachunek.

Teraz Gutbrod poczuł się kiepsko i trochę się zaniepokoił. Myślał, że po wielomiesięcznej współpracy poznał swojego komisarza i wie, iż nie bywa on hojny, również wtenczas, gdy dotyczy to posiłków bez zastrzeżeń opłacanych z urzędowej kasy, musiał jednak zaistnieć szczególny powód, dla którego teraz stał się tak drobnostkowy. Dokładnie mówiąc, komisarz nie czuł się chyba szczególnie w związku z przypadkiem, którym musiał się zajmować. Sprawa ta, i to niby „małe piwo”, choć kto to wie?

Rachunek, który im wystawiono sprawdził Bachmeier, a potem podsunął go Gutbrodowi: - Niech pan zapłaci za pokwitowaniem, oczywiście odliczywszy truskawki. To pańska prywatna sprawa. I żadnych napiwków.

Uzasadnił to tym, że obrus nie był czysty.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Posiliwszy się w ten, mimo wszystko, na wiejską modłę przyjemny sposób, udali się znów na miejsce zdarzenia. Tam weszli zaraz do mieszkania dozorczy. Tatzler siedział w swoim pokoju przy stole i wyraźnie ponury trudził się nad zleconą mu listą mieszkańców. Usiedli koło niego.

Zaraz też weszła nieco korpulentna pani Tatzler, zapłakana, ale przyjazna i zapytała: - Czy sprawiłaby panom przyjemność filiżanka kawy?

- Dziękuję, tak - powiedział

Gutbrod.

- Dziękuję, nie - rozstrzygnął

Bachmeier. - To nie towarzyskie spotkanie przy kawce. Tak uprzejmą propozycję potrafimy w pełni docenić, pani Tatzler, i nie wykluczone, że później przystaniemy na nią.

Skinął ku niej głową, co znaczyło, że może odejść i co też chętnie zrobiła.

Następnie Bachmeier bez zwłoki zajął się Tatzlerem. - No i co, mój drogi, uporał się pan z tym zestawieniem?

- Mniej więcej, panie komisarzu. Chcę jednak zapytać, czy przypadkiem nie ma pan zamiaru u mnie zamieszkać?

- Człowieku, my tu pracujemy!

- oznajmił inspektor kryminalny Gutbrod. - Byleby nam nie przeszkadzać, a gdzie, to już nam wszystko jedno.

- Chyba nie musi to być koniecznie tutaj, u mnie, nieprawdaż? - Tatzler umyślił sobie, żeby jak najprędzej przenieść gdzie indziej tego rodzaju balast. - Zaraz obok jest mieszkanie, chwilowo nie wynajęte, częściowo umeblowane, a nawet z telefonem... Moglibyście się panowie tam ulokować.

Komisarz popatrzył krótko na

swojego inspektora, a ten skinął

głową, co znaczyło, że przyjrzy się dokładnie tamtemu mieszkaniu. Oferta sama w sobie była użyteczna, choć podejrzana. Przebiegły Tatzler prezentował się coraz bardziej interesująco.

- Teraz jednak pora na zestawioną przez pana listę, panie Tatzler! Jeśli mogę o nią prosić! - zarządził obcesowo nieprzystępny Bachmeier.

Dozorca wręczył komisarzowi spis mieszkańców. Ten przyjął go i zaczął czytać. Zorientował się, że jest to dość starannie zestawiony, choć raczej niewiele mówiący rejestr około dwóch tuzinów nazwisk, uszeregowanych według pięciu kondygnacji budynku. Od pierwszego na parterze Tatzera, aż po panią von Senker, baronową w apartamencie.

Nagle przeglądający listę szef specjalnej komisji numer pięć, utknął tak, jakby trafił na szklaną ścianę. Pochylił się, żeby wyraźniej przyjrzeć się figurującemu tam nazwisku, żeby je przestudiować. Przyciągnęło go jak magnes.

Nieustannie i bacznie przyglądający się swojemu komisarzowi inspektor usłyszał to, czego nigdy przedtem nie słyszał. Były tym, niemal wyszeptane i tylko z trudem rozpoznawalne słowa: Mój Boże!

Po nich nastąpiło uzupełnienie słyszalne już wyraźnie, zwłaszcza dla czujnych uszu:

Nie! To nie musi być akurat on! Nie on. Potem komisarz zamilkł na kilka minut.

- Pan, panie Tatzler, zapisał tu jako mieszkańca piątego piętra kogoś o nazwisku Wecker - powiedział wreszcie zmuszając się do rzeczowości. - Ale tylko nazwisko, bez żadnych dodatków. Co to znaczy?

- Tego nikt nie potrafi dokładnie powiedzieć. Nawet w administracji domu, gdzie raz pytałem. Do tej pory nikogo to w

każdym razie specjalnie nie interesowało. No bo dlaczego by?

- Jakiś urzędnik?

- Tego ja nie wiem. Ktoś tam, z jakiejś administracji, jak mi się zdaje. Chyba całkiem małym urzędnikiem nie był, myślę sobie, ale jakąś grubszą rybą. Bo jak czasem coś powie...

- Ile ma mniej więcej lat? -

Zdawało się, że szef rozpoczął zwykłe przesłuchanie. Towarzyszyła temu jednak, co inspektor zauważył, wprost uporczywa koncentracja, nie pozbawiona też niepokoju.

- Ile ma lat ten Wecker, chciałby pan wiedzieć? - Tatzler nastawił uszu, jakby jednak coś zwierzył. - Wiek tego starego trudno określić. Może ma sześćdziesiąt? Albo niewiele więcej niż pięćdziesiąt? Jednak, nawet jeśli jest już starcem, a nawet, jak na to wygląda, przywiązuje wagę do tego, żeby na takiego wyglądać, mało kto z tej kategorii jest bardziej dziarski niż on. Bachmeier skinął głową tak, jakby chciał dodać sobie odwagi.

- Zna pan jego imię?

- Zdaje mi się, że Albert.

Takie ono chyba jest. Albo dokładniej: Adalbert. Mówi to panu coś?

- A więc to on! - stwierdził stanowczo Bachmeier. Nie można było jednak rozpoznać, nie potrafił tego nawet jego Gutbrod, czy komisarz jest zdenerwowany czy raczej spokojny, zatroskany, wzburzony, czy zaniepokojony. Powiedział bowiem tylko: - Że też akurat on!

- Jest w tym coś szczególnego, szefie? - Jego asystent sygnalizował niezwykle ochoczą gotowość do wczucia się w sytuację.

- Nic podobnego, Gutbrod - zapewnił Bachmeier. - Ostatecznie każdemu zdarzeniu towarzyszą jakieś osobliwości, mniej albo bardziej istotne. Nie

ma przypadku, który byłby wierną kopią innego.

Komisarz powziął widocznie jakąś decyzję. Zostawił Tatzera siedzącego tam, gdzie siedział, sam zaś wyszedł do sieni, a za nim Gutbrod. Oczywiście, mimo braku stosownego polecenia.

- Niech pan każe pokazać sobie w końcu to zaoferowane przez Tatzera wolne mieszkanie.

- Zajmiemy je, szefie, jeśli się nada. A co potem?

- Potem przepyta pan Tatzera.

On kipi chęciami, jak nieprzebrane źródło. I niech mu pan nie przeszkadza.

- Mogę go więc, jak się to mówi, pomagłować? - zapytał inspektor, trochę zaskoczony, trochę nie dowierzający. - Bez pana? - Co praktycznie znaczyło:

A więc nie przy pańskiej urzędowej obecności, szefie?

- Powiedzmy tak, Gutbrod: Nie idzie tu zaraz o oficjalne przesłuchanie, raczej o wypytywanie, zdobycie informacji mających na celu pozyskanie użytecznych wskazówek. Wyobrażam to sobie jako, powiedzmy, poufną rozmowę. Jak człowieka z człowiekiem. Zakładam przy tym, że pańska częstotliwość bliższa jest dozorczy domu, niż na przykład moja.

Wskazania te inspektor przyjął jako okazanie mu zaufania. Cieszyło go to. - No, już ja wyciągnę z niego niejednego tasiemca!

- Niech pan to zrobi, byle ostrożnie. Przede wszystkim niech pan unika błędów, które można by potem udowodnić. I jeszcze jedno: Niech pan w żadnej sytuacji nie wywiera na niego psychicznego nacisku. Słyszałem, że czasem znajduje pan w tym przyjemność, w co jednak nie wierzę.

- I słusznie, szefie - zapewnił pocziwie tamten. - Nie jestem taki! - Czegoś podobnego nie można mu było bowiem

udowodnić.

Jednocześnie Gutbrod orientował się, że tego rodzaju praktyki są stosowane, choć można powiedzieć, że raczej okazjonalnie, a Bachmeier o tym wie. Zdarzają się przecież rzeczy, których nawet niezbyt zręczny zwierzchnik po prostu nie przyjmuje do wiadomości, dopóty przynajmniej, dopóki nie jest zmuszony.

Tego zaś, ze strony inspektora nie trzeba się było obawiać. Miał bowiem zwyczaj, niemal ściśle stosować się do zasady, zgodnie z którą oficjalnie wszystko miało być bez zarzutu! A jeśli czasem nie za bardzo, to w żadnym wypadku nie prymitywnie, a już w każdym razie nie w obecności osób trzecich.

- Wzywam do oględności! - powiedział niemal poufale Bachmeier. - Dlatego zaś, że w tej sprawie, którą się tu zajmujemy, przewiduję pewne komplikacje, kto wie, czy nie nawet bardzo nieprzyjemne.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Część II

Dochodzenie (c.d.)

Teraz Bachmeier poszedł do windy, by z pomocą tego podobnego do klatki urządzenia wjechać na piąte piętro. Ów obskurny, zaniedbany i najwyraźniej mocno sfatygowany środek transportu popiskiwał, szarpał i stękał.

Nawet nie przyszło mu na myśl, żeby zwracać na to uwagę. Zaprzętało go tylko to, co go być może czekało, a więc spotkanie, którego raczej nie da się już uniknąć. Mówiąc inaczej, nie miał wyboru.

Na górze, na piątym piętrze, trochę sztywno ruszył do drzwi wskazanych przez dozorcę. Przytwierdzona do nich tabliczka nie zawierała żadnego nazwiska. Zadzwoił krótko, dyskretnie, jakby się ociągając.

Kiedy mu otworzono, ukazał się ten, którego Bachmeier się przestraszył, choć był już na jego widok przygotowany. Tym kimś był Adalbert Wecker. Stał otulony wygodnym, sięgającym stóp szlafrokiem, utrzymanym w ciemnej tonacji, pomniejszającym go jakby, a przynajmniej nie pozwalającym wyglądać okazale. W każdym razie nie prezentował się tak, jak niegdyś w prezydium policji.

- A więc to jednak pan! - stwierdził komisarz kryminalny Bachmeier.

Niemale było też zaskoczenie Adalberta Weckera, kiedy zobaczył, że to Bachmeier.

Uśmiechnął się jednak do gościa, choć raczej niezbyt zachęcająco.

- Panie Bachmeier! Że też znowu pana widzę! Nie przypuszczam jednak, iż zamierza mi pan złożyć przyjacielsko\_koleżeńską wizytę.

- Nie mógłbym zapewne pozwolić sobie na to - powiedział sztywno Bachmeier. -

Raczej muszę niestety oświadczyć, że w domu

tym znajduję się niejako służbowo.

- A jednak proszę wejść.

Zaproszenie zostało przyjęte z pewnym zdziwieniem. Bachmeier spodziewał się zgoła innego przywitania. Wecker poprowadził gościa do swego mieszkalno\_roboczego gabinetu, w którym dominowały książki. Wyglądało na to, że są intensywnie czytane albo wertowane; wiele spośród nich opatrzone licznymi oznaczeniami. Było tam też kilka sprzętów służących do siedzenia, które wyglądały na bardzo wygodne. Jeden z nich Wecker wskazał komisarzowi. Ten usiadł na nim, ale się nie oparł, gdyż nie odważył się pomyśleć o czymś takim jak wygoda.

Wecker stanął w odległości mniej więcej dwóch metrów od gościa. - Mogę się domyślać, panie Bachmeier, że to pan jest tym, któremu powierzono tutaj pewną sprawę, należy przypuszczać, że jakieś ciężkie przestępstwo. - Nie powiedział oczywiście, że „to akurat pan”.

- Słyszałem już o nim, bo coś takiego roznosi się bardzo prędko. Czy jest pan tu z tego właśnie powodu?

- Tak właśnie jest, panie radco kryminalny.

- Czy mogę teraz prosić pana, panie Bachmeier, żeby w przyszłości unikał pan tytułowania? To było już tak dawno - powiedział z wielką powagą, ale i z uprzejmym naciskiem. - Do tytułu nie przywiązuję zresztą najmniejszej wagi. Nazywam się Wecker.

- Jak pan sobie życzy, panie radco kryminalny, panie Wecker.

- W obecności tego nieprzystępnego człowieka komisarz miał widoczne trudności ze znalezieniem właściwych słów. - W pełni respektuję pańską inicjatywę i postępowałem tak zawsze! Mogło jednak się

zdarzyć, że nie poznano się na mojej całkowitej gotowości w odniesieniu do tej materii, czego bardzo żałuję. Nawet, jeśli było to dawno. W każdym razie mam nadzieję, że nie ma pan do mnie pretensji.

- Ja miałbym mieć do pana pretensje? - Wyglądało na to, że Wecker poweselał. - Nie wiem o co.

- Pozwolę sobie wskazać na pewne zdarzenia w prezydium policji, które miały miejsce przed kilkoma laty. Wtenczas, zanim przestał pan pracować. - „Wtenczas” Wecker, tak jak teraz Wachsmann, był kierownikiem specjalnych komisji. - Mówiono, co oczywiście nie jest prawdą, zapewniam pana, że to ja byłem tym, który spowodował, niestety, pewną pańską decyzję.

- Ależ nie, panie Bachmeier!

Nie powinien pan siebie przeceniać, mnie zaś nie doceniać. Jak pan na to wpadł, że w tamtej sprawie mógł pan być tym, który wszystko rozpętał? Pan nie był nawet tą przysłowiową kroplą, która przepełniła naczynie.

- Jeśli tak to jest -

Bachmeierowi całkiem wyraźnie ulżyło - mogę chyba czuć się spokojniejszy.

- Ależ tak, może pan być spokojny. Jeśli zaś przywiązuje pan wagę do słów, może się pan czuć wyzwolony od niepokoju. Choć jednak wątpię, czy tego rodzaju sformułowania przyjęły się w pańskim, a niegdyś i moim fachu. Wówczas, w każdym razie mówiąc krótko i tak jak się należy, było tak, że nie pragnąłem niczego ponad to, żeby przestać pracować. Po prostu już nie chciałem!

- Potrafię pana zrozumieć, panie radco kryminalny. Przepraszam, panie Wecker.

- Naprawdę tak było, panie

Bachmeier. Proszę mi uwierzyć.

Komisarz zapewnił, że wierzy.

Próbował nawet to udowodnić. - Nasz zawód, zdażyłem zrozumieć to i ja, jest pracą najcięższą, a niekiedy daremną i czasami może człowieka doprowadzić do rozpacz.

- Nie jestem z tych, którzy rozpaczają. Raczej już należę do takich, którzy we wszystko i wszystkich wątpią. Nawet w siebie. Chyba jednak nie jest najlepiej wdawać się w tego rodzaju wynurzenia. Spójrzmy na to po prostu. Jeśli wtedy, w urzędzie skończyłem z wszystkim, to tylko dlatego, że nie udało mi się przeforsować własnego zdania ani przekonać. Nie udało mi się bez przeszkód stosować swoich środków, wykorzystać możliwości i metod.

- Można powiedzieć, że przynosi to panu zaszczyt.

- Można, oczywiście!

Jednocześnie trzeba by też stwierdzić, że osiadłem na mieliźnie, choć w honorowy sposób. A więc uznać, że zawiodłem. Co miało być, stało się i nie trzeba już tracić słów.

Nawet chytry jak lis Bachmeier nie wiedział, co myśleć o tym wszystkim. Wtenczas, w prezydium policji Wecker był mieszaniną tego co irytowało, a jednocześnie budziło respekt. Był zarazem starogrecką wyrocznią, jak i dyrektorem rzymskiego cyrku. Zwykłemu funkcjonariuszowi wydawał się nieobliczalny.

Teraz pozostawało pytanie, czy też się zmienił. W każdym razie wyglądał na zubożniałego i nie angażującego się, być może dlatego, że się postarzał. Może też ów niegdysiejszy, a potem osadzony na mieliźnie supertropiciel markował tylko tego rodzaju skojarzenia? Choćby ze względu na instynkt samozachowawczy, warto by się dowiedzieć, jak to też w istocie jest.

- W rzeczy samej, panie

Wecker, jeszcze i dziś w urzędzie uchodzi pan za wybitnego specjalistę w dziedzinie kryminalistyki. Tego przecież nie da się wymazać, a i dla mnie wynika stąd nadzieja, że wolno mi odnosić się do pana, jako do kolegi z branży kryminalnej z pełnym zaufaniem.

- Ależ panie Bachmeier, jak pan w ogóle na to wpadł! - Była to szybka, jednoznaczna negacja, podbarwiona wesołością. - Czyżby spodziewał się pan, że udzielię panu jakichś rad, dam wskazówki, a może nawet będę próbował wtrącać się do pańskiej pracy? Nie ma mowy! To pańska sprawa ten przypadek, a więc w żadnym kontekście nie moja. Będzie pan musiał uporać się z nią sam.

- Myślałem tylko, że skoro nie ma pan do mnie żadnych pretensji, będę mógł liczyć na pośrednią pańską pomoc, opartą na znajomości rzeczy.

- Nie. Coś takiego sprzeczne jest z moimi zasadami. Abstrahuję przy tym od tego, że nie powinien pan być sobie pozwolić na zwrócenie się do mnie z tego rodzaju propozycją. Nie było panu wolno.

- A więc jednak - stwierdził

Bachmeier, w jakimś sensie prowokująco. Pomyślał też sobie:

No, ale jesteś pamiętliwy! - Sądziłem, że mogę liczyć na to - łagodził - iż nie będzie mi pan robił trudności, jeśli...

- Żadne „jeśli”, żadne

„kiedy”, żadne „jednak”, panie Bachmeier. - Wecker powiedział to jakby z przymrużeniem oka. - Ale ponieważ rozmawiamy o trudnościach, może się zdarzyć, iż to pan będzie tym, który je sprostuje oraz, że będzie tak, iż będą one i mnie dotyczyć.



- Jak proszę? - zapytał tamten ostrożnie. - Jak mam to rozumieć panie Wecker?
- Jako całkiem realną możliwość, panie Bachmeier. W domu, w którym mieszkam,

popelniono zbrodnię. Dość obrzydliwą, jak sądzę, choć moje zdanie nie jest miarodajne.

- W każdym razie jest to przypadek, panie radco kryminalny, przepraszam, panie Wecker, w którym chyba nie ma pan żadnego udziału.

- Co też pana, mój miły, utwierdza w tym mniemaniu? W zasadzie nikt nie jest poza podejrzeniem, w każdym razie dopóty, dopóki nie okaże się w pełni, że nie jest podejrzany. Taka powinna być obowiązująca pana reguła. W praktyce znaczy to, że powinien się pan upewnić, przekonać i zaasekurować. Bez względu na kogokolwiek.

- Jednak nie może to dotyczyć pana! - powiedział z niemal uczciwym podnieceniem Bachmeier.

- Powinno dotyczyć wszystkich!

Nie może być żadnych wyjątków. Nigdy i nigdzie, o czym pan dobrze wie. Tak oto musi mi pan teraz postawić kilka pytań. Co najmniej jedno. Do dzieła więc!

- Dobrze. - Uznał, że była to propozycja wyglądająca raczej uczciwie i przedstawiona szczerze. Nie dało się jednak wykluczyć, że skoro zgłosił ją tak bardzo doświadczony i biegły w dziedzinie kryminalistyki specjalista, kryło się za nią wyrachowanie i nie wiadomo co jeszcze.

- No to - zapytał ostrożnie - czy znany jest panu ów znaleziony tu nieboszczyk, niejaki Thomas Tatzler?

- Nie. Bezpośrednio nie.

- Może więc pośrednio, jeśli zrozumiałem właściwie. Co to znaczy, proszę pana?

- Widzi pan, to jest tak, że istnieje możliwość, której nie da się wykluczyć, że spotkałem kiedyś owego chłopca w tym domu, a może przed nim.

- Mógł go więc pan spotkać, nie wiedząc kim jest?

- Nawet nie wiem jak wygląda.

Tak samo, jak nie wiem prawie

nic o tym, co być może tu wyprawiał.

- Jeśli dobrze usłyszałem - a jak miał słyszeć inaczej? - Mogłoby to znaczyć, że nasuwały się panu takie czy inne domysły.

- Domysł, panie Bachmeier, to sformułowanie raczej drażliwe. Przynajmniej w naszym fachu, to znaczy, w pańskim. Tak zwane domysły mogą nasuwać się niejednokrotnie, a w samej rzeczy bywają tylko mydłanymi bańkami, gdyż pozbawione są koniecznego uzasadnienia.

Wobec tylu bez żenady zaserwowanych pouczeń, Bachmeier panował nad sobą z niejakim trudem. Bardzo pragnął uniknąć następnych. Dlatego zapewnił szybko: - Pewne jest więc, że między panem a zmarłym nie było żadnych związków.

- Pan to powiedział! Przy tym całkiem słusznie uznał pan, że mogły istnieć tak zwane kontakty pośrednie. Mogę też przyjąć, że właśnie pan jest człowiekiem, który nie pomija niczego, co w jakikolwiek sposób wydaje mu się ważne.

- Przy czym, panie Wecker, zawsze może pan liczyć na moją lojalność.

- Ta wzmianka dziwi mnie, panie Bachmeier. - Ostatecznie dopiero pan coś tu zaczął i nie może pan wiedzieć co się jeszcze przytrafi.

- Dobrze więc, tego jednak nie wie się nigdy.

- Jednakże my... a właściwie pan, jako czynny specjalista w dziedzinie kryminalistyki zawsze powinien pamiętać, że zmarli są w stanie kontynuować, można rzec pośmiertnie, swą kłopotliwą egzystencję.

- Wiem, panie radco kryminalny, panie Wecker, co pan ma na myśli. - Nie odległe od tego było pragnienie, żeby wyrwać się z zakłętego kręgu mnożących się pouczeń. - Po prostu chciał pan powiedzieć, że

nie wolno wykluczać niczego, bo wszystko jest możliwe. Ja też to wiem!

- Tak pan sądzi, panie

Bachmeier? Jestem przeto ciekawy pańskich rezultatów.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Komisarz kryminalny Bachmeier, szef spacjalnej komisji numer pięć, ruszył do podobnej do klatki windy, wszedł do niej, ale tym razem chcąc nie chcąc zauważył wydawane przez nią odgłosy wieszczące niebezpieczeństwo. Z lekka oszołomiony, nie tylko zresztą tym, wylądował w końcu na parterze, a więc u inspektora Gutbroda, który tymczasem rozsiadł się w „biurze” urządzonym prowizorycznie w wolnym mieszkaniu. PO krótkiej, bacznej lustracji można było uznać, że nadaje się ono do tego celu.

Tam też usiadł Bachmeier. Prawie bez trudu udało mu się ukryć lekkie zmęczenie, zwłaszcza, że tego rodzaju stany szybko u niego przemijały. Sięgnął po filiżankę kawy, która nań czekała i była całkiem dobrym, a w każdym razie mocnym naparem. Nie obchodziło go, przynajmniej nie w tej chwili, że być może zadbała o to troskliwa pani Tatzler. Pił nie bez przyjemności. Potem zachęcająco skinął na swojego asystenta.

- No to pięknie. I co jeszcze?

Gutbrod zaczął szybko

kartkować swój notatnik. Zapiski były dość liczne, ale też i dość dokładne. Zawierało się w nich sporo. „Referat”, który wygłosił, podobny był do iskrzącego fajerwerku, takiego jednak szybko gasnącego, jak to zwykle z tym bywa. - Po pierwsze: Tutaj, na trzecim piętrze, mieszka niejaki Waldemar Wesendung. W jego przypadku, cytując wynurzenia Tatzera, idzie najwyraźniej o

notorycznego obyczajowego łobuza, jeśli i nie o pospolicie niebezpiecznego krętacza. Ostatnio publicznie, bo z pomocą zatartego już napisu w windzie, nazwany został „dzieciojebcem”. Po drugie: Lenz, z trzeciego piętra. Podobno aktorka, ale możliwe, iż lepsza prostytutka, z zapewne nie najniższym cennikiem. Do niej przynależy dziecko, mniej więcej dwunastoletnie, niejaka Irena, która ma być w istocie okazem wścibskim i natrętnym. Zachodzi podejrzenie, że można uznać ją za dość oblataną i zdemoralizowaną. Następnie: Barbara Binding, trzecie piętro. Około trzydziestego piątego roku życia, plus jeszcze kilka lat. Jest to ciągle i wszędzie węszący babsztyl, lubieżnie rozglądający się dookoła. Są to, szefie, sformułowania Tatzera, bliskie oryginału. Sądzi on, że chciałaby koniecznie do kogoś się dorwać i nie cofa się przed niczym.

- Tak bardzo wątpliwe domniemania nie są przydatne w naszym fachu. Ponadto dużo w tym wszystkim dwuznacznej paplaniny.

- Reakcja Bachmeiera była rzeczowa i wyglądała na przemyślaną.

- No właśnie, szefie. I mnie się tak zdaje - zgodził się szybko asystent. - Jeśli idzie o tego Tatzera, to jak można było się do tej pory przekonać, nie jest on niepohamowanym plotkarzem - uzupełnił uznając to za niezbędne. - On dobrze zdaje sobie sprawę z tego co mówi. Miałem nawet wrażenie, że robi to świadomie. Że celuje dokładnie!

- Jakie to piękne i paskudne zarazem! Na to mamy już wielu, łącznie z Tatzerelem, i to takich, którzy nie cofają się przed niczym i nikim. A dlaczego, to się jeszcze okaże. Teraz mam ochotę dowiedzieć się, czy w tym

pierwszym pańskim dossier znajdują się wzmianki o jakimś Weckerze z piątego piętra?

- Ależ tak, szefie! I to podobnej wartości. - Gutbrod przewertował swój notatnik. - Wynurzenia naszego Tatzera dotyczące tego człowieka, sięgają od: „to taki, który węszy dookoła”, „zarozumialec”, „stary lis”, aż po „czyhającego szakala”! Wszystko to ma sens taki, że jest on tajemniczy, że wiele można mu przypisać, najlepiej zaś nie wchodzić mu lekkomyślnie w drogę.

- To godne uwagi

sformułowanie. - Bachmeier zamyślił się jeszcze bardziej. - Czy Tatzerelem rzeczywiście nie wydusił z siebie niczego, poza mnóstwem tego rodzaju celowych denuncjacji? Nie było wyjątku?

- Jedno ujawniło się przy tym, choć w pewnym sensie jakby mimochodem - relacjonował Gutbrod na podstawie notatek. - Dotyczy mianowicie niejakiej pani von Senker, Elwiry tytułowanej przez niego baronową, która mieszka na samej górze, w tak zwanym apartamencie. Tatzerelem powiedział, że to dama z lepszego towarzystwa i bardzo ją szanuje.

- Tego nam brakowało! -

Bachmeier zareagował ze spontaniczną niechęcią, co nie było u niego częstym odruchem i który też natychmiast próbował zdeprecjonować. - Sporo tego materiału. Może aż nazbyt wiele. Gdyby było go mniej, chyba byłoby lepiej. W tym co nas obchodzi, nigdy nie wolno ilości myślić z jakością.

- Co pan ma na myśli? - zapragnął szybkiego wyjaśnienia Gutbrod.

Bachmeier posłużył się w tym celu pewnym cytatem. Szło w nim o „złotą” regułę postępowania, zaczerpniętą z szeroko i daleko cenionego fachowego dzieła, pod tytułem „Taktyka przesłuchań”.

Autorem jego był komisarz kryminalny Keller. Ten z psem, ów tak zwany „wielki człowiek prezydium policji”. Napisał on:  
„Ewentualnym świadkom wykazującym zbytnią gotowość współdziałania, nie należy nigdy pozwalać mówić zbyt wiele. Bardziej zalecenia godne jest wytrwale skłanianie ich do namysłu”.

- Taki Tatzler miałby się zastanawiać? Tego nie można się po nim spodziewać.

- Mógłby pan jednak podjąć mimo wszystko próbę zachęcenia go do tego. - Nie powiedział, że trzeba było tamtego zmusić. - Ta kaskada słów w jego wydaniu, kojarzy mi się z szumem klozetowej spłuczki. - Nie dodał, że kojarzy się tak jemu, doświadczonemu. - W takiej sytuacji może być ruszona z miejsca każda ilość cuchnącego łajna, tak jak to się stało tutaj. A więc być może, nie jest to nic innego, jak tylko śmierdzące bagno pomówień.

- Nawet jeśli to się zgadza, szefie, zdołamy je osuszyć - zapewnił Gutbrod nieodmiennie gotowy do potakiwania.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Następnym, który się nawinał, był Waldemar Wesendung.

- Mam go tu zawołać, szefie?

- Do niego pójdziemy, Gutbrod.

Obaj.

Zamierzał Wesendunga dopaść w domu. Umożliwiało to wgląd w tak zwaną sferę intymną, co też mogło dać, jak uczyło doświadczenie, ciekawe rezultaty. W tym jednak przypadku przyjęty z góry efekt nie potwierdził się. Owo „pierwsze wrażenie”, które przez fachowców w dziedzinie kryminalistyki nie jest uznawane za mało ważne, nie przyczyniło się do odkrycia żadnych rzucających się w oczy osobliwości.

**Dwupokojowe mieszkanie;**

niewiele mebli, a tylko te

najpotrzebniejsze, najwyraźniej wybrane z taniego asortymentu domu towarowego, oferującego elementy do składania. Na podłodze zwykła, ciemnobrunatna wykładzina. Żadnych obrazów, a tylko sporo książek, przeważnie broszur. Prawie całkowity brak gazet, za to stos czasopism, których zawartości nie można było ustalić na pierwszy rzut oka. Łóżko było zamontowane w szafie i choć nie pozwalało się określić jako szczególnie czyste, nie można też było uznać je za brudne.

Kiedy Wesendung otworzył drzwi mieszkania, nastąpił szybko zwyczajowy, wypróbowany spektakl. Inspektor wymienił nazwisko i stopień komisarza, potem zaś swoje.

Następnie funkcjonariusze zostali zapytani nadzwyczaj uprzejmie: - Czy jeśli szanowni panowie z policji chcą wejść do mojego mieszkania, mógłbym domniemywać, iż posiadają nakaz rewizji?

- **To nie jest konieczne, panie**

Wesendung - wyjaśnił mu szybko Gutbrod. - W żadnym wypadku nie mamy zamiaru dokonywać tu rewizji. Przyszliśmy tylko ze względu na potrzebę ogólnej

orientacji w całokształcie. Jeśli nie chce nas pan wpuścić, będziemy musieli poprosić pana, żeby poszedł z nami.

- Co byłoby równoznaczne z jeszcze jednym żądaniem. Czy muszę je spełnić?

Gutbrod zauważył, że Wesendung próbuje zdyskontować jego wzrastającą irytację, bo chłodna uprzejmość zaczęła go złościć i budzić w nim agresję.

- Panie Wesendung - wyjaśnił ciągle jeszcze dość uprzejmy komisarz - pan niczego nie musi. Tym, czego nie tracąc nadziei spodziewamy się po panu, jest określona gotowość do współdziałania.

- Jeśli się tego nie doczekamy

- inspektor bez skrupowania wpełznął się do wnętrza, przez co stało się wyraźne, jak wygląda zwyczajowy podział ról - będziemy czuli się zmuszeni do uznania, że pan nie chce! Z tego powodu nie chce, że boi się pan chyba samooskarżenia. W trakcie owego wstępu, Gutbrod gotowy już do notowania rozsiadł się z otwartym brulionem przy krótszym boku stołu. Był więc w pewnym sensie przysposobiony do sporządzania protokołu. Dawał do zrozumienia, że nic mu nie umknie.

- Dlaczego jednak, panie

Wesendung, nie miałby pan być skłonny do udzielenia nam kilku informacji? - zauważył nęcząco Bachmeier. - Chyba nie zechce pan wywołać wrażenia, że czuje się pan jakoś współwinni? Mam na myśli wiadomą sprawę.

- NO tak, dlaczego miałbym tak się czuć? - Wesendung chyba pojął, że nie uniknie przesłuchania, tym bardziej, iż również komisarz usiadł przy stole i ruchem dłoni dał do zrozumienia, żeby i on zajął miejsce.

- Ostatecznie nie muszę niczego ukrywać! Nie uda się mnie też niczym obciążyć. - Czegoś takiego będą zapewne próbowały te podstępne, sraczkowato uprzejme, policyjne prymitywy, te wyciszone byczyska, które wypatrują czerwonej chusty. On im jednak jej nie pokaże! Nie on! Potem dosiadł się do nich, przy swoim własnym stole.

- Pierwszorzędnie! Tym lepiej, jeśli pan tak to widzi. - Zdawało się, że komisarz jest mu wdzięczny. Całkiem niepotrzebnie zerknął też przy tym na swojego asystenta, bowiem Gutbrod rozsiadł się wygodnie, ale do notowania był gotowy. - Rozpocznijmy od prostego pytania.

Było proste do tego stopnia,

że niemal nic nie znaczyło,

mogło uchodzić za błahę, a padło jakby mimochodem. Miało jednak doprowadzić do jeszcze jednej śmierci. Czy było więc nieuniknione, czy było konieczne, a może tylko wynikało z aroganckiej pobieżności? Była to policyjna pomyłka, czy może błąd w kryminalistycznej sztuce?

Owo, jak już uprzedzono, proste pytanie, z którym Bachmeier zwrócił się do Wesendunga, brzmiało następująco: - Czy znał pan owego znanego tu, zabitego chłopca, Thomasa Tatzera?

- Ależ tak, ależ tak! - powiedział szybko. Potem nastąpiły wyjaśnienia, których nikt się nie domagał i przypuszczalnie szło tu o tak zwaną „ucieczkę do przodu”. Wesendung uznał ją chyba za niezbędną, bo nie czuł się pewnie. - To niezwykle dobry, bardzo miły i naprawdę grzeczny chłopiec, jednakże, o czym panowie chyba już wiedzą, jakby naznaczony, jak się to mówi, przez los. Dotknięty ciężkimi schorzeniami i niesprawnością ciała. Budził moje współczucie. Dostrzeganie bliźniego, jeśli wolno mi tak powiedzieć, jest u mnie czymś oczywistym, bo takie mam usposobienie.

- A jak, proszę pana, odbywało się to, powiedzmy, w praktyce? Tego rodzaju pytanie Wesendung przyjął raczej nieufnie, no bo co też w tym, co powiedział miałoby być niejasne?

- Jeśli tego biednego chłopca coś do mnie ciągnęło, to było tym poszukiwanie człowieka, który zrozumiałby go, nie zostawiłby go samemu sobie, tak jak inni albo nie odtrącił niby uciążliwy przedmiot. Tego nie mogłem zrobić, nie potrafiłem go odepchnąć!

- Tylko to? - Pytanie oparte na wieloletnich kryminalistycznych doświadczeniach sugerowało

zrozumienie. - Można więc powiedzieć, że opiekował się pan trochę tym chłopcem?

- Tak, oczywiście.

Okazjonalnie. A może chciałby pan dowiedzieć się, co znaczy to określenie? Otóż jak to teraz ustaliłem, czasami godzinę w ciągu jednego dnia w tygodniu. Nic więcej. Jak się nim opiekowałem? Rozmawiałem z nim, bo tego pragnął. Chętnie pomagałem mu też przy odrabianiu szkolnych zadań, taki bowiem jest mój zawód. Jestem, o czym już panowie z pewnością wiedzą, pedagogiem. Niestety bez stałego zajęcia, a to z powodu sytuacji gospodarczej. Czy to jednak pana interesuje, czy może nie?

Wyglądało na to, że nie. Bachmeier chciał się tylko dowiedzieć kiedy i gdzie miała miejsce ta pomoc.

Podstępny sens tego pytania Wesendung zdołał rozpoznać z miejsca, bo nie był taki, żeby go dało się tanio kupić. - Kiedy? W godzinach popołudniowych, jeśli chce pan wiedzieć. Wyłącznie o jasnym dniu. Gdzie? Najczęściej podczas przechadzek w sąsiedztwie domu, czasem na klatce schodowej, w poszczególnych przypadkach również tutaj, w moim mieszkaniu. Czy można coś temu zarzucić?

- Niewykluczone, że tak - wmieszał się zbyt szybko Gutbrod. - I to jeszcze ile!

- Nic, a nic - skorygował niemal nieuprzejmie Bachmeier.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Teraz komisarz mógłby po prostu zakończyć drażliwą, śledczą grę. Mogło stać się tak, że to właśnie jemu powinno wydać się to stosowne.

Nie był w końcu człowiekiem

lubującym się w bezwzględnym dochodzeniu do celu. Jak zawsze twierdził, preferował tak zwaną oględną marszrutę. W każdym

jednak razie nie chciał uchodzić za kryminalistycznego rębajłę, ale raczej za kryminalistycznego drażyciela duszy i też jako taki, zadał niezwykle oraz dość zręcznie zakamuflowane pytanie zasadnicze: - panie Wesendung, ponieważ jest pan filozofem, a przynajmniej jest pan w tej dziedzinie wykształcony, co w tym konkretnym przypadku cenię niezwykle, na pewno zrozumie pan prawidłowo moje kolejne pytanie:

Czy dostrzega pan różnicę, między skłonnością a pożądaniem?

Wesendung poczuł się teraz w pełni doceniony. Znał się na takich subtelnościach.

- Panie komisarzu, rozumiem dlaczego pytanie to uważa pan za sensowne. Mogę jednak odpowiedzieć na nie tylko tak:

Ewentualne, niskie podejrzenia nie mogą mnie dotyczyć. Jestem ponad to. Moje usiłowania wynikały raczej z etycznych norm wartości i tylko to powinno być dla pana punktem odniesienia. Tylko to.

- Popatrz tylko! - znowu wmieszał się Gutbrod, któremu ów węgorzowato śliski, zarozumiały gaduła bardzo się nie spodobał.

- A poza tym niczego nie było?

Teraz znów zablokował go Bachmeier, Gutbrod zaś skwitował to mrugnięciem, bo znał tę taktykę. - Nie sądzę, żeby teraz stosowne było podawanie w wątpliwość tych, dopiero co udzielonych nam informacji. - Owo „teraz”, Gutbrod odczytał jako „na razie”.

Uradowany Wesendung przyjął to do wiadomości. Lepszy nastrój skłonił go do tego, by na kolejne pytanie komisarza odpowiedzieć z werwą, tym bardziej, że był na nie przygotowany i oczywiście spodziewał się go wcześniej.

- A więc, panie Wesendung, gdzie przebywał pan rankiem, względnie we wczesnych przedpołudniowych godzinach,

dzisiaj, między szóstą a ósmą?

- Gdzie? Tutaj. W łóżku. A gdzie by poza tym?

- Każdy może tak powiedzieć - stwierdził stanowczo Gutbrod. - Utrzymuje pan więc, że w tym czasie tylko pan sobie spał?

- Oczywiście! Trzeba panom wiedzieć, że jestem tak zwanym człowiekiem nocy, sową, a nie skowronkiem. Mam zwyczaj pracować długo w noc, żeby się dokształcać, albo też rozmawiam gdzieś z ludźmi o takich samych jak ja przekonaniach. Dopiero potem kładę się i śpię długo w dzień, niekiedy aż prawie do południa.

- I to zawsze samotnie? - zapytał dwuznacznie Gutbrod. - Na to pytanie Bachmeier przystał z niemal lekceważącym pobłażaniem. - A może tak się złożyło, że był tu jeszcze ktoś?

- Jak proszę? Co ma znaczyć to pytanie? Teraz Wesendung bronił się ze szczerem, jak na to wyglądało, oburzeniem. Myślał, że może sobie na nie pozwolić, przynajmniej w stosunku do tego, natrętnego inspektora. - Znowu dowiedział się pan czegoś o moim prywatnym życiu, panie Gutbrod?

- Panie Wesendung, radzę panu, żeby spojrzął pan na to pytanie nader realistycznie - wyjaśnił komisarz. - Inspektor uważa tylko, że sypianie w samotności to oczywiście reguła, której nie można niczego zarzucić. Jednak w naszej praktyce, w odniesieniu do drażliwych sytuacji, zawsze narzuca się dobre, jasne, przekonujące rozwiązanie, które ma miejsce wówczas, kiedy może się podać nazwisko świadka. Musiałby to być jednak ktoś gotowy do

złożenia przekonywujących zeznań. W tym zaś przypadku jest tak, i to inspektor właśnie miał na myśli, że należy uważać pana raczej za kogoś, kto nie ma takiej możliwości. A więc?

- A więc - powiedział wolno

Wesendung - możliwe, że mogę mieć.

- No, powinien pan to wykorzystać - poradził Bachmeier. - Wiele by to ułatwiło. Panu i nam. A zatem?

- Co jednak będzie, jeśli dotyczyłoby to pewnej damy? Czy dopuściłby pan do tego? - Wesendung nieświadomy pułapki jaką na niego zastawiono, chciał się zaprezentować w roli dżentelmena. Demonstracja ta spowodowała głośne posapywanie zirytowanego Gutbroda. - Nie docenia pan mojej determinacji, w kwestii zachowania dyskrecji - kontynuował Wesendung. - Zdecydowanie odmawiam ujawnienia bliskiej mi osoby, po to, żeby ułatwić sobie sytuację. Nie jest to też w odniesieniu do mnie konieczne. Czyż nie tak?

- Teraz powinien pan raczej przemyśleć to sobie dokładnie - komisarz odchylił się do tyłu, jakby chciał zwiększyć dystans.

- Musi się pan zastanowić nie tylko zresztą dokładnie, ale i możliwie szybko! Nikt nie chce tracić czasu. Musimy przez to przebrnąć nie zważając na nic.

Bachmeier wstał, trochę sztywno, jego twarz miała wyraz stanowczości. - Muszę stąd odejść, potrzebuję bowiem jeszcze więcej informacji. Tymczasem, panie Wesendung, zostawiam pana inspektorowi Gutbrodowi, który przeprowadzi dalsze wyjaśniające rozmowy. Przypuszczam, że jest pan na to przygotowany.

- Ależ tak! - potwierdził nie przeczuwający niczego złego Wesendung. Pomyślał, że potrafi stawić czoła temu policyjnemu prymitywowi, który nie dorasta doń intelektem, bez względu na to, co by to miało znaczyć.

- Rozumiemy się, Gutbrod?

- Jeszcze jak, szefie!

Absolutnie.

Potwierdzeniu temu

towarzyszyło radośnie wdzięczne

zdumienie. Od tej pory bowiem, jeśli się nie przesłyszał, a przecież to raczej nie wchodziło w rachubę, miał mieć tutaj wolną rękę. Był zaś naprawdę człowiekiem potrafiącym skutecznie wykorzystać tak bardzo obiecującą szansę. Wiedział o tym Bachmeier, choć oczywiście nie wyrzekł słowa na ten temat. - Zrobi się, szefie!

- Co rzekłszy, nie musiał dodać, że „zrobi się to całkiem po pańskiej myśli”.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Komisarz opuścił Gutbroda i Wesendunga, którzy siedzieli naprzeciw siebie. Odszedł, gdyż tym, czego miałyby tam teraz wysłuchiwać, byłyby wykrętne, asekuracyjne sformułowania, które mierziły go, a co gorsze, coś takiego groziło tylko stratą czasu. Na to nie mógł sobie pozwolić.



Bachmeier posłużył się brzęczącą i hałaśliwą windą. Teraz wjechał na czwarte piętro, gdzie zaczął przypatrywać się drzwiom i w końcu natknął się na wąską tabliczkę z napisem:

Johanna Lenz.

Zadzwoił. PO niewielu sekundach drzwi otworzyły się szeroko, zapraszająco i ukazała się kobieta, osoba ciemnowłosa, efektowna, choć mogło to być tylko jeszcze jedną powabną złudą. Zwłaszcza w jego zawodzie było ich wcale niemało. Można było raczej nie żywić obawy, iż właśnie on mógłby ulec tego rodzaju powabom, gdyż z zasady przestrzegał zwyczaju, żeby wszystkie napotkane w czasie prowadzonego dochodzenia kobiety traktować z odpowiednią rezerwą. I w tej dziedzinie miał pewne doświadczenia.

W każdym razie Bachmeier przedstawił się niemal uroczyście. Wymienił też powód swojej obecności w tym domu, celu wizyty jednak nie ujawnił.

Powiedział tylko: - Dochodzenie,

które stało się tu w urzędowym trybie konieczne, dotyczy ewentualnej zbrodni. Pani jednak nie powinno to denerwować.

- Od dawna nic mnie już nie denerwuje, a raczej denerwuje mnie wszystko, co zresztą wychodzi mniej więcej na to samo.

- Chciałbym jednak, jeśli pani pozwoli, pani Lenz, przeprowadzić z panią coś w rodzaju informacyjnej rozmowy.

- Przy czym raczej nie bądzie mi wolno nie zgadzać się na cokolwiek, a już zwłaszcza czegokolwiek zabraniać?

- W rzeczy samej widzi to pani całkiem prawidłowo, pani Lenz, choć może w sposób trochę uproszczony. Zawsze staram się nie być natrętny, mam też nadzieję, że zechce pani ze mną współdziałać. Proszę o to. Czy mogę wejść?

Johanna Lenz najwidoczniej posiadała umiejętność bezproblemowego reagowania. - Sądzę, że jeśli pan chce, może pan tu wejść zarówno za moją zgodą, jak i bez niej. Niech więc pan wejdzie.

Bachmeier nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Sztywno wkroczył do mieszkania i w tym wypadku dwupokojowego. Najpierw zaczął wdychać uwodzicielsko powabne wonie, najwidoczniej mające swoje źródło w rozrzutnie używanych perfumach albo w mydle lub innych kosmetycznych preparatach. Tym co go owionęło, były zawodowo\_luksusowe zapachy, które nie wydały mu się nieprzyjemne.

- Mogę chyba przyjąć, panie komisarzu, że życzy pan sobie rozmowy tylko ze mną. Skinął potakująco, choć z niejakim zdziwieniem. Przecież przewidziana była rozmowa informacyjna w cztery oczy, to zaś, co wyraziła owa osoba, choć zrobiła to ostrożnie, zabrzmiało niemal jak jawna oferta.

Wtenczas całkiem niespodziewanie dostrzegł dziecko siedzące w kącie. Przyglądało mu się wielkimi, pytającymi i mądrymi oczami. Niezwykle!

- To jest Irena, moja córka - wyjaśniła pani Lenz Bachmeierowi.

- A kto to jest? - natychmiast zapytało dziecko. - Jeden ze zwyczajnych gości, czy ktoś specjalny?

- To pan z policji i chce ze mną porozmawiać - wyjaśniła Irenie matka. - Może pobawiłabyś się tymczasem na korytarzu?

- Ale ja nie chcę! Nudzę się tam. Dlaczego nie mogę się przysłuchiwać? A może to znów coś nie dla małych dzieci?

- Mogłabyś też, jeśli chcesz, pójść piętro wyżej i odwiedzić naszego przyjaciela.

- To całkiem coś innego! - powiedziała ochoczo Irena. - Zrobię to! - Skinęła w stronę matki, jakby dodając jej odwagi, skinęła w stronę pana z policji, ale wyraźnie powściągliwiej. Potem wyszła.

Bachmeier popatrzył na nią, zamyślony nie mniej niż poprzednio. Zaczął też reagować jego odporny na różne sytuacje instynkt. Mogło więc to być wynikające z doświadczenia zwrócenie uwagi na coś jedyne w swoim rodzaju, a co mogło też doprowadzić do ważnych odkryć. - Pani córka Irena, to raczej niezwykle dziecko - stwierdził.

- Czy chce się pani dowiedzieć, dlaczego tak myślę, pani Lenz? Otóż dzieci, co wiem z praktyki, potrafią być niezwykle wrażliwe.

Jeśli są zaś mądre i jeszcze w jakimś stopniu nie wypaczone, jak zapewne jest i w tym konkretnym przypadku, to takie stworzenia zdolne są do postrzegania istotnych szczegółów, w sposób nieporównywalnie pewniejszy niż dorośli. U tych bowiem, mimo znacznego doświadczenia,

zdolności poznawcze bywają totalnie rozmyte.

- Czy powinnam się lękać, panie komisarzu, że zechce pan przesłuchiwać to dziecko?

- O tym, szanowna pani Lenz, nie ma mowy! Nasuwa mi się jednak myśl o swego rodzaju przepytywance, o wyjaśniającej rozmowie. Nie wynika to z żadnej reguły, nie jest jednak czymś nadzwyczajnym. Zależy od konkretnych okoliczności, od danych, którymi się dysponuje, od szczegółów każdej sprawy.

- Jeśli mogę o coś prosić, panie Bachmeier, a bardzo o to proszę, niech pan moją córkę Irenę wykluczy z tego rodzaju postępowania.

- Ależ oczywiście! Zapewniam panią, że naprawdę dobrze rozumiem pani niepokój. Nie przewiduję tego, chyba żeby zmusiły mnie określone okoliczności.

- Wówczas nie wykluczy jej pan?

- Niestety, szanowna pani

Lenz, w moim zawodzie nie ma niczego, co dałoby się wykluczyć. Nie powinno to jednak denerwować pani szczególnie. Ireną nie muszę zająć się zaraz, może nawet nie przez długi czas, a niewykluczone, że wcale...

- Tak więc zamierza pan najpierw zająć się mną?

- Nawet z wielką chęcią. -

Wiele sobie po tym obiecywał, oczywiście jako funkcjonariusz policji kryminalnej.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Tego kończącego się już dnia, były komisarz kryminalny Keller, ciągle jeszcze z należnym szacunkiem nazywany „wielkim starcem urzędu”, tkwił, jak zwykle, za

swoim biurkiem. Leżało przed nim setki karteluszków z notatkami. Były uporządkowane, powiązane w paczki, starannie oznakowane.

**Stanowiły materiał, którym  
właśnie się zajmował i to już od  
dwóch lat. Opracowywał kolejny**

ze swoich znakomitych kryminalistycznych podręczników. Tym razem na temat przestępstw seksualnych.

Miało to być jego trzecie wzorcowe dzieło, możliwe też, że ostatnie. Miało prezentować nową, imponującą syntezę praktycznych doświadczeń i naukowego poznania. Opierało się na całkiem niezwykłych taktycznych i technicznych doświadczeniach, dotyczących świadomie realnego wyjaśniania przestępstw. Pierwsza jego książka, dzięki której stał się znany całej policji jako naukowiec, kryminolog wysokiej rangi, poświęcona była ustalaniu przyczyn śmierci. Druga, pod tytułem „Wiktymologia”, traktowała o rozległej analizie. Keller zwykł mówić, o

„usiłowanej rozległej analizie”, ukierunkowanej na prawdy osobliwe, wielorakie związki między sprawcą a ofiarą, z przynależną do tego funkcją społeczeństwa łącznie.

To, nad czego koncepcją właśnie się trudził, a co miało nosić tytuł „Przestępstwa seksualne”, nawet jemu jawiło się najwyraźniej jako niezwykle wyzwanie. To w czym się zagłębił, było wyprawą do najbardziej mrocznych, nocnych rewirów człowieczych możliwości. Wskazywał na to i notes, zawsze leżący obok brulionu. Było tam napisane: „W kręgu przestępstw obyczajowych nie istnieją żadne dające się ustalić reguły. Tym samym nie jest możliwe udzielenie jakichkolwiek wiążących porad”.

W stosiku numer trzy, na prawo od niego, znajdowała się zapisana po brzegi kartka. Ona również zdawała się w pewnym stopniu wyjaśniać tego rodzaju stwierdzenie. Było tam zapisane: Przypadek 43, Kilonia. Sprawca powiedział: „Gdyby dziewczyna ta

poddała się mojemu pragnieniu seksualnego zaspokojenia, żyłaby jeszcze”. Pod tym: Przypadek 74, W~urzburg. Wypowiedź sprawcy:

„Dlaczego się nie broniła? To mnie sprowokowało i dlatego ona nie żyje”. Ów Keller, nazywany też „Kellerem od trupów”, był raczej człowiekiem niewysokim, niemal delikatnym. Siedział za swoim biurkiem podobny do gnoma. Był już bardzo stary, na twarzy miał głębokie zmarszczki, nie kojarzące się jednak z „myślicielem”, a chyba raczej z kasjerem bankowym, wytrwale zestawiającym swoje bilanse.

Keller nie był już tym, co w minionych latach stanowiło dlań rodzaj obowiązującego wyróżnika. Nie był „człowiekiem z psem”! Nie było już bowiem Antona, jego ukochanego, wyrozumiałego towarzysza wędrówek. Czarne jak smoła, kudłate, wspaniałe, przywiązane do niego stworzenie przestało już mu towarzyszyć.

Teraz był zupełnie sam, miał tylko siebie i swoje myśli, doświadczenia oraz przekonania. Żona zmarła przy porodzie syna, a syn ów, ledwie dorósł, nie przeżył drogowego wypadku.

Ich fotografie, pięknej, łagodnej kobiety, bystrego chłopca i osobliwego, demonicznego psa, stały przed nim, na biurku, w srebrnych ramkach. No, tak.

Wszyscy oni byli już nieżywi, ale dla niego nie umarli. Mieli żyć wraz z nim dopóty, dopóki on będzie żył. Był więc teraz sam, a jednak nigdy nie był samotny.

Miał swoje o nich wspomnienia, a przed sobą swoją pracę. Urząd nie zapomniał o nim. Także różni koledzy, jak choćby Wecker, Wachsmann i inni o nim nie zapominali.

Teraz jednak nic nie powinno  
było rozpraszać jego uwagi. Ani  
nikt. Absolutnie więc nie  
niepokojony, mógł zajmować się

swoimi zgromadzonymi notatkami. Wyszukiwał takie, które dawały się uszeregować w jakiś logiczny sposób, przy czym niekiedy zdawało mu się, że jest rybakim na martwym morzu. Jednak nawet to nie irytowało go od dawna.

Zapisał: „W odniesieniu do tego rodzaju przypadków nie można określić żadnych wiekowych ograniczeń! Sprawcami mogą być zarówno dzieci, jak i starcy. W tej samej mierze dotyczy to ofiar. Wszyscy mieszczą się w przedziale wieku między drugim, a dziewięćdziesiątym rokiem życia.”

Za zbioru numer 7 wyjął następną notatkę: „Udział kobiet winnych tego rodzaju przestępstw, jak to stwierdzają istniejące statystyki - jeśli można im zaufać - wynosi niewiele ponad jeden procent i to we wszystkich uwzględnionych dziedzinach. W przeciwieństwie do tego można przyjąć, że co czwarte lub piąte dziecko płci żeńskiej było ewidentnie nadużywane seksualnie. Najczęściej przez ojców albo ojczymów.”

Uporczywie rozgłaszana legenda o ponoć wałęsających się wszędzie lubieżnych starcach, okazała się zaś ewidentną, fatalną pomyłką, niczym innym, jak tylko uparciem utrzymującym się błędnym założeniem. Jeszcze jednym, wśród wielu innych.

Potem Keller zajął się

zgromadzonymi przez siebie  
czterystu, czy też pięciuset  
przypadkami, które usiłował  
podać analizie. W tym przypadku  
szło o niemal groteskowo  
obrzydliwą galerię sprawców,  
którym udowodniono różnego  
rodzaju przestępcze czyny w tej  
dziedzinie, a którzy  
przynależeli do wszystkich, w  
jakikolwiek sposób wyobraźalnych  
społecznych klas. Tu można było,  
niejako mimochodem, wyrywkowo,  
odnotować choćby to: „Dyrektor

szkoły średniej, lat 32,  
przeprowadzał z powierzonymi mu  
uczennicami praktyczne zajęcia

seksualne. Udało mu się dowieść tylko cztery przypadki. Zakonnik lat 50, co najmniej trzydzieści sześć razy urządził w zakrystii pewnego kościoła intensywne oględziny ciała. Wachmistrz policji, 41 lat, w czasie oficjalnych przesłuchań prawdopodobnie przy każdej nadarzającej się okazji, dokonywał badania ciała. Niejakiemu profesorowi doktorowi S., chirurgowi udowodniono, że dwa razy zgwałcił swoje nieletnie pacjentki. Radca rządowy dr J., nieco powyżej czterdziestki, w ciągu niespełna trzech lat zainteresował się fatalnie drobiazgowo setką powierzonych mu dzieci płci obojga...”

I tak dalej i tak dalej. Wyliczankę tę, gdyby ktoś zapragnął, można było ciągnąć w nieskończoność. Efektem tego nie byłoby jednak nic więcej ponad to, co zawarte zostało w następującym stwierdzeniu: „W zasadzie nie da się wykluczyć nikogo jako sprawcy. Każde aktualne wyjaśnianie tego rodzaju przestępstwa musi rozpoczynać się od zera. Znaczne niebezpieczeństwo stanowią narzucające się przesady”.

Najważniejsze jednak było, że w dalszym przebiegu zdarzeń przy Germaniastrasse 175, powinien być uczestniczyć również komisarz kryminalny Keller. Tego jednak nikt spośród biorących w tym udział, nie był w stanie przewidzieć.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Jak jednak wyglądało to, co Bachmeier nazwał rozmową, do tego poufną i opartą na zaufaniu, a co odbywało się w mieszkaniu Johnny Lenz, można było sobie wyobrazić całkiem dobrze, choć nie od razu z wszystkimi szczegółami, które

miały się ujawnić.

Kompleks pierwszy, to Thomas Tatzler, którego chyba poznała? - Raczej pobieżnie. Spotykałam go okazjonalnie, najczęściej w sieni. - Czy rozmawiała z nim? Jeśli tak, to o czym? - Czasami. Zawsze ograniczało się to do kilku tylko słów. O niczym szczególnym. - Jakie odnosiła wrażenie? - Dobre i to wyraźnie. To był miły chłopiec, przyjemne stworzenie. Czy można więc rozumieć, że się spodobał? - Ależ tak. To był zdecydowanie ładny dzieciak. O ujmującym uśmiechu. W jakiś sposób, tak jest, pociągający.

Potem, przeszedłszy szybko do kompleksu numer dwa: - Erwin Tatzler, ojciec, dozorca domu. Jakże ma o nim mniemanie? - Niezbyt wysokie, co też zapewne

spotyka się z wzajemnością. Jednakże, jako dozorca domu, jest chyba pilny. - Człowiek uciążliwy? - Tak, coś w tym rodzaju. - Równie nieprzyjemny?

- Zależy co się przez to rozumie. Co najmniej ktoś taki jak szpicel. - Można go uznać za brutala? - Tego nie mogę powiedzieć. Niczego takiego nie zauważyłam. Mogę przypuszczać, że gardzi mną, zapewne ze względu na tak zwane koleje mojego życia.

Po tych słowach nastąpiła u Bachmeiera reakcja, niezwykle u niego rzadka, bo roześmiał się. Zabrzmiało to nawet dość serdecznie i chyba miało zasygnalizować, że nic co ludzkie, nie jest mu obce. Nie ma spraw, dla których nie znalazłby zrozumienia. Zwłaszcza w odniesieniu do tak efektownej kobiety.

Wyglądało na to, że nasza go  
określona śmiałość i  
doprowadziła do sformułowania  
pytania, w którym zabrzmiała  
drażliwa antycypacja. - Jak pani  
sądzi, co też u Tatzera mogło  
spowodować tego rodzaju

nastawienie? Swoista delikatność, czy też reakcja, taka jak u kopniętego psa, polegająca na tym, że chce ugryźć, a może raczej prymitywna zawiść dotycząca tak zwanego koryta?

- Naprawdę nie wiem, czy mogę widzieć to w takim uproszczeniu - powiedziała z niezwykłą rozważą Johanną. - Może idzie o całkiem coś innego, może nawet o bardzo silnie wpojona, skrajną, obyczajową świadomość albo coś w tym rodzaju. Czasami bowiem odnosiłam wrażenie, że być może, uważa się on za kogoś absolutnie czystego, a tym samym za przeciwnika tych nieczystych. A więc właśnie i tej nieczystej.

- To mogło być coś takiego - potwierdził Bachmeier, ciągle niezmiennie wesoły. - Jednak chyba nie w tym przypadku! - Był to wszakże pogląd, który, jak miało się okazać, oznaczał fatalną nieznajomość wielu pleniących się tu możliwości. Jednak ten, kto sądzi, że zawsze potrafi być rozważny i zawsze też mądrze myśli, nie dostrzega tak łatwo popełnianych przez siebie, nieuchronnych głupstw.

- W każdym razie teraz nastąpiło wypytywanie dotyczące kompleksu trzeciego, a więc Waldemara Wesendunga. - Co pani o nim sądzi? - Nie wiem co o nim sądzić. - Czy zabiegał o panią?

- On, o mnie? Dlaczego by? W jego oczach jestem z pewnością podstarzałą kobietą, choć zaledwie przekroczyłam trzydziestkę. - Bachmeier wiedział, że ma ona trzydzieści sześć lat, ale wyliczenie jej tego było niepotrzebne albo i niestosowne. - Czy odniosła wrażenie, że jeśli idzie o Wesendunga, to możliwe, iż charakteryzuje go szczególnie seksualna potencja? Co przecież nie jest karalne, ale z pewnością dobrze jest o tym wiedzieć. - W każdym razie,

panie komisarzu, ja tego nie wiem i wcale nie chcę się dowiadywać.

Wyglądało na to, że pan Bachmeier i pani Lenz rozumieją się dość dobrze. - Wszystko to przedstawia się bardzo ciekawie - zapewnił - ale praktycznie nie da się wykorzystać - zakończył chyba zasmucony.

- A czygóż pan oczekiwał ode mnie, panie komisarzu? - powiedziała z określoną gotowością wyjścia mu naprzeciw, możliwe nawet, że i do takiego bardziej prywatnego. Ostatecznie nie wydawał się jej niesympatyczny, a ona jemu najwyraźniej też nie.

- Teraz może pani uznać, szanowna pani, że dobrze rozumiem, dlaczego w stosunku do tego, co się tu zdarzyło, zachowuje pani rezerwę. Chyba i pani należy do tych ludzi, którzy usiłują żyć zawsze tylko własnymi sprawami oraz unikają obwiniania innych, żeby ich samych też nikt nie obwiniął. Postępuje pani tak właśnie, nawet jeśli dostrzegła pani, z tego co się tu działo, niejedno. Czego zresztą pani, jak sędzę, wcale też nie chciała dostrzec.

- I co również pan zamierza uszanować! Ale co potem?

- Musimy dać temu spokój, pani

Lenz! Przejdź do innych realiów. Jeśli pani nie będzie potrafiła albo nie będzie chciała udzielić mi konkretnych informacji, może uda się to innej osobie, a mianowicie istocie, która nie jest jeszcze obciążona takimi i tyloma przesadami co pani, a również ja. Mam na myśli kogoś, kto jeszcze w niczym niezakłócony sposób wie, to co wie.

- Chyba znów nie chce pan zwrócić się z tym do mojej córki? Nie wystawię jej panu na sztych!

To się jeszcze zobaczy,

pomyślał. - Mówienie o „wystawieniu na sztych” wydaje mi się w całym kontekście niestosowne.

- Czy wolałby pan, żebym powiedziała, że to jest bezczelne?

- To też nie byłoby stosowne, szanowna pani Lenz. Gdyby bowiem miało dojść nawet do tego, ja będę tym, który porozmawia z pani córką. Ostrożnie, z dużym wyczuciem, co jest oczywiście zrozumiałe. Mnie można zaufać.

- Naprawdę mogłabym, panie

Bachmeier?

- W zupełności, pani Lenz!

Gdyby bowiem taka rozmowa, a nie jakieś przesłuchanie, okazała się nieunikniona, mogłaby pani oczywiście być przy niej obecna, i jeśli pani uznałaby to za potrzebne, wolno by pani było interweniować. Jest pani matką.

- Jako matka często czuję się bezradna. Szczególnie w tego rodzaju sytuacji.

- Nie powinna pani. Może też pani, jeśli zechce, wytypować jakąś zaufaną osobę, która strzec będzie interesów pani i jej córki. Czy nie jest to propozycja do przyjęcia?

Była taka. Wyglądało na to, że Johanna Lenz akceptuje to i już nie jest tak bardzo przeciwna poddaniu córki indagacji. - Jeśli wolno mi będzie zaprosić człowieka, który pomoże mi ochronić nasze interesy, to czemu by nie?

Komisarz zaczął spieszenie doszukiwać się, co też mogła znaczyć ta przychylność, potrafił bowiem domyślać się różnych kontekstów. Poza tym miał bardzo dobrą pamięć, która tym razem spowodowała, iż miał przed oczyma dokładny plan zasiedlenia tego domu.

- Przed naszą pogawędką odkomenderowała pani gdzieś swoją córkę, co jest dla mnie zrozumiałe. Wówczas powiedziała jej pani, że może pójść do

jakiegoś przyjaciela, piętro wyżej. Irena zgodziła się chętnie. Kto jest tym przyjacielem?

- Niejaki pan Wecker.

Wtenczas Bachmeier pomyślał sobie: Jeszcze i to!

\*\* \*\* \*

Teraz mogłoby okazać się celowe rozpoczęcie tego rozdziału ostrzeżeniem adresowanym do czytelników wrażliwych, którzy nie życzą sobie kontaktu z szokującą dobitnością. W takim przypadku celowe byłoby pominięcie przez nich kolejnych stronic, aż do końca tego rozdziału, podczas gdy tu zaprezentowane zostanie tymczasem zdarzenie, którego nie wolno przemilczeć, które jednak nie musi być w całości przyjęte przez czytelnika, z wszystkimi szczegółami. Zgodnie z poglądami, które ostatnio obowiązują, obrzydlistwa te służą jednak pożądanej pełni usiłowań powieściowego przedstawienia i takich kryminalnych ewentualności. Oczywiście sporą tego część można przedstawić, jak się to mówi, w skrócie. To więc, co mogłoby uchodzić za ogólną informację, daje się opisać mniej więcej w ten sposób: W trakcie rozmowy przytoczonej w dalszym ciągu powieści, rozmowy, którą miał możliwość przeprowadzić indywidualnie inspektor kryminalny Gutbrod, zastosował on własną, oryginalną, niezwykle brutalną i bezwzględną metodę przesłuchania. Przez to udało mu się wzniecić strach. Błady, rozdygotany, nieprzemijający strach, który ogarnął Waldemara Wesendunga.

Tam, w dwupokojowym mieszkaniu

Waldemara Wesendunga rozsiadł  
się teraz inspektor kryminalny  
Gutbrod, przyczajony, jakby  
gotujący się do skoku. W jego

głosie pobrzmiwała łowiecka dziarskość. W końcu został przecież, jak sobie myślał, wyposażony przez komisarza we wszelkie pełnomocnictwa. Uznał, że ma wolną rękę.

Jeszcze raz, niemal po raz ostatni, Wesendung podjął próbę zaprezentowania się jako filozof. - To, co się tutaj stało, można niewątpliwie uznać za dzieło Szekspira, pełne szaleństw i powikłań splecionych w sny, taniec i śmierć, nawiedzonych przez bóstwa i demony! Czy pan też tak to odczuwa, panie inspektorze kryminalny?

- Niech mi pan oszczędzi tego rodzaju paplaniny. To chyba miała być taka elitarna wydumka?

- zareagował z zawziętą satysfakcją. - Mnie to nie bawi.

- A więc - Wesendung ciągle zabiegał o zrozumienie - chce pan, panie Gutbrod, wdawać się w interpretowanie zawsze przecież możliwych, wspaniałych przejawów szlacheckich porywów, na przykład takich, które dotyczą miłości między dwojgiem ludzi, a która może zjawiać się i przemijać, która może jawić się jako nikła nadzieja, ale i też jako piękna, czysta, tkliwa skłonność. Czy jest to panu obojętne?

- W zupełności, mój panie! Co też mnie, funkcjonariusza kryminalnego, mogą obchodzić takie kondensaty mąjącego umysł pięknoduchostwa? - Efekt był taki, że Wesendung aż się skulił. - Tym o co tutaj idzie, są fakty. A przedstawiają się tak:



Znaleźliśmy nieboszczyka. Teraz odnaleźć mamy sprawcę jego śmierci. Ktoś, kto miał i sposobność, i motyw.

- I przy tym patrzy pan na mnie? - powiedział niespodziewanie rozbawiony Wesendung.

- A na kogo też miałbym patrzeć? - Gutbrod zaśmiał się

ochryple i wesoło. - W tym pomieszczeniu jest pan jedynym, na którego mogę patrzeć. - Tu nastąpił stosowny, policyjny żarcik: - Ale też pan jest i tym, który wchodzi w rachubę.

- Ja? - Wesendunga ogarnął raptowny przestrah, który szybko ustąpił miejsca obronnej reakcji. - To pomyłka. To fatalne podejrzenie. Powinien się pan głęboko zastanowić.

Proszę...

- Ach, człowieku, panie

Wesendung! - Ciągle jeszcze było to grzeczne, przynajmniej jeśli idzie o formę, w jakiej się zwracał. - To moja sprawa, na co sobie pozwalam. Za to odpowiadam ja i chcę też odpowiadać. Za to jednak, na co pan sobie pozwolił, poniesie odpowiedzialność pan. Będzie pan musiał odpowiadać.

- Ja? Dlaczego ja?

- A co, może pan nie wie? Nie chce pan nic o tym wiedzieć? Robi pan uniki, nie wykazuje pan chęci do konstruktywnego współdziałania, które mogłoby poprawić pańską sytuację, no, możliwe, że trochę. I dobrze, człowieku, panie Wesendung! Jeśli koniecznie mnie pan zmusza - a widział, jak tamten miota się niby ryba w sieci - wyrażę się chyba jednoznacznie.

To, co nastąpiło potem, nie pozostawia nic do życzenia, jeśli idzie o dobitność. - A więc! Dlaczego pan tego chłopca, to dziecko pierdolił?

- Co pan powiedział? -

Wesendung sprowokowany pytaniem poderwał się ogarnięty gwałtownym oburzeniem, które nie ustąpiło i potem. - Chyba się przesłyszałem! Dlaczego pozwala pan sobie na takie oskarżenia?

- Ja, szanowny panie Wesendung

- zwracanie się do niego per „szanowny pan”, zdawało się sprawiać Gutbrodowi określoną przyjemność - nie pozwalam sobie na nic. To pan jest tym, który

najwyraźniej pozwolił sobie na coś. Uwzględnię jednak, że przywiązuje pan wagę do tego, żeby uchodzić za pięknoducha. Dlaczego zależy panu na tym, wiedzą chyba tylko bogowie, bo ja nie wiem, ale nie powiem już, że rozpruł pan tyłek temu chłopcu i tylko stwierdzę co następuje: Pan utrzymywał z tym dzieckiem stosunki płciowe, a więc nadużył je pan. Zgodnie z prawem jest to karalne.

- Wypraszam sobie takie oskarżanie mnie! - Wesendung zauważył, że tamten przygląda mu się z uśmiechem i dlatego pozwolił sobie na pytanie, wcale nie równoznaczne z ustępstwem: - Jak pan na to wpadł?

- Jak, szanowny panie

Wesendung? - Gutbrod rozparł się wygodniej, zareagował też z bezlitosną satysfakcją. - Wynika to z sądowolekarskich ustaleń. - Nie było to zgodne z prawdą, gdyż do tego rodzaju urzędowego stwierdzenia doszło w następnym dniu. Potwierdziło ono zresztą wszystkie szczegóły, które były tu tylko zuchwałą antycypacją:

„Dotkliwe okaleczenia odbytu, ślady krwi i spermy. Są to jednoznaczne symptomy gwałtownie dokonanego współżycia płciowego”.

- To okropne, ale ja nie miałem z tym nic wspólnego! Ja nie!

\*\*                      \*\*                      \*\*

Niemal w tym samym czasie były komisarz kryminalny Keller niezmiennie i niezmordowanie siedział za swoim biurkiem. Teraz był jednak niespokojny i niezadowolony. Pojawił się bowiem znów kryminalistyczny problem, który trapił go ciągle, od wielu lat. Sam nazwał go „czynnikiem ludzkim”. Pojęcia tego nie można było znaleźć nigdzie, nie występowało w żadnych książkach, periodykach i skryptach, a już w ogóle nie w służbowych instrukcjach, rozkazach i meldunkach.

Sformułowania tego unikano konsekwentnie, można nawet było powiedzieć, że wszędzie je negowano, co też nie było niezrozumiałe. Wprowadzenie bowiem do kryminalnej codzienności jeszcze i owego „ludzkiego czynnika” było niebezpieczne.

Tutaj szło wyłącznie o fakty, zjawiska, stwierdzenia, o dające się wykorzystać przesłuchania, o opierający się na rezultatach dochodzeń obiektywizm. Po obu jednak stronach występowali ludzie, a to narzucało subiektywizm. A więc oczywiste, wyraźne, dające się stwierdzić rozgraniczenie między kryminalistami a kryminologami, między ofiarami a sprawcami, nie jest w pełni możliwe, wskutek czego istnieją występujące zawsze uprzedzenia, niezrozumienie, zaprzeczenia, wypieranie się, pozory i mamienie. Co ważne też, prawie zawsze polegające na wzajemności.

Keller sporządził teraz notatkę, która miała trafić na jeden z jego stosików: „To co ludzkie, możliwe jest zawsze. To co nazbyt ludzkie, nigdy nie bywa odległe. Chyba nie da się tego zmienić, ale trzeba o tym wiedzieć i przypominać w decydujących chwilach”.

\*\*                      \*\*                      \*\*

- A więc nie miał pan z tym nic wspólnego? Kto wobec tego mógłby jeszcze wchodzić w rachubę? Niech się pan zastanowi ponownie, panie Wesendung. Choć trochę. W każdym wypadku nie można zwalić tego na Tatzera. Coś takiego, żeby to ojciec nadużył syna i to seksualnie, jest w historii kryminalistyki prawdziwym wyjątkiem. Ewidentni homoseksualiści bardzo rzadko są też zdolni do funkcjonowania w roli ojców rodzin. A że Tatzer, jak należy stwierdzić, za takiego ojca uchodzi, nie można

go tym samym brać w rachubę.

Kogo więc? Jak pan myśli?

- W każdym razie w tym domu są tuziny męskich osobników o najróżniejszych skłonnościach.

- Do czego pan zmierza

Wesendung, panie Wesendung? Może pije pan do któregoś z lokatorów z pierwszego albo drugiego piętra, tak często zmieniających mieszkanie? Możliwe, że Turka albo Włocha? Tutaj zameldowany jest nawet Grek, a o nich już w starożytności mówiono, że oni z chłopcami... Niech mi pan z tym nie wyjeżdża! W każdym razie na nich nie wskazuje nic. Jeszcze mogłoby się okazać, że próbuje pan też zrobić aluzje pod adresem tamtego starszego pana z piątego piętra. Nazywa się Wecker. Czy i on miałby być podejrzany?

- Ale dlaczego akurat mnie przypisuje pan coś tak okropnego?

- To również chętnie wyjaśnię panu, panie Wesendung. Kiedy rozmawiamy tu sobie w tak naprawdę interesujący sposób, około tuzina funkcjonariuszy - a było ich czterech, więc i tak sporo - zbiera wszystkie dające się ustalić detale dotyczące mieszkańców tego domu. Mają polecenie, żeby niezwłocznie zgłaszać wszelkie prezentujące się negatywnie szczegóły. Już się ujawniły nader godne uwagi detale.

- Dotyczące mnie?

- No, a kogo, panie Wesendung?

Zgodnie z potwierdzającymi się ustaleniami, jako sprawca, przede wszystkim wchodzi w rachubę pan. Do takich ustaleń należy na przykład wzmianka, że w tym domu, całkiem publicznie, bo z pomocą napisu w windzie, został pan nazwany „dzieciojebcem”. To już chyba jest jednoznaczne! A może pan nie zauważył tego dobitnego określenia?

- O tym nie wiem nic! -

Wesendung pozwolił sobie na to

stwierdzenie wykrzesawszy z siebie, choć z pewnym trudem, irytację. Był to jeszcze jeden błąd, bo właśnie owo zaprzeczenie, mimo, że o tym wcale nie wiedział, tylko niewiele godzin później mogło być uznane za udowodnione kłamstwo, w urzędowym języku nazywane „usiłowaniem wprowadzenia w błąd”. W każdym razie teraz odważył się na to, by oświadczyć wykrętnie: - To dzieło wrogów, zawistników, oszcerców, a z pewnością i tych osób, które chciały uwagę odwrócić od siebie. Im powinien się pan przyjrzeć!

- Naszej uwagi nie uchodzi nic, ale też nie dopuścimy, żeby ktoś, a już szczególnie pan, panie Wesendung ją odwracał. Ostatecznie można pana uważać za takiego czy innego, byle nie za nie zapisaną kartę.

- Kim więc jestem?

- Powinien pan wiedzieć, że jesteśmy bardzo skrupulatni. Nie pomijamy raczej niczego i dlatego z czystej zapobiegliwości poprosiliśmy naszych kolegów z wydziału obyczajowego o informację, czy w czasie wertowania akt nie pojawiło się pańskie nazwisko.

- Moje nazwisko? Tam - zapytał z dławiącym go niedowierzaniem.

- No tak! Ono rzeczywiście jest tam zarejestrowane w związku z jakąś obławą przeprowadzoną w poszukiwaniu przestępców seksualnych po usiłowanym gwałcie niedawnej nocy. Dobierali się do jakiegoś chłopca. Jest więc pan zarejestrowany, choć jakby mimochodem. To są żmudne, drobiazgowo przedsięwzięcia, ale w końcowym efekcie bywają skuteczne. Tam jeden kamyczek mozaiki przykładą się do drugiego.

- To już totalny obłąd, bo są to co najwyżej spekulacje, nie mające wartości dowodu.

- Chciałby pan, żeby tak było?

- Nawet jeśli było tak rzeczywiście, Gutbrod nie czuł się zobowiązany do potwierdzenia tego. - Faktem jest, że ponad wszelką wątpliwość stwierdzone zostały pańskie nieobyčajne stosunki z małym Tazerem. Można to udowodnić. Na tę okoliczność jest świadek, a to zupełnie wystarczy. Jeśli uda się znaleźć jeszcze jednego, nie uniknie pan wyroku!

- To jest polowanie z nagonką!

- wykrzyknął Wesendung dygocąc jak postrzelony zwierz. - A może powinienem powiedzieć, że doszło tu do horrendalnej pomyłki? - Ostatkiem sił próbował się wymknąć. - Nawet gdyby zdarzyło się coś, co stwarzałoby tak z gruntu fałszywie interpretowane pozory, to mogłoby to wynikać z czystych, serdecznych pobudek. Oczywiście, potraktowałem sprawę teoretycznie i nie przyznałem się więc do niczego. Proszę zwrócić na to uwagę. Gdyby jednak, powtarzam, gdyby pańskie przypuszczenia odnoszące się do zdarzeń intymnych miały okazać się trafne, to jak pan myśli, co z tego wyniknie?

- To przesądzi o wszystkim.

Będzie stanowić motyw zbrodni. Podły, obrzydliwy gwałt na nieletnim.

- Mój Boże, to wprost straszne! W co ja się wplątałem - stwierdził z dławiącym niepokojem Wesendung. Potem jednak celowe wydało mu się przejście do ostrożnej poufalskości. - Pan chce mnie zaszokować, powiedzmy. Może też pouczyć. Możliwe, że i wskazać, w jaki też sposób mógłbym wydostać się z tej pułapki? - Wpatrywał się błagalnie w Gutbroda.

- Nie widzę dla pana prawie żadnej szansy - stwierdził bezwzględnie inspektor. - Zgodnie z tym, co tymczasem wyszło na jaw i na ile sam

jestem fachowcem znającym się na rzeczy, pańska wina jest udowodniona.

Wesendunga naszła bezsensowna raczej, ale gwałtownie ekscytująca myśl, żeby rzucić się na inspektora. Było to pragnienie, które jednak szybko zgasło, bo uznał, iż jest możliwe, że ów policyjny buhaj właśnie na to czeka. Wkrótce też ogarnęła go konsternacja, która szybko przeobraziła się w coś więcej, bo w blady, paniczny, nieprzewycięzalny strach.

Wesendung poczuł się jak osaczony, ranny, wpędzony w ślepy zaułek zwierz. Był łownym zwierzęciem, ale jednak takim, które wciąż pragnie się bronić, gotowe jest do ucieczki i szuka wyjścia. Jakież przecież musi istnieć, on zaś musi je znaleźć. Ale jakie?

\*\*            \*\*            \*\*

Kiedy Johanna Lenz jako tako przetrwała rozmowę z komisarzem Bachmeierem, poszła odszukać córkę Irenę. Wiedziała, gdzie można ją znaleźć; piętro wyżej, w mieszkaniu Adalberta Weckera.

Po przyjaznym powitaniu poproszono ją, by weszła. Wecker zaprowadził ją do swojego gabinetu, gdzie na podłodze siedziała Irena trzymając przed sobą rozłożoną książkę.

- Oglądamy obrazki. I to jakie! - zawołało dziecko do matki. Określenie „oglądamy obrazki” nie spodobało się jej, zapewne ze względu na szczególne doświadczenia, będące jej udziałem.

Córka jednak niezwłocznie

wyjaśniła w czym rzecz. - To  
obrazy niejakiego Feiningera! -

Była wyraźnie podekscytowana. -  
A wiesz, co on zrobił? Normalne  
landszafty, ale i domy, nawet  
kościół porozdzielał po prostu  
na kwadraty, prostokąty, w ogóle  
na kanciaste formy, a do tego  
pomalował je nieprawdopodobnymi  
kolorami. Tam już nic się nie

zgadza, nie jest takie jak w naturze, a jednak zgadza się wszystko! Pan Wecker  
mówi, że oddaje to istotę rzeczy.

- Irena prawidłowo rozpoznała to co najważniejsze w owym plastycznym wyrazie. Jest  
przecież mądrym, żywym dzieckiem, wyposażonym w osobliwy dar postrzegania.

- Jestem taka - powiedziała

Irena nie bez zarozumiałstwa.

- Jesteś, ależ tak! - powiedziała ostrożnie matka. - Tylko czasem wydajesz mi się trochę  
na swój wiek za mądra. Nie wiem, czy to dobre. Czy i pan odnosi takie wrażenie, panie  
Wecker?

- Nie odnosi! - O tym Irena była przekonana. - Rozumiemy się oboje, prawda?

- Ale teraz, moje dziecko, ja chcę porozmawiać trochę z panem Weckerem. Musisz to  
zrozumieć. Proszę.

- Oczywiście! - Irena okazała spontaniczną gotowość. - Nawet jeśli to znowu znaczy, że  
będę musiała sobie pójść. Gdzie mam się teraz bawić? Znowu w sieni?

- Nie tam, moje dziecko. Idź do naszego mieszkania. Spróbuj też zrozumieć, że nie chcę  
obciążać cię niepotrzebnymi problemami. Myślę, że odpowiada to zdaniu pana Weckera.

- Zgadza się? - zapytała Irena.

- Tego, moje dziecko, nie wiem. Jeszcze nie. - Starał się przemawiać łagodnie. Zwrócił się  
do Johanny: - Czy mogę zapytać panią, pani Lenz, o czym chce pani ze mną pomówić?

- O rozmowie, którą przeprowadziłam z panem komisarzem kryminalnym Bachmeierem.

- Co stanowiło jej treść? -

Natężył uwagę.

- Nic, co dałoby się wyraźnie określić, panie Wecker, ale znalazł się tam pewien drażliwy  
punkt. Pan Bachmeier zamierza postawić i dalsze pytania, ale

tym razem Irenie.

- W tym przypadku - połapało się natychmiast sprytnie dziecko - wasza rozmowa chyba  
mnie obchodzi. A może nie?

- Może tak być, a może nie być. - Wecker usiłował patrzeć na obie, matkę i córkę  
równocześnie. - Czy będzie drażliwa albo i nie, tego dowiemy się dopiero wówczas, kiedy  
padną pytania. Zależy to też od tego, w jaki sposób się je sformułuje.

- Mimo to - powiedziała stanowczo Johanna - mogą one wywołać u dziecka mętlik i  
niepotrzebny niepokój. Mogą mieć skutki podobne do wstrząsu...

- To nie u mnie! -

Zainteresowanie Ireny było nie pohamowane. - Jeśli ten pan Bachmeier chce się czegoś dowiedzieć, to czemu nie miałabym mu tego przekazać? Ostatecznie widziałam tutaj to i owo. Dokładnie mówiąc, całą masę rzeczy.

- Proszę cię Ireno, nie pleć głupstw! Opanuj się. Co byś też miała wiedzieć o tym wszystkim, co tu się działo. Co mogło się dziać.

- To nie głupstwa! Wiem co wiem!

- Możliwe, że powinnaś opowiedzieć co nieco najpierw nam, swojej matce i mnie, o tym co widziałas. Co ci się zdaje, że widziałas - wmieszał się ostrożnie Wecker.

- Czy to konieczne? - zapytała szczerze zatroskana Johanna Lenz. - Czy to potrzebne?

- Możliwe, że jest to właśnie pożądane. Żebyśmy wiedzieli choćby ogólnie, na co się przygotować.

- Ależ proszę pana, panie

Wecker! Takie dziecko nie jest wcale zdolne zrozumieć tego, o co tu idzie.

- Robisz błąd! - stwierdziła z całym spokojem Irena. - A więc, panie Wecker, jak pan myśli, od

czego mam tam zacząć? Czy zaraz od tłustego kasha? Widziałam przecież, nie raz, jak Thomas ściskany był przez tego Wesendunga.

Johanna wyglądała na wyraźnie wzburzoną i gotową do ingerencji w tę rozmowę, żeby ją przyblokować. Wecker popatrzył na nią natarczywie i pokręcił głową. Było to ostrzeżenie, którego głęboki sens zaczęła pojmować już w najbliższych minutach.

Adalbert przysiadł się do Ireny, co uznała za pochlebne zainteresowanie się jej osobą, a więc odniosła wrażenie trafne. Taki miała zamiar. - Istnieją różnice, które trzeba zauważać - powiedział. - Choćby taka:

Między tym, co się zdaje komuś, że widział, a co zdarzyło się rzeczywiście. To niekoniecznie musi być równoznaczne.

- Ależ oczywiście, rozumiem to. Z tym co chciał pan powiedzieć jest tak, jak z obrazami Feiningera, które mi pan pokazywał. - Okazało się więc, że nie było to przypadkowe.

- Właśnie na to trzeba zwracać uwagę, kochana Ireno. Nic bowiem nie da się przejrzeć tak sobie, po prostu.

- Tak może z tym być, zwłaszcza jeśli pan to mówi - przyznała Irena, ale nie dała zbić się z tropu. - Jednak to co tam widziałam, przecież jednak widziałam! Nie było to takie subtelne, jakby to namalował Feininger, ale bardziej bezpośrednio. Jak fotografia. Tamten obmacywał go i to jak!

- Przestań, proszę - upomniała ją bardzo już zaniepokojona matka. - Co za ordynarne słowa! Gdzie ty się tego nauczyłaś? - Mówiła przez to, że od niej w każdym razie nie i to też chyba się zgadzało.

- Co tu ordynarnego. Takie to jest i tak się o tym mówi. Takie słowo, jak owo

„obmacywanie”, w żadnym wypadku nie należy do wokabularza mieszczącego się w kręgu kryminalnych przesłuchań. Jest to żargon, który powinien być wykluczony urzędowo. - Raczej wypada powiedzieć, że tamci dwaj świadczyli sobie wzajemne czułości - wtrącił się Wecker.

- Ależ nie! To co tam robili w piwnicy, koło drzwi garażu, dokładnie tam, gdzie znaleziono Thomasa, szło o wiele dalej! - Irena starała się wszystko szybko wyjaśnić.

- Widziałaś więc - Wecker ostrożnie ważył słowa - dwóch męskich osobników tulących się do siebie. Nie szło przy tym o jakieś szczególnie piękne, przyjacielskie, ufne gesty. Nie trzeba jednak koniecznie myśleć o tym źle, bo to jednak mogło być coś takiego.

- No to muszę teraz powiedzieć bardzo wyraźnie! - Irena stwierdziła to z całą powagą i niejakim, nie zamierzonym zdziwieniem. Czuła chyba, że się jej nie docenia. - Tamci dwaj ściągnęli spodnie. Tak jest. No, jeśli to nie było jednoznaczne, to czego jeszcze trzeba?

- Nawet przy tym wszystkim może to oznaczać pomyłkę ze strony przypadkowego obserwatora. - Wecker zgłosił tę wątpliwość, żeby wyczerpać wszystkie możliwości zdolne skłonić to uparte dziecko do namysłu. - Czasem przecież ściąga się ubranie ze względu na temperaturę, podwija się wówczas rękawy, rozpina koszulę i tak dalej. Oczywiście mogło to być nieco dwuznaczne, ale nie musiało zaraz znaczyć zbyt wiele.

- Ależ co! - Irena, jak na to wyglądało, postanowiła nie dać się zbić z tropu. - Oni nie chcieli nic innego, jak tylko, no, no, chyba już pan wie! A Thomas wcale nie okazywał niechęci. W każdym razie, ten dobry chłopczyk, podobnie jak

zawsze, zainkasował dwadzieścia marek.

- Trochę wolniej, Ireno! Jedną kwestię powinnaś potraktować nieco dokładniej. Tę z dwudziestu markami. Co widziałaś w rzeczywistości? Możesz potwierdzić, że byłaś obecna przy wręczaniu pieniędzy? Tego chyba nie możesz. A może Thomas opowiadał ci o tym? Jeśli tak było, praktycznie znaczy to tyle, co nic. Tym samym ważysz się mówić coś, czego w żaden sposób nie zdołasz udowodnić. Tak więc to może zupełnie wystarczyć do tego, żeby odebrać ci całą wiarygodność. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

- Doskonale, panie Wecker! -

Irena zareagowała z uwagą i skupieniem. Uczyła się zaskakująco szybko, w czym nie było nic dziwnego, skoro miała takiego, jedyne w swoim rodzaju nauczyciela. - Uważa pan, że nie powinnam więc wdawać się w domniemania, a tylko trzymać się faktów. A jeśli już coś mówię, to tak ostrożnie, jak to tylko możliwe. Żeby nikt nie mógł powiedzieć, że ta mała wysysa coś z palca. Kto kłamie raz, kłamie zawsze! Taka jest prawda?

- Tak, właśnie taka, Ireno - zapewnił Wecker bardzo poważnie i nie bez uznania. Johanna uśmiechnęła się do niego z wdzięczną ulgą, ale zrobiła to nieco przedwcześnie, bowiem zaraz nastąpił skrajnie drastyczny punkt, do którego nawet Wecker zdawał się podchodzić z najwyższą niechęcią. - Chciałbym, żebyś wyjaśniła mi coś, Ireno, oczywiście za zgodą matki.

Widziałaś więc niejedno, o innym słyszałaś, bardziej czy mniej przypadkowo. Jak to jednak jest z tym: Czy kiedykolwiek możliwe, że bezpośrednio uczestniczyłaś w czymś takim? Namawiano cię do tego? A jeśli tak, to co z tego

wynikło?

- Panie Wecker, to są jednak pytania, na które nie pozwalam.
- Johanna zareagowała w zdecydowany sposób odmownie.
  - Ale dlaczego nie! - Irena wyglądała niemal na rozweseloną.
  - Ze mną nie można robić czegoś takiego, bo jestem całkiem dokładnie uświadomiona! Gdyby ktoś próbował czepiać się mnie, poszłabym sobie. I złożyła na niego skargę. W policji. Uczylałam się o tym.
  - To brzmi niezłe! - zmuszony był przyznać Wecker.
  - Czy myślał pan o mnie inaczej, panie Wecker? - zapytała Irena. - A może, mam nadzieję, było to tylko jedno z wielu pytań, żeby nie pominąć niczego?
  - Tak możesz o tym myśleć,

Ireno. - Adalbert zauważył, że Johanna, nareszcie odprężona, przyzwalajaco skinęła głową.

Tym samym Weckerowi udało się zapobiec sporej liczbie niepotrzebnych komplikacji. Teraz mogła zbliżyć się do Ireny działająca tu policja, nawet w osobie samego komisarza Bachmeiera.

Można było nie lękać się jakichkolwiek potknięć. A może jednak coś tam pozostało nie dostrzeżone?

\*\*            \*\*            \*\*

Kolejne sytuacje związane z dochodzeniem, ujmując je zwięźle i w sposób uproszczony, sprowadzając je do wspólnego mianownika, wyglądały mniej więcej tak:

Zdarzenie pierwsze, które nastąpiło, podobnie jak i następne, tego samego dnia: Komisarz Bachmeier pozwolił inspektorowi Gutbrodowi złożyć dokładne sprawozdanie z intensywnej rozmowy wyjaśniającej, przeprowadzonej z podejrzanym Wesendungiem. Sens był taki, że tamten udaje twardziela, ale jest typkiem bardzo chwiejnym.

Po czym zarządzono akcję zgodną ze stenem rzeczy.

Nakazano więc przeszukanie mieszkania Wesendunga. Obiektem tym zajęło się dwóch funkcjonariuszy śledczych. Zadanie swoje wykonali dokładnie i niemal w milczeniu.

Zabezpieczyli też przy okazji noszone przez Waldemara Wesendunga ubranie. On sam musiał włożyć inne rzeczy. Kiedy to się dokonało, wyprawiono go na korytarz, żeby nie przeszkadzał. Podczas gdy funkcjonariusze śledczy intensywnie, jak wynikało to z odgłosów, działali w jego mieszkaniu, on sobie stał. Samotny. Nie pilnowany przez nikogo.

Ogarniał go coraz większy strach. Dręczący i nieustępujący.

Dookoła tylko ściany zniszczone i odrapane. Nie widać nikogo, ani jednego człowieka. Czuł się jak banita.

Ciągle też, pogrążony w ponurych myślach, musiał pytać samego siebie: Co będzie teraz i co mógłbym zrobić, żeby tego uniknąć? Co mam robić?

\*\*            \*\*            \*\*

Zdarzenie drugie

Komisarz i jego inspektor, teraz znowu wspólnie, jak to normalnie powinno być w policji, nie chcąc pominąć nikogo i niczego, odwiedzili apartament. Pani von Senker była pełna ujmującej uprzejmości.

- Witam panów, moi panowie!



Proszę przy tym o wyrozumiałość, że zwrócę uwagę na moje prawa, tak jak panowie, przypuszczam, tego po mnie oczekiwali. Ale proszę, proszę, usiądźcie, czujcie się swobodnie. Czy mogę zaproponować panom dla orzeźwienia coś oczywiście bezalkoholowego. Jesteście panowie przecież na służbie.

- Czy to ma znaczyć - Gutbrod dość zdecydowanie wysunął się do przodu - że pani nie chce...

Bachmeier pohamował go niezwłocznie, do czego wystarczyło tylko krótkie spojrzenie. - Uprzejmie dziękujemy, pani von Senker! - Prezentował bardzo rzetelną, grzeczną policyjną poprawność. Nie bez rezultatu. - Jeśli pani pozwoli, proszę o szklankę wody.

Usiedli, niemal utonęli w ogromnych skórzanych fotelach; zaopiekowano się nimi uprzejmie. W wyszukanych, kryształowych szklankach dostali niegazowaną wodę, napój, którym Gutbrod się brzydził, a o czym Bachmeier wiedział.

Pani von Senker przysiadła się do nich. - Moi panowie cieszy mnie, że spotkałam tak niezwykle uprzejmich funkcjonariuszy. Tego rodzaju zachowanie się należy zapewne do owej aktualnej, demokratycznej linii, przyjętej przez naszą policję. Na tego rodzaju pocieszające, pozytywne dążenia zwrócił mi uwagę nasz minister spraw wewnętrznych. - Policja krajowa podlega jemu! Czy to dość wyraźne? Absolutnie!

- Całkiem niedawno wiedliśmy na ten temat prywatną, towarzyską rozmowę.

- To bardzo ładnie, że jest pani dla nas tak wyrozumiała. - Gutbrod wciąż jeszcze nie orientował się w sytuacji, czego zresztą można się było po nim spodziewać. - Mogłaby więc pani, nie tracąc słów, tym bardziej...

- Nie, pani von Senker nic nie musi! - Bachmeier wyjaśnił to tak jednoznacznie, że Gutbrod zaniemówił, przynajmniej na czas całej tej rozmowy. Skorzystał z tego komisarz.

- Pani von Senker wie o tym dobrze! W żadnym wypadku, jeśli nieobecny jest jej adwokat, nie jest zobowiązana do udzielenia odpowiedzi choćby na jedno, jedyne pytanie.

- A jest nim, musi pan wiedzieć, jeden z najlepszych. - Wymieniła nazwisko, które było

głośne jak grzmot. - Nawet premier, nawiasem mówić, korzysta z jego porad. W każdym razie dziękuję panu, panie komisarzu Bachmeier, dziękuję bardzo za przychylnie zrozumienie sytuacji. - Co zabrzmiało tak, jakby chciała dodać, że przy stosownej okazji zechce powiedzieć o tym komuś wpływowemu.

- To rozumiałe samo przez się, łaskawa pani! - Bachmeier bez skrępowania przepił do niej ze swojej szklanki mineralnej wody. Teraz i Gutbrodowi wydało się to nieuniknione i wypił trochę swojego, tak fatalnie smakującego napitku. Mocno się przy tym zakrztusił. Bachmeier kontynuował: - Idzie nam tylko o informacyjną rozmowę i to taką, która poinformowałaby panią! Tak też proszę, i tylko tak, powinna pani to widzieć!

Godne uwagi było, że owo tak rzadkie u tego komisarza kryminalnego słowo „proszę” pojawiło się już wielokrotnie. - Ostatecznie, zgodnie ze stanem rzeczy, nie ma pani oczywiście nic wspólnego z tamtym zdarzeniem. Tak pośrednio jak i bezpośrednio.

- Cieszy mnie, że tak pan to widzi, panie komisarzu kryminalny Bachmeier. - Pani von Senker, jakby celowo zaakcentowała jego stopień służbowy wraz z nazwiskiem. Chciała przez to zasygnalizować, że zapamiętała je sobie, co też zabrzmiało przyjemnie i nobilitująco.

- A jak posuwacie się do przodu, jeśli wolno zapytać?

- Nieźle, pani von Senker.

Interesuje to panią?

- Ależ tak, to oczywiste! -

Teraz czuła się wyraźnie wyzwolona od policyjnego nacisku. - Biedny chłopiec...

Jak to się mogło stać? Muszę też  
myśleć o owym, godnym  
współczucia, ciężko i wielokrotnie

dotkniętym ojcu. Trudno sobie wyobrazić, co też spotkało tego zacnego człowieka.

- Najwidoczniej ceni go pani, co też mogę zrozumieć. - Komisarz zademonstrował umiejętność wczuwania się w sytuację. - Czy mógłbym dowiedzieć się jakie są przesłanki takiego nastawienia?

- A więc, przede wszystkim, pana Tatzera bardzo cenię jako dozorcę domu. Trudno wyobrazić sobie kogoś lepszego, lubiącego porządek, bardziej uprzejmego niż on. Poza tym można by powiedzieć, jest on całkiem szczególną osobowością, taką, o której można rzec, iż jest prawdziwie niemiecka. W żadnym wypadku nie jest to ocena pejoratywna, choć dziś tak się to niekiedy interpretuje. On jednak, choć jest tylko dozorcą domu, najwyraźniej wie, co też znaczy duma i obowiązek.

- A jak uzewnętrznia się to z pani punktu widzenia? - zapytał bardzo delikatnie.

- Ale, ale, panie komisarzu! -

Zostało to powiedziane tak, jakby miało znaczyć: Czy chce mnie pan rozbawić? - Chyba nie powinnam teraz uznać, że jednak chce mi pan stawiać podchwytliwe pytania?

- Oczywiście, że nie, szanowna, łaskawa pani - zapewnił skromnie. - Miałem tylko nadzieję, że podda mi pani niejedną myśl.

- I uzyskał to pan, mój drogi panie komisarzu. - Wyglądało na to, że pani von Senker zamierza schować się w swoim ślimaczym domku, skorupce z pewnością pozłacanej. - Rozmawiam z panem chętnie, o tym mogę zapewnić, ale dalszy ciąg rozmowy musi być prawnie nadzorowany. - Co znaczyło, że bez adwokata nie powie już ani słowa.

- Sądzę jednak, że czegoś się dowiedziałem - zapewnił Bachmeier. I była to prawda.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Zdarzenie trzecie,  
chyba najważniejsze z wszystkich  
Doszło do niego późnym

popołudniem owego dnia, nieco po #/17#30, w chwili, w której komisarz i jego inspektor właśnie zaczęli się zastanawiać, czy na dziś nie zakończyć zajęć w domu przy Germaniastrasse 175.

Był to dzień przepracowany bardzo intensywnie, przepełniony problemami i niełatwym myśleniem. Teraz jednak, być może, należało zjeść wspólnie kolację. Zanim jednak wyszli z domu, a dotarli już do wyjściowych drzwi, podeszła do nich spiesznie pewna kobieta. Znana już obu, można rzec służbowo i jak się im zdawało, dostatecznie. Była to Barbara Binding. Stała im na drodze i nie dało się zrazu rozpoznać, czy udawała ważną, czy też poczuła się do tego zobowiązana.

- Zdaje mi się, że powinnam coś panom powiedzieć. - Barbara oddychała z trudem. - Stało się coś, czego chyba nie mogę przed panami zataić. Jeśli panowie sądzą...

- To ma czas do jutra - chciał się jej pozbyć Gutbrod. Bardzo wyraźne było jego pożądanie szklanki piwa, zwłaszcza po tamtej okropnej wodzie mineralnej u damy z apartamentu.

- Ależ tak! Nie musi to być teraz. - Zdawało się, że rozpedzona Barbara Binding poczuła ulgę. - Chyba pan wie, co mi radzić. Naprawdę nie chcę być natrętną, ani się do niczego mieszać. - Wyglądało na to, że się wycofuje.

Do tego nie dopuścił komisarz

kryminalny. Miał dość niezawodny instynkt i potrafił wyczuć to i owo, nawet jeśli nie wiedział, co też to miałyby być. Nie chciał popuścić. Nie mógł pozwolić sobie nawet na najmniejszy błąd, w każdym razie

nie w domu, w którym mieszka Wecker.

- Lepiej załatwmy to zaraz - rozstrzygnął Bachmeier. - Dysponujemy tu roboczym pomieszczeniem. - Odległe ono było, jak wiadomo, o kilka kroków od wyjściowych drzwi. Tam usiedli za stołem Binding i komisarz, ramię przy ramieniu. Gutbrod gotowy do sporządzania notatek, trzymał się na uboczu. Do tego rodzaju układu przywiązywano wagę, bo zgodnie z doświadczeniem wznagał gotowość do współdziałania.

- A więc, pani Binding, co się stało? Najpierw jednak chcę podziękować za zaufanie. - Był w tym ukryty wabik, wyuczony i wielokrotnie wypróbowany.

Barbara Binding zapewniła niezwłocznie, a zabrzmiało to szczerze, że wprawdzie nie robi tego chętnie, ale uznała to za rzecz istotną. Tak więc, jak spodziewał się Bachmeier, sprawa zdawała się być ważna.

Dla Gutbroda, który zaczął robić notatki, była to jakby zwykła rutyna. Nie rzucał się w oczy, zdawało się, że chwilami drzemie. Nic więc nie zwiastowało czającego się napięcia.

Teraz panna Binding zyskała na pewności siebie. Mogła zaufać wyrozumiałej zyczliwości obu funkcjonariuszy. Mogła się im zwierzyć.

Zacząła od tego, że ona, Barbara Binding miała wizytę Waldemara Wesendunga. Taki był wstęp numer jeden. Kiedy? Mniej więcej przed godziną. Gdzie? W jej mieszkaniu. Dopytano się, że czegoś takiego nigdy przedtem nie robił, nie usiłował, nie ważył się. To, że nagle stał się natarczywy, jest zaskakujące.

- Nie ma się chyba czemu dziwić - zauważył Gutbrod, a miało to ją, taki był zamysł, ośmielić. - Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę jego

przewrotne, podle usposobienie,  
które zwykł on przedstawiać jako  
wyraz elitarnych poglądów.

- Powiedzmy, że zdarzenie to nie jest samo w sobie niewytłumaczalne - uciał szybko i ostrzegawczo Bachmeier. - Jeśli też nawet, według pani Binding, której zdanie powinniśmy respektować, nie było to szczególnie taktowne, moglibyśmy i w takich okolicznościach doszukiwać się raczej czystych pobudek.

- Nie! Niestety nie! - powiedziała Barbara, która zapewne sama też pomyślała poprzednio o czymś takim. Żadne więc tam czyste pobudki! - Raczej już było tak, że ów Waldemar Wesendung - i był to jej wstęp numer drugi - usiłował bezwzględnie ją zaliczyć - stwierdziła teraz ze zgrozą - i to z pomocą bardzo brutalnych chwytów. Nie było nawet śladu jakichś subtelnym miłosnym bodźców.

- W końcu doszło potem z jego strony - kontynuowała Barbara Binding - do tego, że zgłosił jedyne w swoim rodzaju życzenie, którego właśnie nie mogę przemilczeć.

- To bardzo prawidłowa konkluzja. - Następnie jednak Bachmeier zaczął precyzować pouczająco i skutecznie swoje przekonanie. - Przemilczanie może zbyt łatwo przerodzić się w poplecznictwo, a nawet może być uznane za współnictwo. W każdym razie pani nie jest tak lekkomyślna ani niemądra, żeby wdawać się w coś takiego. Czego więc domagał się od pani?

- Po prostu tego, bo tak daleko faktycznie odważył się zająć, żebym zaświadczyła, iż całą ostatnią noc spędziłam u niego; mianowicie aż do pory przedobiedniej.

- A nie było tak, prawda? - W głosie Gutbroda pobrzmiwały triumfalne tony. - Zapewne też

zauważyła pani w samą porę, że nie jest w stanie o czymś takim zaświadczyć, bo po prostu to się nie zgadza. Ostatecznie mogła pani z nim spać i w tym samym czasie znaleźć zwłoki? Takim zeznaniem narobiłaby sobie pani całe mnóstwo kłopotów. To pewne.

- Tego jednak nie uświadomiłam sobie - zapewniła przekonywająco Barbara Binding. - Naprawdę nie. Staram się być szczerą.

W tym zawarte było potwierdzenie! Gutbrod spojrział znacząco na swojego komisarza. - No to mamy go wreszcie! Tego świńskiego mięczaka!

Bachmeier chciał jednak bardziej szczegółowo przyjrzeć się owej konstelacji, jako że potrafił sięgać myślą dalej. Niczego więc nie potwierdził, a tylko powiedział: - A więc, pani Binding, pewna osoba postawiła pani żądanie, które zostało przez panią zdecydowanie odrzucone. Było tak?

- Czy mogłam postąpić inaczej, panie komisarzu?

- Zapewne nie mogła pani. Do tej pory wszystko wygląda dobrze, pani Binding, czy jednak dość dobrze? - Bachmeier wiedział co mówi. - Nie jest dobrze, ponieważ powiedziała pani Wesendungowi, że zwróci się z tym do policji kryminalnej. Czy zapowiedziała pani to rozmyślnie?

- Tak. Uznałam to za stosowne!

Nie, żeby tak zaraz z poczucia obowiązku, ale chyba dlatego, że byłam oburzona obcesowością, z jaką postawił tę sprawę. Powiedziałam, że to mu się ze mną nie uda! Nie ma nawet najmniejszego prawa, żeby domagać się ode mnie czegoś takiego! O tym będę musiała, nie zwlekając, powiedzieć policji.

- Dziękuję, pani Binding. -

Komisarz kryminalny Bachmeier  
zaczął teraz działać  
zdumiewająco szybko. - Nie mam  
już pytań! Zapewniam panią

jednak, że postąpiła pani absolutnie prawidłowo. Teraz powinna się pani czuć wolna. Proszę jednak, choć robię to pro forma, żeby nie opuszczała pani mieszkania, mimo, że nie przypuszczam, żebyśmy pani potrzebowali.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Barbara Binding odeszła z widoczną ulgą. Komisarz odprowadził ją uprzejmie do drzwi. Potem, podekscytowany powiedział inspektorowi: - Teraz nie pozostało nam nic, jak tylko pójść do tego Wesendunga. Po niewielu minutach wyniknęło z tego wszystkiego zdarzenie czwarte. Tak nagle przez Bachmeiera ujawniony zapał udzielił się szybko Gutbrodowi, który uporczywie zadzwonił do drzwi „obiektu” będącego ich celem. Nie było reakcji. Przyłożył więc lewe ucho do cienkich sklejkowych płyt, które działały jak rezonansowe pudło. Nasłuchiwał. Z wnętrza nie dochodził żaden odgłos. Gutbrod miał taką minę, jakby chciał powiedzieć: Wszystko tu jak wymarłe! Jednak nie powiedział tego.

- No to naprzód! - z pewną niechęcią zakomenderował komisarz Bachmeier. - Otwierać! Gutbrod skinał głową. Zapobiegliwie przewidując, bo taki już był, posiadał właśnie tak zwany „uniwersalny klucz” pasujący do drzwi w całym budynku. Kazał go sobie dać Tatterowi. Mieszkanie okazało się nie zaryglowane od wewnątrz i do środka weszli bez komplikacji. Spiesznymi, celnymi spojrzeniami tropiciele dostrzegli, że zaciągnięte są okienne zasłony i świecą się lampy. Natychmiast zauważyli Waldemara Wesendunga. Wyglądało to tak, jakby przewrócił się o odrapany, świerkowy stół, który stał pośrodku większego pokoju.

Leżał z rozrzuconymi ramionami i wyprężonymi nogami. Był martwy.

- No, to chyba i gówno! - stwierdził patrząc na to Gutbrod. - Wymknął się nam. To całkiem podobne do tego podstępnego, przewrotnego typka!

Znacznie bardziej doświadczony komisarz cofnął się wykazując zrozumienie dla prawidłowej, kryminalistycznej taktyki. Jeśli to tylko możliwe, nie wolno było tu niczego dotknąć. Muszą się tym zająć fachowcy.

Przede wszystkim jednak Bachmeier chciał się dowiedzieć czegoś ważnego. - Czy nie widzi pan tu jakiegoś pisemnego oświadczenia? - Zostawianie czegoś takiego jest u samobójców utartym zwyczajem i zdarza się prawie zawsze.

- Jest! - Inspektor wskazał na blok korespondencyjny, który otwarty leżał koło zwłok. - Jest tu napisane: Jestem niewinny. - Niepożądany komentarz Gutbroda nastąpił teraz zbyt szybko: - No, jeszcze czego! On próbuje wyłgać się nawet zza grobu.

- Oczywiście - zauważył ostrożnie komisarz kryminalny. - Nie zdarza się to często, ale zawsze może się zdarzyć, że nawet jeśli te typki nie mają już żadnego wyjścia, pragną przynajmniej zachować twarz, choćby i po śmierci.

- W tym wypadku - stwierdził stanowczo Gutbrod - idzie o całkiem jednoznaczne, zdecydowane przyznanie się do winy, ucieczkę przewrotnego człowieka przed odpowiedzialnością. Uznać to też można jednak i za kapitulację wobec zebranych przez nas materiałów, które stawały się coraz bardziej kompletne, a do których dochodzą teraz najnowsze zeznania świadków. Ostatni cios zadała mu ta Barbara Binding, zapowiadając, że poinformuje policję o jego żądaniach.

- To można przyjąć. - Nie

oznaczało to jednak pełnej akceptacji.

- Było nie było, szefie - inspektor był bardziej optymistyczny - mamy teraz powód, żeby sprawę tę uznać raczej za wyjaśnioną. Tak jest, za zamkniętą.

- Nie, Gutbrod. - Jeszcze nie!

- Stary praktyk Bachmeier rozmyślał w dalszym ciągu. - Takie stwierdzenia też wymagają pewności. Kiedy dojdziemy do końca, będzie on musiał być całkiem bezbłędny. Nie jesteśmy tu sami.

Nawet jeśli miał na myśli Weckera, nie powiedział tego.

\*\*            \*\*            \*\*

Później, w związku z tym

wyjaśnieniem uznanym za ścisłe, miało wyłonić się zdarzenie piąte.

Komisarz i jego inspektor obejrzeliby teraz dokładnie zwłoki Waldemara Wesendunga, oczywiście nie dotykając ich. Zrobili to całkiem fachowo, choć brakowało im umiejętności posiadanych przez wszechstronnie wykształconego coronera.

Przeszli tylko kilka rutynowych kursów dokształcających, choć ani razu u owego legendarnego już komisarza Kellera.

Wyglądało jednak na to, że wystarczy tego, by dojść do konkluzji umożliwiających zamknięcie sprawy. - Niebieskawa piana w kącikach ust - stwierdził ostrożnie Bachmeier - co mogłoby wskazywać na to, że rozgryzł kapsułkę cyjanku potasu. To doprowadza do śmierci w ciągu niewielu sekund.

- To znana sprawa, szefie! -

Gutbrod praktykował potakiwanie.

- Tym samym nasuwa się pytanie, w jaki też sposób tak marny typiek zdobył tego rodzaju śmiertelny środek. Kto mu go dostarczył. Z pewnością jakiś szarlatkański czarownik. Jeden z tych, którzy uważają się za

postępowców. Podobno ostatnio jeden spośród owych notorycznych przyjaciół ludzkości, coś takiego przysyłał nawet pocztą. Takiego trzeba by się doszukać, prawda szefie?

- To nie my, mój drogi. To oczywisty przypadek dla nowo utworzonej komisji specjalnej numer trzy.

Komisja do spraw uchybień medycznych i nadużywania medykamentów z narkotykami włącznie, została, by nie zaniedbać niczego, powołana przy prezydium policji. Działający w niej funkcjonariusze skrzętnie penetrowali wszystko dookoła, niby dwa tuziny drzewnych czerwi w jakimś gigantycznym tartaku.

- No i pierwszorzędnie, że nie musimy obarczać się i tym jeszcze - zgodził się chętnie Gutbrod. - Możemy więc już kończyć.

- Tak z grubsza na to wygląda.

- Komisarz nie wyglądał jednak na takiego, któremu ulżyło. Patrzył przed siebie, na swoje zaplecione dłonie. Zarządzenia jego były jednak jasne i dokładne: - A więc, Gutbrod, najpierw trzy rzeczy, które pan załatwi. Po pierwsze:

Przydzieleni do nas dochodzeniowcy muszą zająć się tymi zwłokami oraz ich otoczeniem. I to natychmiast, żeby jeszcze dziś mogli dojść do jakichś ustaleń. Po drugie: sporządzi pan służbową notatkę, tak samo zwięzłą jak i wyczerpującą, a potrafi pan to znakomicie, dotyczącą szczegółów znalezienia zmarłego oraz związanych z tym okoliczności.

- Zrobi się, szefie! -

Inspektor był niemal uskrzydłony, gdyż słowo „znakomicie” nie uszło jego uwagi. Przybliżył się więc bardziej do jakże zasłużonego awansu do stopnia nadinspektora.

- A co po trzecie?

- Pójdzie pan do owej pani

Binding i zeznanie, które złożyła przed nami, ujmie pan w formie urzędowego przesłuchania. Z jej podpisem i pańską parafą.

- Przy tym, szefie, owej osobie nie powinienem chyba szepnąć choćby jednego słówka o tym, co tymczasem zmajstrował ten jej Wesendung?

- Cóż za pytanie, Gutbrod! - powiedział komisarz z celową oględnością.

- Rozumiem, szefie! - spiesznie zapewnił inspektor. - Protokolarnie ujęte zeznania pani Binding zostały złożone jeszcze przedtem! A więc nie wiedziała o tym, co zdarzyło się później. - Ostatecznie osoba ta mogłaby się przestraszyć i spróbować ewentualnych korekt. - Tak będzie dobrze, szefie?

- Dobrze, Gutbrod! - potwierdził jakby mimochodem. - Podczas gdy pan będzie załatwiał to wszystko, z wypróbowaną niezawodnością, ja będę musiał przedstawić to panu Weckerowi. - Zabrzmiało to tak, jakby chciał powiedzieć, że na nieszczęście nie będzie mu to oszczędzone. - Nie okaże się to chyba zbyt proste, ale niestety jest nieuniknione.

- Czy ma pan na myśli, szefie, tego Adalberta Weckera z piątego piętra? - Inspektor okazał pewne zdziwienie, objawiał też niecierpliwość i niezadowolenie. Czyżby rysowała się, akurat tak blisko już celu, jakaś zwłoka? - Czy to ten? Trudno sobie wyobrazić, że on jest kimś z kim mielibyśmy się liczyć.

- Pan wcióż jeszcze nie wie,

Gutbrod, kim on jest i co znaczy, co znaczył? Przy okazji napomykałem panu o tym. Czy nie dosłuchał się pan absolutnie niczego?  
Gutbrod, a widać to było po nim, niczego się nie dosłuchał. Zapewnił też odważnie, a zarazem skromnie: - Nie mam zielonego pojęcia.

- W każdym razie wychodziłem z założenia, że nazwisko Weckera nie jest panu obce.  
Radca kryminalny Wecker! Poprzednik naszego radcy kryminalnego Wachsmanna. - A więc niedysiejszy szef wszystkich specjalnych komisji.

- Ależ tak, szefie, tak!

Teraz, kiedy wymienił pan jego służbowy stopień, poczułem, że zadzwieczał mi jakiś dzwonek (Wecker, znaczy budzik - przyp. tłum.). - Zabrzmiało to jak dowcipasek, który jednak rozbawił tylko jego samego.

- Dość późno zorientował się pan - stwierdził komisarz, ale okazał mu pobłażliwość.

- Ależ proszę pana, szefie!

Jak mogłem wpaść na myśl, że to właśnie on zagnieździł się tutaj, w tym czynszowym ulu? Nazwisko Wecker może nosić wielu. W książce telefonicznej jest co najmniej tuzin takich nazwisk.

- No, niechby nawet było i pół setki! W kręgach naszej kryminalnej policji był tylko jeden Wecker. Niezapomniany.

- Słyszałem o nim, szefie, oczywiście! Mogłem wyobrazić go sobie jako emeryta wyższej, średniej klasy, mieszkającego, jak to zwykle bywa w naszym górnobawarskim kraju, gdzieś w jakimś wiejskim domu, nad jeziorem, ale przecież nie tutaj!

- Tak to jednak akurat jest,

Gutbrod! - Uniknął słowa „niestety”. - Nie da się go też pominąć.

- Naprawdę nie, szefie?

Przecież w końcu, nieprawdaż, nie jest on już od dawna w naszej policji kryminalnej.

- Coś takiego, dobry mój człowieku, nie rozplywa się tak sobie, po prostu - wyznał Bachmeier. - To raczej trwa dożywotnio. Ów zaś były radca kryminalny Wecker utrzymuje koleżeńskie stosunki nie tylko z naszym aktualnym radcą

kryminalnym Wachsmannem. Ma nadto być zaprzyjaźniony nawet z komisarzem kryminalnym Kellerem, tą naszą legendarną superznakomitością. Wszystko zgodnie z regułą: Być specjalistą w dziedzinie kryminalistyki, to pozostać nim na zawsze.

- Czy trzeba się czegoś obawiać, szefie?

- Nie, chyba nie. Mimo to nie powinniśmy zapominać, że w domu tym egzystuje pan Wecker!

\*\*            \*\*            \*\*

Podczas gdy inspektor kryminalny przystąpił bez zwłoki do wykonywania swoich zadań, komisarz kryminalny Bachmeier wiedział, że wizyta u Adalberta Weckera na piątym piętrze nie obejdzie się bez problemów. Powiedział też nadzwyczaj uprzejmie, niemal ulegle: - Jeśli pan tylko pozwoli...  
Pozwolono mu. Mógł wejść i usiąść. Wecker, bez słowa zajął miejsce naprzeciwko. Rozmowę wolno było zacząć Bachmeierowi. Zrobił to z pomocą niniejszych słów: -



Mam zamiar, panie radco kryminalny... - Nie zapomniał jednak poprawić się. - Przepraszam, panie Wecker, chcę powiedzieć, tak jak pan to zaproponował, a co mnie zobowiązuje. Mam zamiar... uważam za stosowne... poinformować pana!

- O czym, jeśli mogę spytać?

- O stanie naszego dochodzenia w sprawie, która miała miejsce w tym domu.

- Mój drogi panie Bachmeier, do tych informacji odnoszę się z szacunkiem. - Zabrzmiało w dalszym ciągu uprzejmie, choć dał się też słyszeć ton ostrzegawczy. - Rzeczywiście zaszczyca mnie w jakimś stopniu pańska przychylność okazywana mi jako, powiedzmy, dawnemu koledze.

- Bardzo wysoko cenionemu, jeszcze i teraz!

- Już nie! A zwłaszcza nie w

tej sprawie, jeśli tak czy inaczej, w większym albo mniejszym stopniu, bezpośrednio lub pośrednio mogę być w nią zamieszany. Moja dawna dziedzina pracy nie powinna być tu w żadnej mierze brana pod uwagę. Jest to zasada, której, jak przypuszczam, będzie się pan trzymał. Tym samym jestem bardzo zdziwiony, że chce mnie pan poinformować.

- Pańskie wywody, panie radco kryminalny, przepraszam, panie Wecker, w zasadzie całkowicie odpowiadają moim poglądom, ale po wszystkich osiągniętych tu rezultatach sądzę, że mogę śmiało udostępnić panu informacje.

- Chyba jednak tylko w takim wypadku, panie Bachmeier, jeśli jest pan przekonany, że zakończył pan swoje dochodzenie.

- Pan to powiedział i zgadza się to całkowicie.

- Na pewno, panie Bachmeier? - zapytał z najwyższym zainteresowaniem Wecker. Mogło się здаwać, że zabrzmiało w tym ton uznania, sceptycyzm zaś był ledwie zamaskowany. - Teraz bardzo mnie pan zaciekawił. Jak prezentują się wyniki? Pańska konkluzja?

- Rezultaty nadają się całkowicie do praktycznego wykorzystania, panie radco kryminalny, panie Wecker! - A co innego mogłoby wchodzić w rachubę?

- Pod jakim względem, w jakich szczegółach, panie Bachmeier? Jest to jednak pytanie, które wcale mi nie przysługuje, a tym samym nie spodziewam się odpowiedzi. Szczegóły będzie można odnaleźć w pańskim sprawozdaniu końcowym dla radcy kryminalnego Wachsmanna. Za pańskim pozwoleniem mógłbym rzucić tam na nie okiem.

- Co wcale nie wyklucza, że już teraz mogę przekazać panu skrót wstępnych informacji.

- I co pan przez to osiągnie?

Chce mi pan sprawić radość? To już się stało. A może zamierza pan skłonić mnie do jakiejś akceptacji? Jak jednak miałbym zdobyć się na nią, nie mając dokładnego wglądu w dokumentację, nie mając możliwości sprawdzenia? - Taki był osobisty pogląd Weckera.

- Teraz naprawdę już nie wiem, co mam o tym myśleć. - Bachmeier wydawał się nieco zmartwiony. - To zabrzmiało tak, jakby się pan tym nie interesował.

- Nie docenia mnie pan, mój drogi! Chciałem tylko dać do zrozumienia, że nie może pan spodziewać się z mojej strony żadnego wyraźnego stanowiska. Sprawa obchodzi mnie jednak w każdym wypadku i dlatego też chętnie dowiedziałbym się, co pan miał na myśli mówiąc, że rezultaty nadają się do praktycznego wykorzystania?

- Oparte na całkiem pewnych ustaleniach wyjaśnienie tej sprawy! - Była i jeszcze jedna, wcale nie mniej ważna sprawa, o której powiedział jakby z powściągliwą dumą. - Udało się nam - a to znaczyło, że udało się jemu - ustalić jedyne sprawcę, jaki mógł wchodzić w rachubę. I udowodnić to.

- Co też pan powie! - Zdawało się, że wywarło to na Weckerze wrażenie. - I udało się osiągnąć to w tak krótkim czasie? Można więc nazwać to swego rodzaju ewenementem kryminologicznym, przyjmując oczywiście, że te pańskie ostateczne ustalenia są trafne. Nie ma pan żadnych wątpliwości? Żadnych zastrzeżeń? Nie? A więc kim jest ten nieszczęśnik?

- To niejaki Wesendung!

- Jest pan pewny? - Po tym pytaniu z twarzy Weckera zniknął jakikolwiek wyraz. - Czy rzeczywiście jest pan całkiem pewny, że można obciążyć go śmiercią małego Tatzera, a więc,

że pańskie odnoszące się do tego ostateczne konkluzje są trafne i niewzruszalne?

- Nie ma żadnych wątpliwości?

Wszystko to jest pewne i to od każdej strony. Przede wszystkim opiera się na rezultatach naszych dokładnych dochodzeń, a wśród nich znajduje się wiele sprawdzonych dowodów. Dochodzą nadto jednoznacznie obciążające zeznania, do których można zaliczyć daleko idące, osobiste stwierdzenia sprawcy. Poza tym podjęta została próba samobójstwa. Z sukcesem.

Na ten wywód Adalbert Wecker zareagował długim, ponurym milczeniem. Kiedy zaczął w końcu mówić, oczy miał niemal zamknięte. - Nie można wyobrazić sobie samobójczego zamachu, który byłoby wolno nazwać sukcesem.

- Jak kiedy! Było to zdarzenie, zgodnie z normalnym doświadczeniem, równoznaczne z przyznaniem się do winy.

- Nie. To w żadnym wypadku nie stanowi reguły - podał w wątpliwość Wecker, który opierał się na nawarstwionym przez lata doświadczeniu. - W określonych warunkach, niejako w przypadku swoistej psychicznej reakcji łańcuchowej, może, jak mówi praktyka, łatwo dojść do działania panicznego. Do czegoś w rodzaju krótkiego spięcia. W tym jednak właśnie może przejawiać się przeciwieństwo przyznania się do winy.

- Dobrze o tym wiem i oczywiście uwzględniłem taką możliwość. - Bachmeier chciał uniknąć nadmiernej gadaniny o tak koronkowych sprawach, zwłaszcza, że nie chciał wdawać się w to z owym znanym w urzędzie mądrałą. Ostatecznie to on, czego Bachmeier nie mógł mu zapomnieć, nie raz gładko przejechał się dawniej po nim.

- W każdym razie uznałem za celowe, by przekazać panu ów

całkiem niewątpliwy, końcowy rezultat dochodzenia - powiedział w końcu komisarz. - Nie muszę chyba sądzić, że podaje pan w wątpliwość dokładność naszych badań.

- Jakże bym mógł! - Wecker również zdawał się pragnąć końca tej rozmowy. - Ostatecznie znam tylko końcowy rezultat pańskiego dochodzenia, ale nie jego treść.

- Czy ma pan jakieś zarzuty?

- Ależ, proszę pana! Jakie zarzuty miałbym mieć w stosunku do czegoś, czego szczegółów wcale nie znam? Choć może trzeba by zwrócić uwagę na coś innego, na to, co zazwyczaj nazywa się instynktem.

- Oczywiście istnieje coś takiego. Jest to właściwość, którą, jak sądzę i ja posiadam. Ona tu funkcjonowała. W tym Wesendungu zwierzyłem sprawcę, a potem potrafiłem tego dowieść. Tak to widzę! Co jednak sugeruje panu pański instynkt?

- Tego powiedzieć nie mogę.

Nie chcę zaprezentować się jako wyrocznia, a tym bardziej spekulant. Jednak niekiedy przypominam sobie, że jestem byłym specjalistą w dziedzinie kryminalistyki, dożywotnio prześladowanym przez pewne zasady, które i teraz stale mi towarzyszą. Szczególnie ta: Sprawdź. Znow i znow, a więc przynajmniej dwukrotnie, zanim będziesz mógł uwierzyć, że twoje ustalenia są trafne.

- Znam to! - powiedział niechętnie Bachmeier. - Trzymam się tej zasady. Nie toleruję połowiczności. Mamy sprawcę! I to niekwestionowanego.

### Część III Wyjaśnienie

Jeszcze tego samego, późnego  
wieczoru, zaraz po wysłuchaniu  
owych wyrazistych oraz  
jednoznacznych komunikatów  
komisarza kryminalnego

Bachmeiera z komisji numer pięć, Adalbert Wecker uznał, że powinien wkroczyć do akcji.

Niezwłocznie sięgnął do telefonu i wykręcił numer, który znał na pamięć. Był to numer prezydium policji, niegdyś, przez wiele lat również i jego urzędu. Poprosił o połączenie z radcą kryminalnym Wachsmannem, szefem specjalnych komisji. Nie było to możliwe tak po prostu, bo żeby do niego dotrzeć, a Wecker o tym wiedział, należało przebrnąć przez pośredni wyspecjalizowany referat, który realizował połączenia. Załatwiono to jednak bez trudności, kiedy tylko Wecker wymienił swoje nazwisko.

Radca kryminalny zgłosił się szybko i chyba bardzo był ucieszony tym telefonem. Głos Weckera zgalwanizował go, jego, któremu jak zwykł o tym mówić, często się zdawało, że jest samotnym wędrowcem na bezkresnych pustkowiach przestępczości.

- A, to ty, nareszcie mój drogi! Tylko nie pytaj, czy mi przeszkadzasz. Zawsze obecnemu w urzędzie łańcuchowemu psu, nigdy nie przeszkadza nic i nikt, a już zwłaszcza ty. Z pewnością nie wówczas, kiedy mi proponujesz, żebyśmy wypili po kieliszku wina. Zrobiłby mi dobrze.

- Mnie oczywiście też,

Wachsmann.

- Zróbmy więc to! Jeśli o mnie idzie, choćby natychmiast. Jestem wdzięczny za każdą nadarżającą się możliwość oderwania się od pracy. Praca w urzędzie degeneruje człowieka raz z powodu mordegi, innym razem przez skłaniającą do ziewania jałowość. Pozwól, że zabawię cię opowiadaniem o tym właśnie. Mnie też to rozerwie.

- Właściwie to chętnie, przyjacielu Wachsmann, ale powiedzmy, że przy następnej

okazji.

- Teraz nie, Wecker? Czyżbyś nie telefonował prywatnie? - Urzędujący radca kryminalny odczuł wzbierającą w nim troskliwość. - Zadzwoiłeś w związku z jakimiś urzędowymi sprawami? - Wachsmann zwiertzył jakąś nieprzyjemną historię. - Właśnie ty masz coś takiego i zwracasz się do mnie? Wiesz jak to brzmi? Tak, jakby było już po potopie.

- Potop już był i morowe powietrze też. - O bombie atomowej Wecker nie wspomniał. - Chwilowo nie powinniśmy, taką mam propozycję, oddawać się wzajemnym przyjacielskim uczuciom. Pogadajmy rzeczowo.

- Co masz na myśli, mój ty usztku?

- Jeśli dobrze sobie przypominam, na twoim biurku zawsze leżą pod ręką dwie zszywki. Jedna z nich, to rodzaj poszerzonej listy personelu, zawierającej wszystkie potrzebne detale. Na niej, mam nadzieję, ciągle jeszcze figuruję i ja, a rozumie się, że również nasz superkryminolog, samotnik Keller.

- Oczywiście! - Zabrzmiało to dość wesoło. - Takie zestawienie zostało sporządzone, żeby nie tracić, tak całkiem z oczu was, elitarne monstra. W końcu muszę mieć do dyspozycji wasze adresy, a ponadto rozmaite szczegóły. Masz coś przeciw temu?

- Jasne, że nie. To mieści się w twojej praktyce i zgodne jest z regułą, że nikogo i niczego nie wolno eliminować, bo nie można przewidzieć co się zdarzy. Jest to również w guście naszego Kellera. Również i jego dewiza głosi, że nie należy ignorować żadnej nadarzającej się możliwości! Nawet gdyby jawiła się ci jako monstrualny absurd.

- Wymieniłeś to nazwisko już po raz drugi i to w ciągu paru minut - powiedział czujny Wachsmann. - To raczej nie mogło

być przypadkowe. Czy rzeczywiście idzie ci o niego? Lepiej nie - powiedział trochę spłoszony.

- Zgadzam się z tym,

Wachsmann. Na podstawie własnego doświadczenia. Chciałbym jednak skorzystać z jego jedynej w swoim rodzaju wiedzy, ale o tym pomówimy może później. Teraz coś innego: Jeśli się nie mylę, na twoim biurku leży też plan zadań specjalnych komisji.

- Jasne! Dlaczego pytasz o niego i to po takim ostrożnym zagajeniu? - Niepokój Wachsmanna wzrastał.

- Tylko po to, żeby cię do czegoś zachęcić. Wydaje mi się stosowne, żebyś ten plan komisji specjalnych porównał z tamtą listą personalną. Wówczas, być może wyjdzie na jaw, że istnieje pewien związek ze skierowaną przez ciebie do akcji specjalną komicją Bachmeiera, a moim adresem. Sprawdzenie tego nie sprawi ci trudności. Wachsmannowi nawet i minuta nie była potrzebna. - Do licha, Wecker! - Powiedział to stłumionym nieco głosem i wyraźną niechęcią.

On rzeczywiście działa blisko ciebie, a to wcale mi się nie podoba! Powinien był się połapać i to w porę. Powinien był mnie zawiadomić, Tego jednak nie zrobił.

- Ostatecznie nie musiał. W końcu w naszym zawodzie obowiązuje generalna zasada głosząca, że polecenie musi być wykonane! Bez jakiegokolwiek „jeśli” i „ale”. Bez zbędnych względów.

- Tak to jest.

- Jest w tym jakiś sens,

Wachsmann! Tu jednak nie musi to być koniecznie prawidłowe, bo chociaż Bachmeier wierzy w to, że swoje zadanie wykonał w pełni i dobrze, ja tego poglądu nie podzielam.

Radca kryminalny zrozumiał

oczywiście natychmiast, co miało znaczyć, w ogólnym jak i urzędowym sensie, tego rodzaju stwierdzenie. Niemal już przywykł do różnych niejasności i potknięć, ale nie nauczył się jeszcze godzić się z nimi. Dlatego powiedział tylko to: - Raczej nie wierzę, przyjacielu Wecker, żebyś miał jakkolwiek ochotę na to, żeby przyjść do mnie, do prezydium policji. Ponieważ tak to wygląda i jest raczej niepotrzebne, żebym z kolei ja odwiedził cię w takim mieszkaniu, proponuję spotkanie w neutralnym miejscu.

- Jakim, Wachsmann?

- W preferowanej przez ciebie włoskiej restauracji przy Leopoldstrasse. To owa „Dolce Italia”. Tam, przypominam to sobie, piliśmy w ubiegłym roku doskonale, wytrawne Vernaccia. Można to tam jeszcze dostać?

- Ależ tak. Powiem żeby przygotowali dwie butelki. A więc za pół godziny?

- Powiedzmy, że za godzinę.

Chciałbym tymczasem zebrać pewną dokumentację, a następnie, jakby nakłoniony przez ciebie, nadłożyć trochę drogi. Wiesz już, do kogo pójde. Jeśli mi się poszczęści, będzie to oznaczało trzy butelki Vernaccia.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Adalbert Wecker potrafił

wyobrazić sobie co spowodowało, że Wachsmann zaproponował zamówienie trzech, a nie dwu butelek Vernaccia. Dokładniej mówiąc, miał nadzieję, że radca kryminalny Wachsmann spróbuje na tę nieuniknioną rozmowę przyprowadzić kogoś trzeciego, bo zawsze gotowy był asekurować się i upewnić.

Wyglądało na to, że dla „tego pana” zawsze jest zarezerwowany stolik w owej włoskiej restauracji. Ostatni stolik, po lewej stronie głównej salki.

Było tak, choć nikt nie

wiedział, a i nie mógł wiedzieć,

jak się on nazywa, kim jest oraz ile znaczy. Działo się tak, bowiem dotyczyło pewnego długoletniego, przyjemnego gościa, a nadto i smakosza. Poza tym umiał on posługiwać się prawidłowo kilkoma podstawowymi włoskimi słowami i poprawnie je wymawiać. Prawdziwi Włosi, którzy przenieśli się do Niemiec, potrafią to docenić.

Do tej pory, tak naprawdę, nigdy i w żadnej mierze nie zdarzyło się temu panu nic szczególnego. W każdym razie aż do niniejszego wieczoru, na krótko przed godziną #/23#00. O tej porze, kiedy w tej restauracji zaczął uciszać się z wolna

trudny, roboczy dzień, właściciel i personel obejrzeli pewien niezwykle spektakl. Nagle bowiem zjawilo się ubrane na ciemno postawne chłopisko, wprost pachnące policjantem. Człowiek ten trzema wymierzonymi krokami wszedł do restauracji, zatrzymał się na rozstawionych nogach i bystrym, badawczym wzrokiem krótko powiódł po otoczeniu. Potem wyszedł.

W kilka sekund później do restauracji wkroczyły dwie inne osoby. Ciężkim, posuwistym krokiem parł do przodu potężny mężczyzna o spojrzeniu myśliwego, który tropi zwierzynę. Był to radca kryminalny Wachsmann, z prezydium policji. Obok niego, w żadnej mierze nie za nim, podążał filigranowy raczej pan, o skromnej, ale rzucającej się w oczy powierzchowności, co jak wie niewielu, może wprowadzać w błąd. Mężczyzna ten miał ruchy doświadczonego lisa, oczy zaś rysia, choć potrafił też patrzeć niby baranek. Był to komisarz kryminalny Keller, nauczyciel co najmniej dwu pokoleń specjalistów w dziedzinie kryminalistyki.

Ów osobliwy, podwójny zaprzęg

skierował się prosto do tamtego, zazwyczaj tak miłego, wiernego restauracji gościa. Tamten wstał, uścisnęli go, on też ich uścisnął i usiedli obok siebie. Napełniono przygotowane kielichy. - Cieszę się, że cię widzę! - To zapewnienie dotyczyło radcy kryminalnego Wachsmanna, który ową przyjaźnie koleżeńską deklarację, posiadającą unikalną wartość, przyjął z widoczną ochotą.

Adalbert Wecker kontynuował zaś:

- A cóż za niespodziewany widok! Przyjaciół i kolegę Keller! To, że mogę się z tobą wreszcie spotkać, nastraja mnie optymistycznie.

- To ładnie, ale dlaczego?

- Dlatego, że chętnie cię widzę! - Zostało to powiedziane z rozbrajającą prostotą. - Tym razem jawisz mi się jednak w jakimś stopniu niekompletny. Brakuje twojego psa.

- Mnie też go brakuje, ale już go nie ma. - Zostało to powiedziane bez najmniejszego cienia sentymentalizmu. - Nikt bowiem nie jest w stanie żyć wiecznie. Prawda? Istnienie zaś psa jest ograniczone wprost żałością. Było nie było, mojemu Antonowi udało się nacieszyć szesnastu przepięknymi latami. I mnie cieszył tak długo. Wystarczy, żeby myśleć o nim z wdzięcznością.

- No tak, no tak - zdawało się, że Adalbert Wecker chce jeszcze trochę odwlec ową pilną, nieuniknioną rozmowę. - Jednak psy, mądre i godne uczucia, zjawiają się wciąż i wciąż...

- Już nie dla mnie - powiedział stanowczo Keller. W tej sprawie, jak i w ogólnym odniesieniu, nie wolno realiów oceniać błędnie. Pokusa, żeby znowu wziąć sobie psa, zapewne we mnie istnieje, ale jednocześnie mam też świadomość, że ten nowy, mógłby, i to chyba na pewno, żyć dłużej ode mnie. I

co by się z nim stało? - Nie powiedział, że w stosunku do żywego stworzenia byłoby to nieodpowiedzialne. Wiedzano i o tym, że do tego rodzaju problematycznych sytuacji Keller żywi wstręt.

- Przejdźmy do sprawy - zaczął nalegać Wachsmann, urzędujący radca kryminalny.

- Przed przyjazdem tutaj - powiedział rzeczowo Keller - dostałem od naszego kolegi Wachsmanna, pewną dość szczegółową dokumentację. Zostałem też ogólnie poinformowany. Z tego wynika, że będziemy mogli rozpocząć od istotnego wyjaśnienia.

- Wiem co masz na myśli - odparł poważnie Wecker. - Kiedy przed kilkoma laty przekazał swoją funkcję, twierdzono, że czynnikiem sprawczym był Bachmeier. Ale to się nie zgadza. W żadnym bowiem przypadku nie byłem zmuszony do zakończenia pracy w prezydium. Sam zdecydowałem o tym. Bachmeier, jeśli w ogóle coś na tym zaważył, to było zjawiskiem marginalnym.

- Mogę to potwierdzić w zupełności! - Wachsmann nie zwlekał z tego rodzaju zapewnieniem. - Tyle, że wtenczas rzeczywiście pogadywano tam o podobnych przypuszczeniach. Boję się, że znowu może być o nich głośno.

- Bać można się zawsze i wszystkiego. Czego by jednak teraz, konkretnie?

- Teraz, jeśli to właśnie

Wecker kwestionuje z miejsca końcowy rezultat dochodzeń Bachmeiera, a nawet go neguje, mogłoby nasunąć się podejrzenie, że kto wie, czy nie jest to swoisty rewanż.

- Nie, Wachsmann, tak nie wolno myśleć! - Oświadczył zdecydowanie Keller. - To oznaczałoby uznanie spekulacji plotkarzy. W to się nie wdamy.

Tego rodzaju gadaninę należało zresztą uciąć już wtenczas. Ponieważ najwidoczniej tego zaniedbano, owe fatalne plotki kursują nadal. Nie jest to najlepsze dla naszego urzędu!

\*\*            \*\*            \*\*

Radca kryminalny Wachsmann patrzył przed siebie zamyślony. W zadumie przyglądał się pierwszej z butelek zawierającej szlachetne, żółtozielonkawo mieniące się tokańskie wino. Jeszcze nie była pusta i trzeba było to nadrobić.

- Drodzy moi przyjaciele i koledzy - powiedział więc. - W tej sprawie wyłania się kilka możliwości. Po pierwsze: Nie przyjmujemy oficjalnie do wiadomości żadnych domniemywań.

Jakie by były. Po drugie:

Zarządę, a przecież w końcu jestem szefem, żeby Bachmeier jeszcze raz sprawdził swoje rezultaty. - Sprawa miała być więc potraktowana ulgowo. W odniesieniu do Bachmeiera, który nie należał do zdolnych skorygowania się samemu, byłoby to raczej nieskuteczne. Zgodnie z poleceniem sprawdzi, by pod gwarancją przedstawić takie same rezultaty. - Przejdźmy jednak do trzeciej możliwości. Miałaby ona znaczyć, że pozostawimy arenę otwartą dla konfrontacji przeciwstawnych poglądów. Można to załatwić w trybie urzędowym, z tego mogą wyniknąć bardzo piękne walki gladiatorów, w osobach byłego radcy kryminalnego i tego, który ciągle jeszcze jest komisarzem. Przy tym zwycięzca jest mi z góry wiadomy.

- To nie da się tak załatwić - oświadczył bez namysłu Keller. - Raczej nie można przyjąć, że kolega Wecker wda się w coś takiego.

- Rozpoznanie jest prawidłowe

- potwierdził szybko Wecker. - Na to nie mogę pójść, bo tego mi nie wolno! Przecież w ową sprawę

mógłbym też sam być uwikłany i to bezpośrednio.

- To oczywiste z teoretycznego punktu widzenia. - Radca kryminalny Wachsmann nie miał tu żadnych wątpliwości. - W praktyce nic takiego by się nie potwierdziło.

Keller jednak, nawet w przybliżeniu nie był tak pewny tego, jak szef specjalnych komisji. Wiedział z doświadczenia, że „jeśli ktoś kiedykolwiek znajdzie się w zasięgu jakiejś zbrodni, jest też z nią w swoisty sposób związany, mniej lub bardziej, bezpośrednio albo pośrednio”. I zacytował przemysłowca.

- Tyś to powiedział i to się zgadza! Niestety. Ale właśnie to determinuje moją specyficzną sytuację.

- Oczywiście, bo na przykład nawet rozbryzgana krew może ubrudzić kogoś, kto nie uczestniczył w niczym. Każdy też może w każdej chwili potknąć się o zwłoki, a więc dotknąć ich. W najbardziej drastyczny, obciążający materiał mogą się przeobrazić przypadkowo przeprowadzone rozmowy.

- Zgadza się! - powiedział

Wecker. - Jakież jest mnóstwo takich możliwości!

- Co więc teraz? - Wachsmann spojrzawszy natarczywie na Kellera, bo po nim można było się spodziewać wszystkiego i wszystkiego od niego wymagać, nawet tego, żeby pełnił funkcję ratunkowego koła, pontonu gotowego do wypłynięcia z pomocą na wzburzone morze, jak i tego, by był jak ten, który czuwa w latarni morskiej, wyniesiony ponad wszelkie, wyobrażalne tonie i mielizny kryminalistyki.

Tamten jednak zapragnął teraz

następnego kielicha tego

wybornego wina. Dopiero po

wypiciu zapytał Adalberta

Weckera: - Na czym opiera się

twoje podejrzenie, iż Bachmeier

mógł pomylić się w rozpoznaniu tamtego przypadku?

- Doszedłem do tego przede wszystkim instynktownie. Śmiejesz się z tego, Keller? Wcale się nie śmiał. - Ten kto nie posiada instynktu - zauważył - jest raczej zgubiony w naszym zawodzie. Mógłbyś jednak być bardziej dokładny?

- Jeśli idzie o tego, którego wina jest ponoć udowodniona, to jest nim niejaki Wesendung. - Następnie, w dokładny, policyjny sposób przedstawił krótką charakterystykę jego osoby. Potem kontynuował: - Oczywiście można go uznać za kogoś nie budzącego zaufania, zwłaszcza w sferze obyczajowości. Ciągłe usiłował proklamować coś w rodzaju totalnej swobody, w każdym razie dla siebie. To objaw nasuwający podejrzenia i tak to przynajmniej widziały oczy gorliwego funkcjonariusza.

- Na myśli miał z pewnością oczy Bachmeiera, a jednocześnie i Gutbroda.

- Była to więc osoba, wobec której podejrzenie narzucało się w sposób wyrazisty - powiedział Wachsmann - zwłaszcza jeśli można stwierdzić jej bezpośrednie związki z nieboszczykiem. - Radca kryminalny pamiętał, co znaczy atmosfera miejsca zdarzenia, że



jest to istna wylegarnia pleniących się nieprecyzyjności, w której też można wytrwać jedynie wówczas, jeśli się ma trzeźwą głowę.

- No tak, wcale niemało ludzi było przekonanych, że jeśli idzie o Wesendunga, to był on w ewidentny sposób swego rodzaju obyczajowym chuliganem, takim bardzo współczesnym, mógłbym powiedzieć, a w dodatku biednym - zauważył Wecker. - Ci ludzie zeznawali jako świadkowie.

- Wielu ich było i wszyscy zgadzali się z tym?

- Widocznie tak to wyszło.

Mimo to nie wierzę, żeby w Wesendungu można było dostrzegać osobowość niepoohamowanie rozwiązań, a nadto skłoną do zabijania. On raczej próbował swoje „upodobania” oprawić w filozoficzne teoretyzowanie i był wówczas nader zdolny do wypowiedzi przechodzących w bełkot. Zdaje się, że niejednego udawało mu się zagadać do cna.

- Tego jednak Bachmeier na pewno nie pozwolił zrobić z sobą. Był lepszy niż tamten, co?

- Jego metody były też prawdopodobnie metodami jego inspektora kryminalnego. Musiała się tam stłoczyć niezwykła wprost liczba zarzutów i oskarżeń, co w końcu wystarczyło, żeby Wesendunga doprowadzić do samobójstwa, które Bachmeier nazwał w dodatku „sukcesem”. Tego nam właśnie brakowało! - Radca kryminalny Wachsmann był oburzony, gdyż dotąd nie otrzymał meldunku o tym fakcie.

- Coś takiego, a choćby coś podobnego, w zasięgu moich kompetencji nie zdarzyło się od lat! Ofiarą moich funkcjonariuszy i ich dochodzenia stał się, być może jakiś człowiek. Mój Boże, jak to się wyda, prasa nas załatwi. Mogę wyobrazić sobie dokładnie, co też napiszą. Ofiara policji! Cóż to za niebezpieczne dla wszystkich sformułowanie! Keller zareagował powściągliwie. Ani on, ani Wecker nie korygowali radcy kryminalnego, ale też go nie utwierdzali w przypuszczeniach.

- W każdym razie Bachmeier w żadnym wypadku nie powinien był ciebie pomijać. Czy próbował cię przesłuchać?

- Nie - zakomunikował Wecker.

- Zostało mu to szczęśliwie oszczędzone. Mnie również. Doszedł do swoich rezultatów i już mnie nie potrzebował.

- W każdym razie ty bez

zastrzeżeń byłbyś gotów zgodzić się na przesłuchanie, gdyby tego zażądał? - zapytał łagodnie Keller.

- Co za pytanie, drogi przyjacielu. Oczywiście, że tak! I to nie tylko jako były specjalista z dziedziny kryminalistyki, ale i jako przypadkowy mieszkaniec tamtego domu. Obywatel jak inni, od którego policja uzyskuje to, czego wymaga.

Keller nie popuszczał. - Czy zdecydowałbyś się na przesłuchanie, gdyby dopiero teraz zostało uznane za konieczne, a miałyby być przeprowadzone przez Bachmeiera?

- Ależ tak! W każdym razie teraz już niezbyt chętnie, gdyż mógłbym ulec pokusie udzielenia mu lekcji. Po tym, kiedy już klamka zapadła, milsze by mi było spotkanie ze specjalistą w dziedzinie kryminalistyki, mającym większe doświadczenie i wyższą rangę. Myślę, że i sprawie posłużyłoby to lepiej.

- Przecież właśnie dlatego spotkaliśmy się tutaj.

Radca kryminalny spojrział na Kellera. - Teraz nie mamy innego wyboru i tylko w tobie możemy pokładać nadzieję. Ja i kolega Wecker. Nawet i urząd.

Adalbert Wecker nie zwlekając potwierdził: - Zgadzam się! Jeśli Keller zabierze się za to, będę gotowy do wszelkiej pomocy.

- Czy to, kolego Wecker, miałoby ewentualnie znaczyć - zareagował nader czujnie Keller - że Bachmeier prosił cię o pomoc, a ty mu jej odmówiłeś?

- No, a jeśli nawet! - wmieszał się Wachsmann. - Wecker nie mógł postąpić inaczej, bo w przeciwnym razie włączyłby się w dochodzenie będące już w toku.

- W dochodzenie, którego przedmiotem mógłby być on sam.

- Tak to trzeba widzieć! - potwierdził sugestywnie radca kryminalny. A potem, z właściwym

sobie uporem zapytał: - Czy jesteś gotów, Keller, zrobić to, czego od ciebie oczekujemy?

- Niechętnie! Widzę jednak, że jest to raczej nieuniknione - odparł. Od początku dokładnie wiedział, że to go czeka. - Jeśli mam tę sprawę jednak załatwić, to jak zwykle, tylko z całkowitym urzędowym poparciem.

- Nie widzę problemu! - I rzeczywiście nie był to problem dla radcy kryminalnego. - Zrobimy po prostu tak, jak to już wypróbowaliśmy kilka razy:

Do radcy kryminalnego Kellera zwrócimy się z prośbą, żeby objął w urzędzie funkcję kontrolną. Powiedzmy, że będzie to tak, iż często rutynowo kontroluje on, co tam się nadarzy.

- Jednak w żadnym razie, na ile cię znam, nie dojdzie do tego bez zgody prezydenta policji.

- Będzie jego zgoda. Musi być to, co być musi. Załatwimy wszystko bez trudu.

- Sądzę, że z pisemną akceptacją prezydenta - upewnił się Keller.

- Ależ oczywiście! - zagwarantował szybko Wachsmann.

- No to do dzieła, kolego Keller! I to zaraz od rana.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Następnego rana przystąpił do akcji radca kryminalny Wachsmann. Codzienną pracę oficjalnie rozpoczynał o #/7#00, co nie znaczyło, że w prezydium policji nie spędzał też całej poprzedniej nocy.

Przede wszystkim kazał połączyć się z mieszkaniem komisarza kryminalnego Bachmeiera. Tamten widocznie jeszcze spał. Kiedy zrozumiał, kto chce z nim rozmawiać, natychmiast się obudził.

Wachsmann: - Nie sądzą, że panu przeszkodziłem.

Prawdopodobnie opracowuje pan jeszcze przypadek z

Germaniastrasse.

Bachmeier: - Tak jest, panie radco kryminalny, pracuję nad końcowym sprawozdaniem.

Wachsmann: - No to gratuluję! To po prostu rekordowo szybkie dochodzenie. Tym lepiej! W końcu znów będziemy mogli zabłysnąć, nawet podczas kontroli.

Bachmeier zareagował czujnie:

- Mówi pan o kontroli, panie radco kryminalny? U mnie?

Wachsmann odpowiedział z całą poczciwością: - A u kogo by? Ostatecznie nie ma się pan czego obawiać. Pan na pewno nie! To rutynowa kontrola, ale obstaje przy niej prezydent. - Ów nie był jeszcze poinformowany o tej sprawie, jednak można to było przecież nadrobić. - No i tym razem trafiło na pana.

- Dlaczego akurat na mnie?

- Czysty przypadek, kolego

Bachmeier! Przypadł termin kontroli tego, co mi podlega. Tym razem, całkiem po prostu, będzie to sprawa, którą zajął się pan. Proszę więc oczekiwać komisarza kryminalnego Kellera...

- Kogo, jeśli mogę prosić? -

Bachmeier poczuł się zaniepokojony. - Kellera, powiedział pan?

- Tak, Kellera. Proszę oczekiwać go na miejscu zdarzenia, mniej więcej za godzinę. Tak koło ósmej...

\*\*                    \*\*                    \*\*

**Komisarz kryminalny Keller,**

perfekcjonista, na miejsce zdarzenia przybył o ustalonym czasie, z niemal minutową dokładnością. Wsiadł z taksówki, był prawie filigranowy, skulony, był zwykłym, niepozornym człowiekiem. Przed drzwiami domu czekali nań wspólnie komisarz Bachmeier oraz inspektor Gutbrod.

Keller: - Gdzie moglibyśmy, koledzy, tutaj pokonferować tak, żeby nam nikt nie przeszkadzał?

- Nie było żadnego powitania, choćby po części mogącego

uchodzić za formalne. Widocznie żaden z obecnych nie przywiązywał do tego wagi.

Bachmeier: - Na parterze tego domu jest nie zasiedlone mieszkanie. Poprosiliśmy o nie do naszych celów.

Tam teraz się udali. Keller zarządził tylko to: - Proszę o dotychczas sporządzoną dokumentację. Bez żadnego wyjątku, łącznie z urzędowymi notatkami.

Pakiet dokumentów złożono przed nim bez słowa. Były tam wyniki badań coronera, raporty funkcjonariuszy, którzy badali ślady, rezultaty przeszukiwań specjalistów, którzy rozpoznawali miejsce przestępstwa. Do tego zaś urzędowe notatki, które służyły do opracowania roboczych formularzy, zeznania świadków, protokoły przesłuchań. Całe stopy papierów, pilnie zebrane i to w ciągu niespełna czterdziestu ośmiu godzin. To budziło respekt, a może nie?

Bachmeier powiedział: - Zrobiliśmy, panie kolego Keller wszystko, co było można. Nasz końcowy rezultat powinien być bez zarzutu, co też z pewnością potwierdzi pan po przejrzeniu tych materiałów.

Keller: - Dajcie mi trochę czasu, żebym się o tym przekonał. Godzina powinna chyba wystarczyć. Potem zobaczymy, co robić.

\*\*            \*\*            \*\*

Dopiero teraz, a była już  
godzina dziewiąta, radca  
kryminalny poinformował swojego  
prezydenta. Tamten, jak zwykle,  
nie był przed ową godziną  
osiągalny, a niewiele później  
już znowu nie. Jeśli idzie o  
tego pana, był on po prostu  
prominentem, bardzo zajęтым,  
wyższym urzędnikiem, który miał  
niezliczone obowiązki. A to  
wobec innych organów władzy,  
wobec ministra spraw

wewnętrznych o każdej porze, w stosunku do dominującej partii oczywiście też, a wcale nie na końcu wobec tak zwanej publiczności.

Wachsmann gardził osobistymi „korowodami” przed prezydentem. Choć biura ich znajdowały się przy tym samym korytarzu, radca kryminalny wolał porozmawiać przez telefon.

- Panie prezydencie, uznaję za potrzebne sprawdzenie przypadku przypisanego do moich kompetencji, a to w tym celu, żeby zapobiegawczo ubezpieczyć nasz urząd.

Prezydent zrazu wcale nie chciał dowiedzieć się, jakiego przypadku to dotyczy. Przede wszystkim zainteresowało go jedno: Czy jest to okoliczność związana z tak zwanymi kręgami towarzyskimi albo zgoła politycznymi. Czy dotyczy nadburmistrza i administracji miejskiej? Z tym można by się uporać. Jeśli jednak miałyby sięgać do premiera albo zarządu krajowego, zaleca wymaganą ostrożność.

- Nic podobnego, panie prezydencie policji. Tutaj pewne wyjaśnienie potrzebne jest tylko w naszym kryminalnym aspekcie. Niestety, trzeba się liczyć z niepowodzeniem jednego z naszych funkcjonariuszy.

- Niedociągnięcia trzeba niezwłocznie naprawić! - Prezydent policji powiedział to z wyraźną ulgą. Czuło się, że znów całkowicie panuje nad sytuacją. - Zezwalam na to i udzielam swojego błogosławieństwa! Jak pan sądzi, kto mógłby to przeprowadzić?

- Keller.

- Tak będzie najlepiej, kolego

Wachsmann! Jak najlepiej. Jeśli ktoś miałby temu podołać, to tylko on. Zawsze. Ma pan więc całkowicie wolną rękę!

Była to jednoznaczna

akceptacja, potwierdzona zapisem

na magnetofonowej taśmie.

Wachsmann uznał to za potrzebne. Samo w sobie nie było to niczym dziwnym, w każdym razie nie w tym kręgu, w którym bezpieczeństwo często bywało równoznaczne z zabezpieczeniem się.

A jednak, któż mógł zrazu myśleć, że wszystko ułoży się tak głupio, jak się ułożyło? Nawet Wachsmann tego nie potrafił.

\*\*                      \*\*                      \*\*

Komisarz Keller zarządził  
lustrację miejsca zdarzenia.

Przebiegło ono tak, jak przewidywał po godzinnym przeglądzie spiętrzonych przed nim akt.

Kiedy je wertował, nie wygłaszał żadnych komentarzy. W żaden sposób nie dał poznać, czy zgadza się z czymś, czy też to odrzuca. Zrobił jednak wiele notatek, niemal tuzin.

Bachmeier powiedział z ulgą: - Ustalone przez nas i odpowiednio zabezpieczone miejsce przestępstwa ma w przybliżeniu zasięg następujący: Dolny segment schodów i piwniczną sień, aż do drzwi podziemnego garażu. Ponieważ miejsce to nie daje się odizolować w celu zabezpieczenia śladów oraz dokonania zarządzonych przeze mnie sprawdzianów, czułem się zobowiązany do postawienia tam, dopóki dochodzenie nie zostanie zamknięte, funkcjonariusza policji.

- Dobrze - powiedział Keller.

Dało się w tym usłyszeć gotowość do współdziałania, ale tak nie było. - Obejrzymy więc sobie to tam.

W piwnicy natknęli się na policjanta, któremu właśnie przypadł z kolei obowiązek pilnowania jej i ochrony przed niepowołanymi, zaszalować z radosną energią, bo zrozumiał, że wreszcie nadchodzi jakaś odmiana w jego monotonnym zajęciu.

Keller, z zapewne bardzo starannie sporządzonym szkicem sytuacyjnym miejsca znalezienia zwłok, stał przez kilka minut spokojnie i tylko się rozglądał. Szkic trzymał w ręku. Potem powiedział: - Coś mi się tu nie zgadza. Brakuje zbieżności oficjalnego szkicu miejsca zdarzenia, z tym co widzę.

- Czy miałyby to być więc jakieś przeoczenie ze strony naszych funkcjonariuszy dochodzeniowych? - z niedowierzaniem powiedział Bachmeier.

- Na to wygląda. - Keller zdawał się być niezwykle wyrozumiały. - Tutaj bowiem, za piwnicznymi schodami, w najdalszym kącie znajduje się wąska szafa, taka metalowa, jakich używa się do przechowywania narzędzi. Można ją było przeoczyć, można było uznać za mało ważną. W każdym razie nie została naniesiona na szkic miejsca zdarzenia.

- W grę może wchodzić tylko przeoczenie! - wyjaśnił rozdrażniony Bachmeier. - Jednak nie moje! Nie uszłoby mojej uwagi w czasie dokładnego dochodzenia, a już zwłaszcza gdybym sporządzał szkic. Nawet jeśli przedmiot ten jest w znacznym stopniu zasłonięty, a do tego z wszystkiego, co się tu znajduje, najdalej usytuowany od zwłok i, co rozumiałe, tak jak pan zresztą już powiedział, łatwo go było przeoczyć. To mogło jednak zdarzyć się każdemu.

- Nikt nie jest doskonały. A może zna pan kogoś takiego? Ja nie znam! - Keller przejawiał skłonność do wyrozumiałego pობłażania. - A co tam w ogóle jest w tej szafie?

Nastąpiło długie, kłopotliwe

milczenie, które jednak w końcu

minęło i to szczęśliwie, gdyż

stojący tu na posterunku

policjant potrafił udzielić

informacji i wreszcie pokazać,

że wcale nie jest byle kim, że raczej jest kimś ważnym, posiadającym właśnie kryminalistyczne uzdolnienia.

- W szafie tej znajdują się narzędzia do utrzymania porządku oraz służące do tego materiały, a więc szczotki, wiadra i ścierki, proszek do prania i szorowania oraz różne takie. Dużo to tego.

- Skąd pan o tym wie?

- Powiedział mi pan Tatzler, dozorca domu. Nie tylko mnie, ale też moim kolegom. - Powiedział jednemu z tej trójki, która wymieniała się w czterogodzinnym cyklu. - Notowaliśmy sobie po prostu wszystko, co się przydarzyło. - Robili to nie ze względu na poprawność, ale, można się domyślać, z nachodzącej ich nudy. Jednak ów osobliwy, mały, żółtawaty funkcjonariusz kryminalny chyba pochwali ich za to. - W każdym razie Tatzler, żeby móc wykonywać swoje obowiązki w tym domu, chciał się dostać do tej szafy. Można było zauważyć, że Keller się uśmiecha. - Nie sądzę, że zostało mu to umożliwione.

- Oczywiście, że nie! - zapewnił policjant gorliwie i szczerze. - Z czymś takim, to nie do nas. - Znaczyło to, że już w żadnym wypadku nie do niego. - Odstawiliśmy go.

- Doskonale, kolego! - Keller skinął policjantowi, co oznaczało wysokie uznanie. Potem powiedział: - Teraz zechciejmy przychylić się do dwukrotnie wyrażonego przez Tatzera żądania i udzielmy zgody na otwarcie należącej do stanowiska dozorca domu, szafy. Niech pan to, proszę, załatwi.

Nie była to jednak prośba, tylko rozkaz.

\*\*            \*\*            \*\*

Inspektor kryminalny Gutbrod  
poszedł do dozorca domu Tatzera  
i po kilku minutach

przyprowadził go. Tatzler przyszedł, zatrzymał się przy piwnicznych schodach, popatrzył z wyraźną niechęcią i zapytał: - Po co ja tutaj?

Keller wycofał się na dalszy plan chcąc zapewne mieć stamtąd lepszy wgląd we wszystko. Zapewne chciał najpierw spokojnie i uważnie obejrzeć sobie Tatzera. W tej fazie kontakt z nim pozostawił Bachmeierowi.

Komisarz dostrzegł niespodziewaną szansę, bo ni mniej, ni więcej umożliwiono mu dalsze uczestnictwo w akcji. Określone wprawdzie przez Kellera, ale jednak. Nie uziemił go więc, a nadto zostawił pole działania.

Bachmeier rozpoczął tak: - Panie Tatzler, wielokrotnie chciał pan, jako dozorca domu otworzyć tę szafę. - Zachęcająco wskazał ją ręką. - No to wolno panu.

- Nie musi to być koniecznie zaraz. To nie takie ważne.

- Mimo to zezwala się panu, panie Tatzler. - Ów, teraz wyglądający na pocziwca, powiedział krótko i prawie łagodnie: - Dziękuję za uprzejmość - i zaraz dodał: - Jednak nie spieszy mi się! I tak, jak się tymczasem okazało, nie mogę znaleźć klucza do tej szafy. Gdzieś mi się zawieruszył, a może go nawet zgubiłem. Mogło też być i tak, że ktoś mi go ukradł. Wszystko jest możliwe!

Na to Keller z drugiego planu wypowiedział tylko jedno, jedyne słowo: - Wyłamać!

- Właśnie! - potwierdził szybko Bachmeier, jakby chciał pokazać, że i on jest specjalistą w dziedzinie kryminalistyki, instynktownie reagującym i nienagannym. - Niech pan to załatwi jak trzeba, inspektorze Gutbrod.  
Tamten wiedział, co przez to

rozumieć i z prawej kieszeni marynarki wyciągnął parę białawych, skórzanych rękawiczek. Ceremonialnie naciągnął je na dłonie, żeby uniknąć pozostawienia zbędnych śladów. Potem, z ochoczą pomocą wartownika odkrywając dający się łatwo wymontować ze schodów pręt. Można było posłużyć się nim jako narzędziem, a więc zastosować w roli łomu. Skutek był szybki. Drzwi metalowej szafy otwarły się z trzaskiem. We wnętrzu oświetlonym dwoma dodatkowymi reflektorami można było teraz dostrzec kilka godnych uwagi rzeczy. Najpierw, o czym już była mowa, przeróżne, nieporządnie spiętrzone sprzęty do utrzymania czystości i środki do szorowania. Wśród nich można było ujrzyć kilka niezwykle przedmiotów, których obecność była raczej niespodzianką.

Funkcjonariuszom nie trzeba było przypominać, żeby niczego nie dotykali, niczego nie rozgrzebywali i tak wydobyli tylko niektóre przedmioty, by można było je obejrzeć, ale niczego w zasadzie nie naruszyli. Znali swoją robotę.

Już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć blaszaną puszkę zawierającą prawdopodobnie angielskie, śmietankowe cukierki, pięć albo sześć puszek z napojem z gatunku coli, spore, otwarte opakowanie z przejrzystej folii zawierające florentynki. I jeszcze dość zabrudzona część garderoby, a mianowicie kalessony czy coś w tym rodzaju, pokryte brunatnymi plamami. Możliwe, że były to plamy krwi.

- Mój Boże! - Zdawało się, że Tatzera na ten widok ogarnęło przerażenie. Tak to wyglądało, bo dygotał jakby ze wstrętu. - Co to jest? Nie mam z tym w ogóle nic wspólnego! Tu musiały zadziałać całkiem podstępne, skundlone świnię, a może tylko

ktos całkiem konkretny z tego gatunku. Tego po prostu nie wolno puścić płazem! Keller skinął z rozumą, a potem powiedział: - Pana Tatzera uprasza się, żeby na razie nie opuszczał swojego mieszkania. O to, żeby zastosował się do tego polecenia zadba inspektor Gutbrod. Proszę to zrobić w przyjęty u nas sposób. Znaczyło to, że ma być wykonane nienagannie.

Kiedy Gutbrod oddalił się wraz z Tatzere, Keller zaczął mówić co następuje: - Najpierw mam sprawę do naszego znakomitego, pełniącego tu służbę, funkcjonariusza policji. Jak się pan nazywa? Bergm~uller? Dobrze. - To znaczyło, że zapamięta sobie to nazwisko. - A więc, panie kolego Bergm~uller, niech pan zawsze będzie taki uważny. Teraz zostanie pan tutaj, póki nie przybędą kolejni funkcjonariusze dochodzeniowi. Poinformuje pan ich o wszystkim i powie, żeby dostarczyli mi tak szybko, jak to możliwe, swoje ustalenia.

Potem Keller, wcale nie uznając za potrzebne zaglądnąć do notatek, powiedział: - Pan, kolego Bachmeier, nawiąże kontakt z doktorem Braunschweigerem. Chyba pan wie, kto to taki.

Bachmeier oczywiście wiedział.

- Doktor Braunschweiger, zamieszkały przy Ungererstrasse.

- Było to zapisane w pliku dokumentów, a więc zauważył to, choć do tej pory nie uznał za niezbędne wyciągnięcie z tego wniosków. - Przed mniej więcej dwoma laty, faktycznie, czy też przypuszczalnie opiekował się on zmaltratowanym synem Tatzera. Robił to na zlecenie policji. To taka rutynowa sprawa.

- Co jednak ustalił? Jakie były tego rezultaty, jakie rozpoznanie, jakie szczegóły? I w tej kwestii musi być wszystko

wyjaśnione, łącznie z dającymi się udowodnić szczegółami, przede wszystkim dotyczącymi tego, jaka była reakcja Tatzera, jego żony i syna.

- Zrobi się! - potwierdził

Bachmeier, choć zgrzytnął zębami. Zrobił to jednak bardzo dyskretnie, żeby nikt nie usłyszał. Mimo wszystko znowu uczestniczył w tym „interesie”.

- Proszę pana, kolego, żeby zwrócił pan uwagę na pewne ustalenia coronera, który tu działał. - Przykładna uprzejmość Kellera jeszcze bardziej się wzmogła. - Przede wszystkim na te, które dotyczą stanu zwłok. To człowiek o wysokich kwalifikacjach, czego nie twierdzą przez wzgląd na to, że przypadkowo wyszedł z mojej szkoły. To fachowiec pierwszej klasy.

- W to nie można wątpić - powiedział mrukliwie Bachmeier.

- Jako jego były nauczyciel, znam jednak niektóre jego cechy, panu zaś nie mogą być one raczej znane. Zwłaszcza, że jak słyszałem, współpracował tu pan z nim po raz pierwszy. - Nie powiedział, od kogo to usłyszał.

- Jakie to cechy, jeśli można zapytać?

- Jest skłonny do drobiazgowości i ostrożnych sformułowań. Jest urzędnikiem, który nie uciekając się do spekulacji próbuje załatwić swoją robotę. Jego raporty ja sam musiałem czytać po dwa razy, żeby doszukać się, co właściwie stwierdzają jego ustalenia. Tym razem wskazał na to, że badając martwego chłopca zaobserwował aż trzy rodzaje zranień.

- Trzy?

- Tak! Przecież powiedziałem!

- Nie musiał już mówić, że Bachmeier powinien wczytywać się w dokumenty, bo wiedział, że odtąd będzie to robił. - Idzie tu o ranę głowy, przyczynę śmierci chłopca. Dalsze jednak

odpowiadają niemal dokładnie tym, które mniej więcej przed dwoma laty diagnozował doktor Braunschweiger, a które znajdują się w obrębie górnej części tułowia i ramion. Ponadto i po trzecie, doszło do jeszcze innych uszkodzeń ciała, takich, które znajdują się w dolnych partiach tułowia.

- Sprawdź to.

- Niech pan to zrobi, kolego, przy czym spodziewam się, że mogę mieć nadzieję na szybkie wyniki. Tymczasem jednak muszę przeprowadzić pewne przesłuchanie, które,



mówiąc szczerze, nie przyjdzie mi łatwo. Dotyczy ono niejakiego pana Weckera mieszkającego w tym domu.

\*\*                      \*\*                      \*\*

- No to zaczynamy! - powiedział Adalbert Wecker.

- Musimy - skorygował go

Keller.

Siedzieli naprzeciw siebie, w gabinecie, w mieszkaniu Weckera. Nie padła żadna propozycja dotycząca napojów, zapewne ze względu na to, że mogła spotkać się z odmową. Spotkanie to było przecież na swój sposób oficjalne.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Keller wydobyl notatnik i położył go na stole. Nie sięgnął jednak po żaden rodzaj pisaka. - To tylko tak, żeby sobie ulżyć - wyjaśnił z łagodnym uśmiechem. - Nie lubię papierów, bo mi wypychają kieszenie. Są to poza tym notatki, które sporządziłem przeglądając dokumentację Bachmeiera. Podczas naszej rozmowy nie zamierzam robić żadnych notatek.

Wecker zaśmiał się. - Wcale

nie zapomniałem, że masz pamięć  
równą pamięci połowy tuzina  
słoni razem wziętych. Wiele  
tygodni po jakiejś rozmowie  
potrafisz bezbłędnie cytować  
każde słowo, każde

sformułowanie. Nie musisz wertować notatek.

To graniczy z pochlebstwem kierowanym do przesłuchującego funkcjonariusza! Jest to zachowanie uchodzące w naszej praktyce za podejrzanę. - Również Keller próbował udawać wesołość, choć wcale tak się nie czuł. - Ponieważ znasz moje metody, nie będę musiał o nich mówić. - Tego nie robił zresztą nigdy.

- A więc funkcjonariusz przepytuje świadka, w tym przypadku młodego emeryta o nazwisku Wecker.

- Wcale nie stronię od tego, żeby cię rozweselać. - Przyjazny upór Kellera pozostał niewzruszony. - Na początek zrobię to stawiając ci pytanie, na które z pewnością odpowiesz: „nie”. Czy więc uczestniczyłeś w tym zdarzeniu w jakikolwiek sposób, bezpośrednio lub pośrednio?

- Ależ tak! Na pewno.

Zdawało się, że Keller nie dowierza własnym uszom, które zawsze dosłuchiwały się wszystkiego. - Mówisz więc rzeczywiście o swoim ewentualnym udziale?

- Nie przesłyszałeś się,

Keller. Jak zawsze.

- Jak jednak miałyby wyglądać ten twój tak zwany udział? Chętnie bym się tego dowiedział.

- Ach, mój drogi, tak łatwo nie da się tego wyjaśnić. Krótko mówiąc, ten kto żyje, porusza się. I jak bym nie chciał w tym domu żyć na uboczu, unikać tego czy innego, nie udało mi się.

- Jest to wyjaśnienie, które akceptuję. - Keller, jak można się było tego spodziewać, wykazał rozsądek. - Kogo napotkałeś i jak często zdarzało się to?

- Niektóre spotkania można nazwać nawet dość bliskimi. - Adalbert Wecker pozwolił sobie na taką wzmiankę, jakby pragnąc

w końcu dowiedzieć się, jak daleko Keller zdecyduje się posunąć. - Obracałem się na przedpolu tych wydarzeń, niekiedy zaś myślę, że w samym ich centrum, nie przewidując oczywiście tragicznego końca dwóch ludzi.

- Właściwie dlaczego nie, przyjacielu Wecker? Twój instynkt można było nazwać zdecydowanie silnym, a przecież nie powinieneś być go utracić. Czy nie ostrzegła cię twoja niezwykła wprost fachowa wiedza?

- Miałem okazję nasłuchać się o różnych sprawach tu i tam. Kusiło mnie nawet, żeby się w to wmieszać, żeby powiedzieć to i owo, wpłynąć na to czy tamto. Nie wiedziałem jednak, że owa aktywność w rzeczywistości doprowadzi do zabójstwa, a potem i do samobójstwa. Teraz bardzo się dziwisz, co? Dziwi cię taki sposób reagowania ze strony człowieka z wyższym wykształceniem i jeszcze jednym na dodatek, tym w dziedzinie kryminalistyki.

- Wiem, Wecker, co chcesz przez to powiedzieć. Kiedy funkcjonariusz kryminalny konfrontowany jest z przestępstwem, to już w tym jest jakaś sprawa. Inaczej przedstawia się wszystko, gdy człowiek dostaje się w krąg przestępstwa, a więc staje się jego uczestnikiem. W takim bowiem przypadku, można powiedzieć, zmienia się cały dostrzegalny horyzont.

- Brzmi to tak, Keller, jakbyś dokładnie wiedział o czym mówisz.

- Mniej więcej tak, Wecker. Ja też przeżyłem kiedyś coś podobnego. Może wiesz, że Anton, mój pies, został przejechany przez samochód. W mojej obecności, na moich oczach i na śmierć. Jednak nie mogłem znaleźć winowajcy, a więc i udowodnić mu, że ponosi za to odpowiedzialność. Nie potrafiłem

tego, razem z całą moją kryminalistyczną wiedzą, środkami jakimi dysponuję i możliwościami.

- Dlaczego tak było, czy mógłbyś to wyjaśnić?

- Jest to po prostu frapujące, tak jak chyba i teraz w odniesieniu do ciebie. Ponieważ uczestniczyłem osobiście w tamtym zdarzeniu, wszystko widziałem przekrwionymi oczami. Mój mózg nie potrafił jasno myśleć, zabrakło wszystkich moich zazwyczaj tak wykalkulowanych reakcji. Ten, kto stoi zbyt blisko ściany, nie widzi jej całej.

- Dziękuję, Keller. - Adalbert

Wecker był wzruszony. - To po prostu graniczy z ocaleniem mi życia! A może mój stary, powinieneś być zostać kaznodzieją?

- To w jakiś sposób należy do naszego zawodu. Tym, co nam w końcu pozostaje, są nzebierane przez lata rozpoznania oraz ich następstwa. Jak się to przedstawia u ciebie?

- Teraz zapewne chciałbyś dowiedzieć się, co w tym przypadku nasunęło mi się właśnie jako stwierdzenie - odparł Wecker. - To mianowicie, że żył sobie tu chłopiec uważany za ładnego, miłego, uprzejmego i został brutalnie zabity. A był tu też ów Wesendung, człowiek uważający się za kogoś wybranego, który był nawiedzony filozoficznie i zdolny do różnych obyczajowych wynaturzeń, ale jednak nie do morderstwa.

- Jeśli nie on, to kto? - zapytał Keller, a potem dodał: - Zdaje się, Wecker, że chyba coś wyczuwasz. W przeciwnym razie nie zjeżyłbyś się tak na konkluzje Bachmeiera. Tym

samym pokazałeś, że spodziewałeś się, iż jako sprawca wskazany zostanie ktoś inny, ktoś nazywający się inaczej. Kto to jest?

- Czy mam się wdawać w domysły, Keller? To może zniszczyć ludzkie życie!

- A gdyby był to ktoś, kto właśnie zniszczył ludzkie życie? Obaj wiemy, o kim mówię. Ty wiesz to na podstawie doświadczenia i domysłów, ja zaś w oparciu o istniejącą dokumentację. Jako sprawca jawi się tylko jeden jedyny. Tatzler.

- Doszukałeś się tego? -

Adalbert Wecker popatrzył zdumiony na swojego przyjaciela Kellera. Była w tym też pełnia uznania. Zrazu jednak nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Zaczął raczej rozważać. - Jeśli twoje rozpoznanie rzeczywiście miałooby być trafne, przypadek ten wzbudziłby w całym naszym środowisku niezwykłą wprost sensację. Mógłby stać się czymś podobnym do prowokacji w stosunku do jego moralnego systemu wartości. Ojciec morduje swoje dziecko! Na Boga, kto to od ciebie kupi?

- Przynajmniej tym spośród nas, którzy czytują biblię, nie byłby nieznanym tego rodzaju postępkiem. - Wielki, stary człowiek urzędu zaprezentował swoją nieomylną suwerenność. - Trzeba przypomnieć sobie teksty ze Starego Testamentu: Ojciec wykazuje gotowość złożenia w ofierze syna. W imię boże! A może liczni czytelnicy gazet przypomną sobie, że rok w rok kilka tysięcy dzieci zostaje zakatowanych na śmierć, w samych tylko chrześcijańsko-demokratycznych Niemczech. Tymi, którzy to robią, są rodzice, uważający się za nazbyt przemoczonych, a w pierwszej linii, czego dowodzą statystyki, są to ojcowie.

- Również i w tym przypadku?

Jesteś przekonany Keller? I co do tego również, że takie stwierdzenie uda ci się udowodnić?

- Jestem gotów poważnie się na

to od pierwszego podejścia. - Keller popatrzył z góry na swojego przyjaciela Weckera. - Pod jednym warunkiem.

Tamten prawidłowo zrozumiał sens owego spojrzenia. - Pod warunkiem mającym coś wspólnego ze mną? Jak to sobie wyobrażasz?

- zapytał, sam sobie to jednak wyobrażając.

- Musisz mi tylko powiedzieć i to szczerze, co sądzisz o moim rozpoznaniu dotyczącym Tatzera.

- Spodziewasz się wręcz, że potwierdzą twoje przypuszczenia?

- Możesz je też odrzucić, jako nietrafne. Będziesz musiał tylko powiedzieć zwykłe „nie”.

- A co potem?

- Potem będę musiał jeszcze raz zastanowić się nad tymi zdarzeniami, na nowo zająć się dokumentacją, tą moją układanką pomocną w poszukiwaniu sprawcy. Może to ewentualnie potrwać długo. - Doświadczenie uczyło, że grozi to tym, iż pierwszy wielki kryminalistyczny impet utraci swą siłę, bowiem wzrost liczby dokumentów w żadnej mierze nie jest równoznaczny ze wzrostem wiedzy.

- Co się stanie, jeśli powiem

„tak”?

- Wówczas będę musiał upewnić się co do kilku rzeczy i będzie można podjąć niemałe ryzyko. - Następnie Keller zrobił jeszcze jedną uwagę, tak jak to miał w zwyczaju, a która była zapewne pomyślana jako coś, co ośmieli Weckera. - Ja w każdym razie jestem pewny swego.

- Zgoda. - Adalbert Wecker usłyszał owo wypowiedziane przez siebie słowo. - Ja też jestem niemalże przekonany, iż masz rację podejrzewając, kto jest tu sprawcą, bowiem i ja, bez urzędowej dokumentacji, a tylko dzięki osobistym kontaktom w tym domu, doszedłem do tego samego. Twoje ustalenia chyba się zgadzają.

- Dziękuję - powiedział

Keller, wprawdzie nie z ulgą, ale jednak z wyraźnie umocnioną chęcią zrobienia tu porządku.

\*\*            \*\*            \*\*

Zanim jednak Keller przystąpił do dzieła, dało się zauważyć u niego pewne ociąganie oraz swoiste zakłopotanie. Powiedział: - Najwyraźniej już od samego początku czułeś, Wecker, że Wesendung nie może być brany pod uwagę jako faktyczny sprawca. Był chyba kimś takim, kogo powszechnie uważa się za element niebezpieczny, ale zabójcą jednak nie był. Zgadza się to?

- Do tej pory zgadza się,

Keller.

- Czy zwróciłeś na to uwagę

Bachmeierowi?

- Na takie pytanie czekałem.

Skąd więc wziął się ów wielki, retoryczny rozbieg, od Boga i świata, poprzez kryminalistykę i psa Antona, aż do tego momentu.

- Jak wiesz, nie musisz odpowiadać na to pytanie.

- Tym, co wiem, jest to, że jeśli ci nie odpowiem, będziesz szukał i na podstawie twojego kombinacyjnego sprytu dojdiesz do tego w inny sposób. Nie ma potrzeby. Nie poinformowałem Bachmeiera, ani mu niczego nie wyjaśniłem i nie ostrzegłem, zarówno w tym aspekcie, jak i w jakimkolwiek innym! Dlaczego i jak miałbym to zrobić? On mnie o to nie pytał.

- Czy szukał sposobności? Może prosił cię pośrednio o wyrażenie zdania, ty zaś mu go nie przekazałeś, a może nawet odmówiłeś?

- Jeśliby tak było - uznał

Wecker - mogłoby to znaczyć, że świadomie skierowałem go na mieliznę wskazując mu pośrednio fałszywy kurs. Byłby fatalny rewanż, co? Jednak tego nie da się udowodnić!

- A jak byłoby teraz, mój drogi Wecker, z zarzutem następującym: W tym wypadku szło

nie tylko o swoisty akt odwetu, ale o coś znacznie większego. O zdublowanie efektu. Mówiąc wulgarnie, o zabicie dwu much jednym uderzeniem pałki.

Adalbert Wecker przysłuchiwał się uważnie, nieco zmartwiony, ale i zaciekawiony. - Czy tobie, mój wielki starcze, nie przypisywałem jednak niedostatku fantazji? Zawsze uważałem cię za największego z realistów.

- Co nie musi wykluczać wyobraźni. To tutaj jawi mi się tak: Nie zawahałeś się jednak i dopuściłeś, żeby Bachmeier poszedł w złym kierunku i z twojego punktu widzenia było całkiem właściwe. Wesendung był winny, w nader istotny sposób współwinny, ale mordercą nie był. Nie zapobiegłeś jednak temu, że uznano go za takiego. Do tego doszło i owo samobójstwo. Czy więc ów plan, twój plan był wystarczająco doskonały?

- Mnie o to nie pytaj, drogi przyjacielu i kolego! Nie są mi w żadnym wypadku nie znane twoje błyskotliwe teorie, jak choćby ta dotycząca „czynnika ludzkiego”. Jeśli idzie o mnie, możesz, skoro tego koniecznie chcesz, uznać mnie za kogoś w rodzaju sędziego wydającego wyrok albo za kogoś, kto usiłował wyegzekwować sprawiedliwość i pozwolił załatwić najpierw Wesendunga, potem zaś Tatzera. Posługując się przy tym policją kryminalną, względnie wykorzystując jej niedoskonałość.

- Wiem, że wszystko to jest czystą teorią, Wecker! Nie da się jednak wykluczyć, że prędzej czy później można by to udowodnić.

- Do tej pory jednak - zaproponował niewzruszony raczej tymi wywodami Wecker - powinienes nie teoretyzując kontynuować swoje obowiązki śledcze. Tu liczą się tylko

rezultaty.

\*\*            \*\*            \*\*

W „biurze”, na parterze, Keller odbierał raport komisarza kryminalnego Bachmeiera.

- Pańskie przypuszczenia, panie kolego Keller, okazały się trafne i zbieżne z moimi. Między tamtymi pierwszymi uszkodzeniami ciała Thomasa Tatzera, tymi sprzed dwu lat, jak to wynika z kartoteki pacjentów doktora Braunschweigera, a gwałtowną śmiercią tego chłopca, doszło najwyraźniej, i to co najmniej raz, do dalszych okaleczeń. Wszystkie te ustalenia cechuje w zasadzie wzajemne podobieństwo. A więc następowała eskalacja stosowanej przemocy.

Keller: - Czy są stosowne zeznania?

Bachmeier: - Brak takich, które rzeczywiście można by wykorzystać. Jest jednak w aktach pewna notatka interweniujących wówczas policjantów z radiowozu. Wszystko zostało spisane pobieżnie i bez większego sensu, tak jak choćby oświadczenie ojca: „To był wypadek, przypadkowy wypadek i nic więcej”. Potem spieszne potwierdzenie ze strony matki:

„Jeśli mój mąż mówi, że to był wypadek, to tak było!” Co zaś dotyczy chłopca, to nie ma żadnych jego wypowiedzi, które można by uznać za użyteczne. Nie ma nic takiego jak jego zeznanie, a tylko najwyżej kilka ogólników, wypowiedzianych w nie wolnej od sugestii obecności rodziców. Choćby takich: „Musiałem ponieść karę, powiedział mój ojciec, a ojciec ma zawsze rację...” Albo: „Potknąłem się nieszczęśliwie”... Czy mam te budzące wątpliwość zdania sprawdzić dokładniej?

Keller: - Oczywiście. Jeśli nawet nie zaraz, to później. Zgodnie z wymaganiami protokołu.

Na razie wystarczą jednak te

ustalenia.

\*\*            \*\*            \*\*

Potem Keller przyjął raport funkcjonariusza kierującego nowo przybyłą grupą zajmującą się zabezpieczeniem śladów.

Była ona chyba najlepsza w urzędzie. Zapewne nieprzypadkowo, na bezpośrednie polecenie radcy kryminalnego Wachsmanna, skierowano ją tutaj. Celem, który jej wskazano, była zawartość metalowej szafy, znajdującej się w najodleglejszym kącie piwnicznej sieni, a więc w obrębie miejsca zdarzenia.

Funkcjonariusz zabezpieczający ślady: - Zbadaliśmy zawartość szafy. Znaleźliśmy dużo środków czyszczących i stosownego sprzętu. Pomiędzy tym leżały rozmaite, pootwierane opakowania z colą i słodyczami, około czterech każdego gatunku, takich, które można dostać w każdym supermarkecie. W razie potrzeby udałoby się dojść do tego, skąd pochodzą. Wówczas też można by ustalić kto je kupił. Jest to możliwe w ciągu godzin albo dni.

Keller: - NIE ma na to czasu. Skoncentrujmy się wyłącznie na najważniejszym.

Funkcjonariusz: - Znalaziono część bielizny. Kalesony używane i mocno zabrudzone. Przypuszczalnie leżały już pewien czas w miejscu znaleziska; mniej więcej przez dwa dni. Ta bielizna należy do dorosłego mężczyzny, są na niej ślady potu, spermy i krwi. Teraz zajmuje się tym laboratorium, pierwszych wyników można spodziewać się za pół godziny.

Keller: - A co, panie kolego, znaleźliście tam jeszcze?

Funkcjonariusz zabezpieczający ślady: - Narzędzie. Klucz gwintowy z dużą główką, tak zwany francuz. Taki całkiem dużych rozmiarów. Używany do rur grzewczych i temu podobnych.

Narzędzie to zawinięte było w ręcznik i ukryte na dnie szafy.

Keller: - Były na nim ślady?

- Całkiem konkretne, panie komisarzu Keller. - Możliwość poinformowania go o czymś takim wywołała pewien przyływ zawodowej dumy. - Były tam, po pierwsze, ślady krwi, mianowicie na główce gwintowego klucza. Badanie ich, przy zastosowaniu rozwiniętej przez pana, panie Keller, metody, doprowadziło do szybkiego ustalenia grupy krwi. Jest to grupa krwi A.

Keller uznał zaraz, że jest to grupa krwi zgodna z tą, jaką posiadała ofiara. Nie musiał o tym mówić; nie w gronie doświadczonych specjalistów w dziedzinie kryminalistyki. - Proszę dalej, panie kolego.

- Również na ręczniku była pewna liczba śladów krwi, wystarczających do zbadania. Te jednak mają grupę krwi 0, a więc nie jest ona identyczna z krwią ofiary. Tym samym nasuwa się wniosek, że sprawca, bezpośrednio przed albo w czasie swojego uczynku skaleczył się i musi mieć wyniki z tego ślady.

- Co jeszcze, panie kolego? -

Keller uśmiechnął się. - Są też jakieś kolejne, godne uwagi tego rodzaju niespodzianki?

- Co najmniej jedna, panie komisarzu. - Uśmiech Kellera uznał trafnie za dowód uznania, na które sobie zasłużył, a już zwłaszcza tym, co miało nastąpić teraz. - Na uchwycie zawiniętego w ręcznik gwintowego klucza udało się stwierdzić ślady palców, nie całkiem

zatarzonych przez ten ręcznik. Całkiem niewątpliwie należą do dozorczy domu Tatzera, który poza tym ma grupę krwi 0.

- Skąd pan o tym wie? - Keller okazał szczere zdumienie. Widać było, że jego policja kryminalna zrobiła ostatnio niezwykle postępy w dziedzinie precyzji i szybkości działania. - Czy pan,

w tym przypadku, zapobiegliwie przeprowadził analizę odcisków palców i grup krwi wszystkich tu zamieszkałych? - Nie brzmiało to jednak jak zarzut, a wręcz przeciwnie.

- Nie było to konieczne, panie komisarzu Keller - powiedział tamten nad wyraz skromnie. - Tego rodzaju dokumentację dostarczył nam nasz szef. - A więc radca kryminalny Wachsmann.

- Tatzer służył mianowicie przed laty w szeregach Bundeswehry, trzeba więc było tylko zażądać tam wszystkich szczegółów. Z pomocą telefaxu. Teraz je mamy.

- Również i ja muszę się ciągle dokształcać - przyznał Keller z powściąganą wesołością.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Następnie Keller ponownie

odwiedził Adalberta Weckera, żeby przeprowadzić swego rodzaju pożegnalną rozmowę.

Keller: - Teraz wszystko raczej już tu gra. Mamy całą masę obciążającego materiału, łącznie z poszlakami, które dadzą się dobrze wykorzystać. Z tym już można coś począć.

- To jednak nie wystarczy takiemu perfekcyjniście jak ty.

- Jeszcze trochę więcej, a byłoby lepiej. Najlepiej zaś w osobie świadka. Kogoś, kto był tam przed zdarzeniem, w trakcie albo niedługo po nim. Co teraz o tym sądzisz?

Wecker: - Dlaczego jednak zwracasz się z tym do mnie?

Keller: - No, a do kogo mój przyjacielu? Gdybyś miał jakiegokolwiek wątpliwości, obstawałbyś przy tym, żeby przewertować akta, żeby sformułować jakieś wnioski... Tego jednak nie było ci trzeba. Dlatego po prostu nie, bo wiesz więcej, niżli mi powiedziałeś.

- Możliwe, że nie powiedziałem, gdyż mam po temu zasadnicze powody.

- I będziesz je miał jeszcze wówczas, gdy poproszę cię, żebyś

mi pomógł. - Powiedział to bardzo poważnie. - Przypadek ten będę mógł jednak wyłożyć na stół dopiero wtenczas, kiedy upewnię się na wszelkie możliwe sposoby. Tak jak i ty brzydzę się lekkomyślnym awanturnictwem, jeśli idzie o kryminalistykę. Jeżeli chcesz pomagać mi w dalszym ciągu i doprowadzić do tego, żebyśmy doszedł do pewnego rezultatu, zrób to!

Na takie życzenie nie trzeba było odpowiadać koniecznie i Wecker o tym wiedział. Nie wiedział jednak, komu zawdzięcza przeświadczenie, że tak to jest:

Kellerowi, sobie, czy też komuś innemu? - No dobrze, nie jestem przeciwny temu, żeby powiedzieć ci, iż rzeczywiście jest świadek decydującej fazy tamtego zdarzenia.

- Powiedz więc, kto?
- Zanim ci go wskażę, muszę postawić pewne warunki.
- Warunki? W odniesieniu do morderstwa? Jakie?
- Musisz zgodzić się na coś!

Mógłbyś, a ja ci to umożliwię, z kryminalistycznego punktu widzenia posłużyć się tym, że taki bezpośredni świadek istnieje. To znaczy, że to, iż on jest, mógłbyś, zgodnie z twoją praktyką w dziedzinie stawiania pytań wykorzystać jako środek nacisku. To jednak musi ci wystarczyć, bo bezpośrednio, w celu wyodrębnionego przesłuchania, nie będziesz tym świadkiem dysponował.

- Dlaczego nie, Wecker?
- Bo ja sobie tego nie życzę.

Nie chcę.

- Przedstaw mi przesłanki!

Zaakceptuję twój warunek dopiero wówczas, kiedy je poznam.

- Idzie o dziecko. Wrażliwe, mądre dziecko, niejaką Irenę Lenz, dwunastolatkę. Znajduje się ona w tym domu, u matki, na czwartym piętrze. Kiedy przeglądałeś dokumentację osobową, chyba ich nie

przeoczyłeś.

Keller potwierdził.

- W każdym razie za celowe uważam wyłączenie tej dziewczynki z całej dowodowej rozgrywki. Dlaczego? Całkiem po prostu: Czegoś takiego nie wolno wymagać od dzieci. Od żadnego dziecka.

- Rozumiem! - zapewnił Keller bez wahania. - Przyjmuję do wiadomości to, co mi powiedziałeś, a jednocześnie akceptuję to, czego żądasz.

Musiał przyjąć, choć zapewne przyjęcie opierało się na bardzo osobistych przesłankach.

\*\*            \*\*            \*\*

Tymczasem zrobiła się już

godzina #/15#00, co znaczyło, że Keller przepracował już siedem godzin.

Wykorzystał je intensywnie, a teraz zmierzał do zakończenia.

Miejscem, w którym miało do tego dojść, było nie wynajęte, częściowo umeblowane mieszkanie na parterze, z punktu widzenia potrzeb kryminalistyki odpowiednie, zwłaszcza, że usytuowane było tuż obok mieszkania dozorczy domu. To także miało swój praktyczny walor.

Znalazł się tu teraz Tatzler, który, jak mu powiedziano, udzielić miał „pewnych wyjaśnień”. Siedział niedbale, był pewny swego, mogło się zdawać, że uważa siebie za centralny obiekt. Na swój sposób było to trafne, choć przedstawiało się inaczej niż to sobie wyobrażał.

Do owego

przestępczo\_kryminalistycznego  
kręgu należał też jako  
protokolant, inspektor Gutbrod,  
który rolę tę, jak wiadomo,  
opanował doskonale. Obok niego  
usiadł komisarz Bachmeier. Mógł



on, jak i poprzednio, uważać się  
za oficjalnego kierownika  
specjalnej komisji, choć teraz,  
oczywiście, przejściowo, jak go

zapewniono, rutynowo podporządkowanego kontrolującemu funkcjonariuszowi  
prezydium policji. Keller, musiał to przyznać, nie odsunął go brutalnie na bok,  
sam też nie wepchnął się ewidentnie na pierwszy plan, a raczej okazywał gotowość  
służenia pomocą.

Ten tylekroć niezwykle chwalony Keller - właśnie, dlaczego chwalony? - pozwolił  
sobie, i to bez żadnego wstępu, na nader prymitywne pytanie skierowane do  
Tatzera, który był naprawdę upartym chłopiskiem. Pytanie to brzmiało krótko: -  
Dlaczego?

- Co, dlaczego? - Tutzer, tak jak się tego spodziewano, capnął je, gotów do kłania. - Co  
pan ma na myśli, panie jakiś tam? Dźwięk, jaki wydusił pan z siebie, wcale nie brzmi  
przyjemnie!

Wcale i to rozmyślnie nie miał być taki, panie Tutzer. Mogę jednak pytanie sformułować  
dokładniej: Dlaczego zabił pan swojego syna?

- Że co? Co miałbym zrobić? -

Oburzenie aż rozsadzało Tatzera. Czy dobrze usłyszałem, człowieku? To chyba  
miał być taki próbny balon? Że też właśnie mnie to się przytrafiło!

- Nie powiedział: Mnie, troskliwemu ojcu. - Wypraszam sobie! Kim pan w ogóle jest? Co  
panu do tego...? - Z nadzieją spojrział na Bachmeiera. - Kim on jest?

- Jest uprawniony do stawiania pytań! - Bachmeier próbował zachować rezerwę, bo nie  
wiedział do czego zmierza Keller. - Niechby zresztą poparzył sobie łapy, tak koniecznie  
upierając się przy swoim.

- Moje nazwisko, Keller - powiedział tamten, tak jakby się przedstawiał. Potem,  
bezpośrednio i znowu bez sensownego przygotowania zwrócił się do Tatzera z żądaniem:

-

Niech mi pan pokaże swoje dłonie, niech pan je wyciągnie!

Ów spełnił żądanie. Były to, tego Tutzer mógł być pewny, zacne ręce człowieka pracy.  
Nie drżały, no, tylko troszkę, ale chyba pod wpływem oburzenia na tego rodzaju niegodne  
traktowanie.

- Niech pan odwróci dłonie, tak żebym mógł zobaczyć wewnętrzną ich powierzchnię.  
Tutzer lekceważąco popatrzył na człowieka noszącego garnitur w drobną kratkę. Ten stary  
niuchacz chce udawać ważniaka, no i co z tego? Poradzi z nim sobie. Prawie nie dbając o  
powściągnięcie pogardliwego uśmiešku odwrócił dłonie, można powiedzieć od zewnątrz na  
wewnątrz, a wówczas na prawej dłoni, poniżej kciuka, ukazała się niewielka rana. Raczej  
mała, brunatna, zasmarowana użytą obficie jodyną.

- Zranił się pan? - W stwierdzeniu Kellera pobrzmiwało niemal współczucie.

- Kiedy i gdzie?

- Chyba przy jakichś drzwiach. Gdzie i kiedy dokładnie, nie mogę powiedzieć. A może skaleczyłem się o skrzynkę na listy? Ona ciągle się zacina. To nieważne! Coś takiego jak niewielki wypadek przy pracy zdarza się co dzień!

- A potem wziął pan ręcznik, który przypadkowo gdzieś tam leżał - ośmielał go Keller.  
- Gdzie to było, dziś już pan nie wie. No, dlaczego miałby pan wiedzieć? Ostatecznie nie jest pan fenomenem pamięci. Ręcznikiem tym starł pan trochę krwi, a potem gdzieś go tam wyrzucił. Było tak?

Tatzera ogarnął niepokój, a jednocześnie wydało mu się, że uzyskał nadające się do wykorzystania, najwyraźniej podsunięte mu wskazówki. Dał się wciągnąć w tę rozgrywkę. - Ależ

tak! Tak chyba było.

Keller kontynuował życzliwie:

- Tak to mogło być. Wyrzucił pan po prostu gdzieś ten ręcznik, powiedział pan. Jest jednak całkiem możliwe, że potem zabrał go ktoś inny, żeby wyczyniać z nim różne rzeczy, być może nawet i po to, żeby obciążyć pana.

- Tego nie można wykluczyć, panie... panie Keller! - Tatzter, który bał się, że już przegrał, dostrzegł nową nadzieję. Nie wyglądało na to, że w tej chwili bieg spraw jest dla niego niekorzystny.

- Czy niekiedy czuł się pan dyskryminowany?

- Ależ tak! Chyba musi pan wiedzieć, panie Keller to, o czym już wie szanowny pan komisarz Bachmeier? Idzie o to, że tutaj ciągle powtarzają się podstępne próby dołożenia mi, zwaleni na mnie wszystkiego, co złe. Tutaj, można powiedzieć, pełno jest różnego rodzaju wrednych typków.

- Można powiedzieć - potwierdził Keller i popatrzył na Bachmeiera, zapewne po to, żeby dać mu sposobność do wyrażenia własnego mniemania. Bachmeier był jednak na tyle inteligentny, żeby nie przywiązywać do tego żadnej wagi.

W końcu jednak wyraził swój pogląd: - NO tak, panie Tatzter, podłe typy są raczej wszędzie, tyle, że nie wszystkim zależy na tym, żeby kogoś obciążyć. Coś takiego mogłoby się jednak zdarzyć w odniesieniu do kilku niby nieistotnych szczegółów.

- W żadnym wypadku nie dotyczy to ręcznika! - Tatzter uczepił się owej, jak mu się zdawało, świadomie podsunętej ewentualności. - Pan też to powiedział, panie Keller.

- Dobrze pan to zrozumiał, panie Tatzter, bowiem ręcznik traktowany jako taki, o niczym nie świadczy, nawet jeśli są na nim ślady krwi.

Powoli, przyprawiona ogromną cierpliwością, kontynuowana była typowa lekcja Kellera, próba dochodzenia do prawdy krok po kroku, prezentowana nadto z zastosowaniem

sprawdzonych, a właściwych kryminalistycy środków. - Zajmijmy się jeszcze trochę owym ręcznikiem, o którym tu mowa. Niejedno bowiem zaprezentuje się z miejsca inaczej, jeśli się okaże, że znaleziono narzędzie zawinięte w ręcznik, a także, iż można udowodnić, że zostało ono użyte w całkiem określony sposób.

- Bzdura - odparł zdecydowanie

Tatzer. - To mnie nie obchodzi!

- Niech pan pozwoli, żebym wyraził się dokładniej. Jeśli idzie o narzędzie, jest nim bardzo ciężki, gwintowy klucz, tak zwany francuz. Teraz zapewne chciałby pan powiedzieć, że podobnych jest setki! Owszem, jeśli o mnie idzie, może być i tysiące. Można jednak przyjąć, że w tym domu istnieje tylko jeden egzemplarz narzędzia tych rozmiarów. Jeśli zaś idzie o ten właśnie egzemplarz, można, stosując technikę kryminalistyczną dowieść, że jest to narzędzie, z pomocą którego został zabity pański syn, Thomas.

- Ależ nie, ależ nie! - zawołał ochryple Tatzer. - Nie przeze mnie!

- Nie? No to co pan powie teraz na to, że na owym ciężkim, gwintowanym kluczu znaleziono odciski palców? Należą do jednej osoby, mianowicie do pana, panie Tatzer.

- To o niczym nie świadczy.

Nie jest to, o ile wiem, żaden decydujący dowód. - Tatzer oscylował między strachem, a oburzeniem. - Z tego wynika tylko, że znowu usiłuje się tu zastawić na mnie pułapkę, żeby odwrócić podejrzenie od innych.

Tak to jest! Pan komisarz kryminalny Bachmeier chyba

potwierdzi, nieprawdaż?

- Ależ człowieku! - Była to niedbała, całkiem jednoznaczna odmowa. Bachmeier znał się w końcu dobrze na toku kryminalistycznych dochodzeń oraz ich logice, a poza tym przysłuchiwał się wszystkiemu uważnie. Wyczuwał, że Tatzer, po ręcznym upleceniu sieci przez Kellera sam się podłożył i w związku z tym przestał być już ewentualnym koronnym świadkiem, stając się raczej głównym podejrzanym. - Pan, panie Tatzer, nie powinien udawać przed nami durnia! Na dłuższą metę nie uda się to nikomu.

- Szczególnie z tej przyczyny nie uda się - uzupełnił Keller, niby zmartwiony, że musi nadto ujawnić jeszcze i to - iż jest pewien świadek pańskiego postępuku, panie Tatzer.

- Pewien... kto? - Teraz przerażenie Tatzera wybuchło z całą gwałtownością. - Świadek? Na jaką okoliczność?

Było to w końcu pytanie, które mógłby postawić również komisarz Bachmeier. W tym też momencie poczuł się on zaskoczony nie mniej niż Tatzer, ale oczywiście nie dał tego po sobie poznać i tylko, nawet jeśli niechętnie, zaczął podziwiać owego starego, szczonego lisa Kellera, a jeśli nie podziwiać, to co najmniej zdumiewać się z jego powodu.

- Jeśli idzie o tego świadka - wyjaśnił im Keller - jest nim pewne dwunastoletnie dziecko. Pan Tatzer, jak przypuszczam wie, które. Owa osoba może w każdym razie potwierdzić, co działo się w momencie zdarzenia albo bezpośrednio po nim.

- Nic o tym nie wiem! -

Tatzer, mimo nagłego wyczerpania, próbował się bronić. - Ona kłamie! Zawsze kłamała. Ja w każdym razie o czymś takim nie wiem!

- Nie jest to panu wiadome, co zresztą nie może dziwić ze

względu na tego rodzaju ekstremalną sytuację. Wywołuje ona nieuchronnie pewien rodzaj otepiałego zamroczenia, co nie dopuszcza do jakichś normalnych reakcji. Tak więc, panie Tatzter, nie musiał pan wcale zauważyć tego świadka.

- To już zupełnie wystarcza - uzupełnił spiesznie Bachmeier. - Widziano pana wówczas.

- W tego rodzaju przypadkach, jak uczy doświadczenie - kontynuował Keller - dzieje się tak: Sprawca instynktownie czuje się zagrożony, ale obecność ewentualnego świadka zaledwie przeczuwa. To jednak wystarcza, aby wnet opanowała go jedna myśl: Nic, tylko uciekać! Co w praktyce znaczy, że trzeba, wszystko jedno gdzie, schować narzędzie zbrodni. W tym przypadku, do metalowej szafy, która niejako narzuciła się w tym pośpiechu. Teraz mozaika faktów jest kompletna.

Na to Bachmeier chcąc wykazać, że to w końcu on jest nadal szefem specjalnej komisji, a któremu Keller nic w tym nie przeszkodził, ani niczego nie utrudnił, zdobył się w obliczu ustalonych wyników, na nieuniknioną konsekwencję: - Panie Tatzter, jest pan aresztowany.

\*\*                    \*\*                    \*\*

Sprawa nie była jednak przez to załatwiona, w każdym razie Keller tak tego nie widział.

Do wypowiedzianych przez Bachmeiera słów o aresztowaniu, nie dodał wprawdzie komentarza, ani też nie okazał dezaprobaty, co zgodnie z wewnątrzurzędowymi obyczajami oznaczało akceptację, niemniej „stary, wielki człowiek” uznał, że trzeba jeszcze to i owo wyjaśnić.

- Po tym, kiedy zostało ustalone to, co istotne, resztę załatwi komisarz Bachmeier ze swoimi funkcjonariuszami - powiedział najpierw. Tamten zaś

skinął głową, a jego Gutbrod również.

Keller najwidoczniej chciał zadać sobie jeszcze innego trudu. Bez najmniejszego współczucia popatrzył na złamanego Tatzera. - Dziwi się pan chyba, że dla wyjaśnienia tego rodzaju przypadku zajmujemy się tylko aspektami kryminalistycznymi, a więc orientację opieramy na realiach faktycznego stanu tak, jakby poza tym nic się nie liczyło.

- No, a co jeszcze? - wystękał tamten. - Przecież nie jesteście niczym innym jak tylko wykonawcami, podobnie jak ci, którzy wywożą śmieci. To co dzieje się z człowiekiem, gównu was obchodzi.

- Ostrożnie, panie Tatzter! - upomniął go surowo Bachmeier. - Niech pan zechce uważać na słowa, bo to co pan mówi, może być użyte przeciw panu. - Potem nastąpiła jednak ludzka, wyrozumiała uwaga: - Ostatecznie nie jesteśmy duszpasterzami, ani psychologami, a tylko specjalistami w dziedzinie kryminalistyki. Wystarcza nam to, czego doszukaliśmy się.

- Chyba nie wystarcza, jak mi się zdaje. - Keller zaprezentował się sam jako ten, który ma wątpliwości. - Oczywiście, z kryminalistycznego punktu widzenia jest tu wszystko raczej absolutnie pewne.

- W końcu tylko na tym polega nasze zadanie. - Bachmeier uświadomił znów sobie status szefa jednej ze specjalnych komisji.

- Stawiam pytanie - powiedział teraz Keller patrząc na skulonego Tatzera - co też mogło doprowadzić do tego, że ojciec zabił syna?

Potem, z niezmienną  
łagodnością, ale i natarczywie  
pytał dalej, tak jakby był sam z  
Tatzerem. - Dlaczego więc ojciec  
zabił syna? Przesłanki tego,

bardzo zróżnicowane, mogły współbrzmieć, jak się to mówi, w jaskrawej  
dysharmonii. Wyobrażalne jest, jak mogło do tego dojść pod wpływem rozpacz  
wywołanej tym, że dziecko nie okazało się, tak jak ludziła nadzieja, czystym i  
wartościowym człowiekiem.

- No i co z tego! - Zdawało się, że Bachmeierowi grozi utrata cierpliwości. - Mamy to, co  
potrzebne.

Keller, jak gdyby nic nie było w stanie zbić go z tropu, nadal zajmował się Tatzerem, którego  
niepokój wzrastał. - Można sobie także wyobrazić, że bodźcem do takiego postępu była  
szczerą, czystą miłość, która wybuchła nagłą erupcją. Wraz z nią odezwała się dojmująca  
chęć uchronienia ukochanego, przez lata otaczanego opieką dziecka, przed przeistoczeniem w  
obiekt nadużywany przez notorycznego i dobrze, jak sądził, rozpoznanego oraz zawsze  
obecnego uwodziciela. Było tak, panie Tatzer?

Tamten, dotknięty głęboko, zatoczył dookoła szklistymi oczami, na nikogo jednak nie  
patrząc. Podniósł się z trudem, stał teraz pochylony, jakby cierpiał na silne bóle żołądka. W  
końcu powiedział: - Ach, człowieku, jeszcze pan i to, mały, sielankowy, pięknosraju.

Na myśli miał niewątpliwie Kellera. Stało się to ku sporemu zdziwieniu wszystkich obecnych  
z tym, że niektórzy ponadto natychmiast odczuli głęboką satysfakcję. Tego rodzaju obelżywa  
bezczelność w stosunku do urzędnika, wszystko jedno jakiego, była po prostu następstwem  
podjęcia przez niego próby skonfrontowania z psychologią i filozofią kryminalisty, którego  
wina była niewątpliwa.

I jeszcze raz Tatzer pozwolił

sobie na uwagi pod adresem

Kellera, którego najwidoczniej uznał za tego, który go zniszczył. Można je było  
ocenić jako znamienne. - Co pan, zasuszony urzędowy typku, może w ogóle wiedzieć  
o tym, co naprawdę nami kieruje! Nami, z prostego ludu.

- Po co zaraz ta nuta? Co to znaczy człowiek z prostego ludu!

- Bachmeier upomniął go donośnym głosem. Był wprawdzie zadowolony, że Keller spotkał  
się z tego rodzaju arogancką krnąbrnością, ale przecież zawód, jego zawód, domagał się  
należnego szacunku. - Skończyć mi z taką gadaniną! Nie będę powtarzał drugi raz!

Teraz Tatzer, czego można było się spodziewać, ofunknął i Bachmeiera. Przymuszalnie  
uważał się za męczennika, za kogoś nie docenionego, za często spotwarzanego człowieka. -  
Co z was wszystkich za kupa podstępnego łajna! Nie mogę już tego wachać. Śmierdźcie mi!  
Nadużyliście mojego zaufania, oszukaliście mnie, okłamali. Możecie mnie...!

Po czym został wyprowadzony przez Gutbroda.

\*\*            \*\*            \*\*

Zostali tylko Keller i

Bachmeier. Nie patrzyli na siebie. Keller powiedział: - Teraz mogę przyjąć, że załatwi pan całą niezbędną resztę.

- I to po pańskiej myśli, panie kolego - zapewnił uroczyście Bachmeier. - Może pan być pewny!

Keller łatwo rozpoznał, co miało znaczyć tego rodzaju zapewnienie, opierające się widocznie na nadziei na wzajemność. Dlatego też powiedział: - Jeśliby miało udać się to panu rzeczywiście, panie Bachmeier, będzie mógł pan również liczyć na moje bardzo daleko idące ustępstwo.

- Jakie? - zapytał zaciekawiony i pełen najlepszych

oczekiwań.

- Jeśli pan, panie kolego -

Keller był ucieleśnieniem uprzejmości - zdoła doprowadzić tę sprawę do przekonywającego postawienia winowajcy w stan oskarżenia, będę mógł, zamierzam, wyjść panu naprzeciw.

- Jak daleko, jeśli mogę zapytać?

- W takim przypadku, panie kolego, byłbym gotów oświadczyć co następuje: Wykrycie sprawcy, a mianowicie Tatzera, opierało się na ostatecznych rezultatach ustaleń, do których udało się dojść dzięki całokształtowi poczynań skierowanej tu specjalnej komisji, a więc pańskiej komisji. Ja zaś, jeśli w ogóle będzie ktoś o to pytał, pełniłem funkcję wspomagającą i nic więcej.

- Tym samym mogę uznać - szanowny panie Keller - stwierdził Bachmeier radośnie i ufnie - że sprawa ta, aż do jej zakończenia, będzie wyłącznie moją domeną?

Znaczyło zaś to, że również wyłączna będzie jego zasługa, ale tego nie odważył się powiedzieć. W każdym razie, jeśli Keller miałby swoją decyzję potwierdzić, byłoby to równoznaczne ze swego rodzaju prezentem.

- Niechże pan to załatwi! - powiedział z ulgą Keller. - Tym samym pozbędzie się pan mnie.

\*\*            \*\*            \*\*

Zaraz po tej rozmowie Keller udał się do Adalberta Weckera, który oczekiwał go z określoną, ale dobrze skrywaną niecierpliwością. Tutaj gość nie dając się prosić, rozsiadł się w najwygodniejszym fotelu.

Adalbert Wecker ciągle jeszcze

był dokładnym obserwatorem i nie  
utracił nawet cząstki  
intensywnie niegdyś zdobywanej  
umiejętności. Od pierwszego  
wejrzenia rozpoznał, że jego  
uśmiechający się przyjaciel

Keller nie wygląda na szczególnie zmęczonego, ani też zniechęconego.

- Nie wyglądasz mi na niezadowolonego, jeśli potrafisz ocenić twoje odczucia.

- Zadowolenie, Adalbercie, jest to słowo, którym od dawna już się nie posługuję, zwłaszcza w dziedzinie kryminalistyki. Cóż bowiem, bardzo cię proszę, mogłoby być w naszym zawodzie uznane za zadowolające?

Następnie Wecker spróbował innego sposobu rozpoznania nastroju, w jakim znajdował się Keller. - Wychłodziłem butelkę tego samego wina, które mój Boże, to było dopiero wczoraj, późnym wieczorem, piliśmy razem z Wachsmannem. Czy mogę zaproponować ci kieliszek?

- Ależ tak, koniecznie.

- Więc jednak! - stwierdził uradowany Adalbert, bowiem coś takiego nie było u Kellera oczywistością. Przestrzegał on reguły stanowiącej, by „w czasie służbowym” nie pić ani kropli alkoholu, a tylko dopiero później. Tym samym, co podpowiadała czysto policyjna logika, było więc „po wszystkim”.

- No to jednak dałeś sobie radę!

- Tak mniej więcej - potwierdził Keller. Przyjął napełniony kielich i powąchał, a potem zaczął ostrożnie popijać.

- Później powiedział: - Żeby uprzedzić to, co najważniejsze powiem, iż twoje przekazane mi przypuszczenia okazały się trafne. Sprawcą jest Tatzler, a więc nie Wesendung, który stał się tylko jeszcze jedną ofiarą.

- Jest to dowiedzione jednoznacznie? - zapytał zaraz Adalbert i natychmiast dodał: - Wybacz, proszę! To głupie i całkiem zbędne pytanie. Jeśli ty to stwierdziłeś, jest jednoznaczne! - Potem kontynuował: - Było ciężko, z komplikacjami, wątpliwościami?

Wiesz, co chcę przez to powiedzieć: Czy były trudności i niejasności, czy są jeszcze zastrzeżenia?

- Nic podobnego, Adalbercie!

NIE ma i tego, czego widocznie się bałeś, ja zresztą też, że przyczyna owego postępu tkwiła w głębszych regionach duszy, że był to wynik zbiegu okoliczności, które pozwalałyby w sprawcy dostrzec osobnika działającego nie tylko impulsywnie, ale raczej człowieka bezwolnego, znieczulonego, biednego, wystawionego na próbę.

- Co jednak, jak myślisz, było tym, co popchnęło Tatzera do tego czynu?

- Czy potrafisz wyjaśnić sobie wszystkie szczegóły? Nie potrafisz! Czy więc zechciałbyś podjąć próbę osądzenia mnie? Nie zrobisz tego, tak samo i ja odnoszę się do Tatzera.

- Wiem, że raczej nie wdajesz się w spekulacje. Nie chcesz występować jako psycholog. Co jednak sądzisz o tym będąc doświadczonym kryminologiem?

- Również tylko bardzo niewiele, a i to nie bez zastrzeżeń, Adalbercie. Tam mogło dojść do eskalacji, wzmagającej się wciąż i wciąż, aż do tego ekstremalnego czynu. Tam ojciec dręczył swojego syna raczej nieustannie, okaleczył go też w końcu, również fizycznie. Towarzyszyło zaś temu zdobyte na własny użytek przeświadczenie, że trzeba mu, że świętym zapalem wpoić moralność i przyzwoitość. Tatzler coraz bardziej i bardziej opętany tym pragnieniem, może też i wyzwolonym przez podszepty, wskazówki, podżeganie, na wszystko patrzył już tylko przekrwionymi oczami. Zaczął wnet szukać rzeczywistego winowajcy zawodu, jaki sprawił mu syn. Doszedł do przekonania, że go odnalazł w osobie Wesendunga, „uwodziciela”.

- Nazwanie go w taki sposób nie jest bezpodstawne.
  - Ależ oczywiście. Ten kto zdecydowany jest dokonać dzieła zniszczenia, znajduje po temu możliwości. Tatzler jednak nie znalazł dojścia do kogoś takiego jak Wesendung, bo tamten miał nad nim przewagę. Wyśmiewał się z niego, ośmieszał go! W końcu Tatzler, jakby nie mając wyboru, porwał się jak szalony na syna.
  - To brzmi przekonująco.
  - Ty to powiedziałaś. Idzie tu jednak o czystą teorię i w nią, my biedni specjaliści w dziedzinie kryminalistyki, nie powinniśmy się raczej wdawać. Do końca życia zdani jesteśmy na to, żeby opierać się na udowodnionych faktach.
  - No dobrze, Keller - zgodził się Adalbert. - Tak to już jest. Mogę też chyba przypuszczać, że udało ci się udowodnić Bachmeierowi jego niepowodzenie i obnażyć właściwy mu brak zdolności. Tym samym stałoby się w określonym stopniu możliwe jakieś umocnienie ewentualnej sprawiedliwości.
  - Czy tym, co ci się nasuwa jest może to właśnie, do czego nigdy byś się nie przyznał? Ten Bachmeier, mój drogi, to wprawdzie tylko mała cząsteczka naszego świata, ale przecież do niego należy. Mając na względzie nasze usiłowania służące sprawiedliwości, przekazałem mu Tatzera jako sprawcę.
  - Co zrobiłeś? Chyba się przesłyszałem, Keller? Teraz ten nieudany patałach przystroi się z łatwością w twoje laury. Tego nie możesz zrobić. Nie dla niego!
  - Czemu by nie? - zapytał
- Keller wyraźnie rozbawiony, a następnie, co można było uznać za dobry znak, poprosił o kolejny kieliszek wina.
- Zdaje mi się, że związałeś z tym jakiś podstęp, jeśli nie kilka naraz. - Wecker wiedział, że po Kellerze zawsze można się

było tego spodziewać. Znał on przecież wszystkie achillesowe pięty zawodu, a poza tym mógł, jeśli by tylko zechciał, wypuścić z butelki każdą liczbę kryminalistycznych dżinów. - Do czego zmierzasz tym razem?

Wyglądało na to, że Keller rozkoszuje się podanym mu winem. Zapytał, czy Adalbert wychłodził jeszcze jedną butelkę. Wychłodził.

- Ponieważ sprawa, jak można przyjąć, jest raczej wyjaśniona, dlaczego miałaby nadal ciągnąć się za mną? Zdejmując obowiązek z Bachmeiera popełniłbym błąd, gdyż zwolniłbym go z jakiegokolwiek odpowiedzialności. Dlaczego miałem to zrobić?

- Rozumiem, Keller, zaczynam rozumieć! - Ów niezwykły kolega, który nieprzypadkowo był jego przyjacielem, należał do ludzi potrafiących wybiegać myślą naprzód. - Przez to właśnie przekazasz temu Bachmeierowi kompleks Wesendunga, a więc człowieka, który popełnił samobójstwo.



- Tak mniej więcej. Tego rodzaju konstelacje istniały i będą istnieć. O tym jednak w czasie rozmów z Bachmeierem niemal nie napomknąłem. Wszystko po kolei. Pierwszeństwo miał teraz Tatzler.

- Cóż z ciebie, Keller, za chytry pies! - powiedział niemal z entuzjazmem Wecker. - Mówię to z całym szacunkiem, bo wiem, że kochasz psy. Tym razem udało ci się jednak zastawić pułapkę, z której Bachmeier raczej nie wylezie.

- Może tak być - przyznał

Keller. - NIE należy pomijać niczego, on zaś jeszcze nawet nie przypuszcza, co go czeka.

- Tatzler był więc tu w jakiejś mierze swoistą przynętą.

Bachmeier sądzi, że poradzi  
sobie z nim, bo wszystko już  
przygotowałeś. Spodziewa się  
nawet laurów. Potem jednak

objawi mu się owa pięta Achillesa, drażliwy przypadek Wesendunga, za który w pełni współodpowiedzialny jest właśnie on. No to brawo! Na tym łatwo połamię sobie zęby.

- Tak należy przypuszczać - potwierdził Keller. - Tobie jednak, Wecker, zaleciłbym zwrócenie uwagi na dwa szczegóły. Pierwszym z nich jest to, na co przystałem chętnie, a mianowicie fakt, że zgodnie z twoją sugestią uchroniłem tamto dziecko przed wciągnięciem w bagno przesłuchań.

- No to brawo! To było naprawdę ludzkie!

- A jednak wcale nie tak szczególnie ludzki, może nawet całkiem nieludzki, wydaje mi się ów drugi szczegół, w który się wdałem. Dotyczy ciebie, dotyczy bezpośrednio twojej osoby i to w kontekście wszystkich tych zdarzeń. Miałeś na nie wpływ. W znacznym stopniu usiłowałeś decydować o ich przebiegu, żeby już nie powiedzieć, iż po prostu manipulowałeś nimi z pomocą swoich, naprawdę nie dających się przecenić możliwości.

- Zapomnij o tym, Keller!

Czegoś takiego, i ty o tym wiesz, nigdy nie da się udowodnić. Nie zdołasz nawet ty!

- Zgadza się, Wecker. Dlatego nie pozostało mi nic innego, jak tylko nie wydobywać na światło dzienne, w czasie tego śledztwa i to pod żadnym warunkiem, nazwiska naszego niegdysiejszego funkcjonariusza służby kryminalnej. Twojego nazwiska.

- No to doskonale, Keller!

Wachsmann doceni twój trud. Również pan prezydent policji będzie z pewnością zadowolony, że wszystko zostało wyjaśnione, tak szybko i z powodzeniem.

- Ja jednak, Wecker, nie odczuwam zadowolenia. Jestem szczerze zmartwiony, że sprawy tak wyglądają, że do tego

doszło, że to ty, właśnie ty masz znaczny udział w tym co się stało. Jestem o tym przekonany i napawa mnie to smutkiem.

- Jakkolwiek miałbyś na to patrzeć, szanowny wielki człowieku, najbardziej pożądane jest tu postawienie kończącej wszystko kropki.

□